

KRZYSZTOF JANIK
Lewica będzie zawsze potrzebna

MARIA KONOPNICKA
– dokąd tak gnała?

BOHDAN PIĘTKA
Auschwitz wyzwoliła Armia Czerwona

WOJCIECH KUCZOK
Wariacki styczeń Szczęsnego

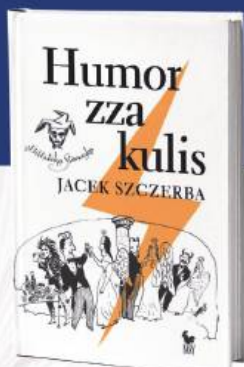
Elon Musk IMPERATOR



ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299



9 771509 311508



**HUMOR
ZZA KULIS**
Jacek Szczerba



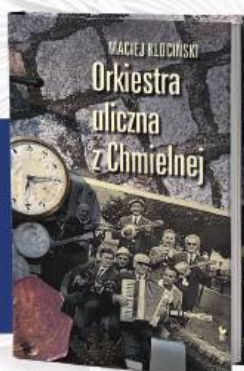
**PODRÓŻ
ROMANTYCZNA**
Marcin Król



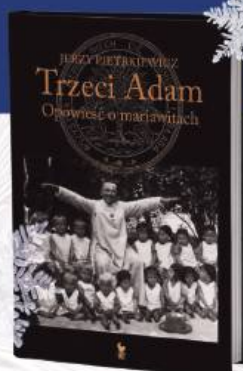
**PARYŻ.
PRZEWODNIK
LITERACKO-
HISTORYCZNY**
Krzysztof Lubczyński



**FLIRT
Z PARALIPOMENĄ.
MITOLOGIE**
Jan Gondowicz



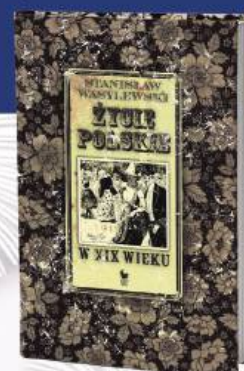
**ORKIESTRA
ULICZNA
Z CHMIELNEJ**
Maciej Kłociński



**TRZECI ADAM.
OPowieść
O MARIAŻACH**
Jerzy Pietrkiewicz



**POLSKA. LOSY
PAŃSTWA
I NARODU
1939-1989**
Andrzej Friszke



**ŻYCIE POLSKIE
W XIX WIEKU**
Stanisław Wasylewski



CZYTAJCIE KSIĄŻKI ISKIER



Zeskanuj

ZAJRZYJ NA:

www.iskry.com.pl



Wydawnictwo Iskry

epasa.pl d30eccbc14



wydawnictwoiskry



Świat pachnie prochem

Zaskoczę czytelników. Bliski jest mi pogląd amerykańskiego generała Marka Milleya, który stwierdził, że „Trump jest faszyzmem do szpiku kości”. Ten ważny i wpływowy generał nie jest już przewodniczącym Kolegium Połączonych Szefów Sztabów. Zadał o to Trump, konsekwentny w eliminowaniu takich ludzi. I tu akurat bardzo przewidywalny.

Wspominam o tym, bo widać, że amerykańscy wojskowi, a przynajmniej wielu z nich, nie będą na każdy gwizdek Trumpa. Nie ruszą na Grenlandię czy Kanadę. I nie sądzą, by byli zadowoleni z obsadzania ich w roli policjantów wyrzucających imigrantów.

Mija 80 lat od najstraszniejszej wojny w historii, zaciera się pamięć o milionach ofiar i ogromnych zniszczeniach. Do głosu zaczynają dochodzić ludzie, którzy chcą rozwalić powojenne porozumienia. Świat znowu zaczyna pachnieć prochem. A to przybliży koniec globalnego pokoju. Lokalnych wojen i konfliktów w tym czasie nie brakowało, ale to, co mamy teraz, może prowadzić do konfliktów na wielką skalę. Wojna w Ukrainie jest już przecież, biorąc pod uwagę liczbę państw w nią zaangażowanych, konfliktem o wymiarze światowym. A jedyne, czego brakuje tam do pełnego kataklizmu, to użycie broni atomowej.

Jest więc czego się bać. Tym bardziej że format liderów politycznych we wszystkich krajach biorących bezpośrednio lub pośrednio udział w tej wojnie jest mierny. Słabo radzą sobie nawet w czasie pokoju. Gdy oceniamy ich po czynach, trudno o optymizm. I o wiarę w kolejne szczęśliwe lata pokoju.

Historia uczy nas, że ilekroć państwa zbroiły się na potęgę, tylekroć wybuchały wojny. Trzeba było przecież opróżniać magazyny na nowe rodzaje broni. Większość ludzi na świecie nie wierzy, że może paść ofiarą kolejnej wielkiej wojny. Mamy więc ogromny problem. Bo ci, którzy machają szabelkami i zbroją się intensywnie, rosną w siłę. Swój punkt widzenia narzucają przez globalne media, które w komplecie zameldowały się u Trumpa. I bez żenady zjadają własny ogon. Wygrał interes, czyli zysk.

Choć tort do podziału jest ogromny, Musk chciałby go tylko dla siebie. I trudno go będzie zatrzymać. Idzie jak burza. Bo może. A może, bo rywale nie dorastają. Może nie mają genu walki z kimś takim jak Musk? A może wolą jechać w jego karawanie? Nawet jeśli wiedzą, że ten złowieszczy imperator prowadzi świat do katastrofy.

**Serdecznie
pozdrawiam wszystkich,
którzy wspierają nasz
tygodnik.**

Fundacja Oratio Recta

Nr konta:

72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

z dopiskiem:

**„Darowizna na rzecz
PRZEGLĄDU”**

BAKOWSKI



Otwieramy nasze łamy!

LISTY DO REDAKCJI

Drodzy Czytelnicy, jeśli chcecie podzielić się swoimi opiniami lub poruszyć ważne dla Was sprawy, piszcie pod adresem:

listy@tygodnikprzeglad.pl

Skromna objętość tygodnika jest tu pewną barierą, ale nasza strona internetowa daje większe możliwości. Opublikujemy na niej Wasze e-maile.

W NUMERZE

ZAGRANICA

- 8 Imperator**
Sekret sprawczości Muska
- 12 Konsolidacja oligarchii**
Konfitury w USA są po prawej stronie
- 36 Wiwaty i protesty**
Zawieszenie broni między Hamasem a Izraelem
- 40 Pechowy wizjoner**
Korespondencja z USA

KRAJ

- 14 Małachowski dla Agnieszki Gozdyry**
Nagroda za niezależność dziennikarską
- 16 Kronika jednostronnej przyjaźni**
Dlaczego Trump tak lekceważy Dudę?
- 18 Ludność zawsze będzie potrzebowała lewicy**
– rozmowa z Krzysztofem Janikiem
- 22 Śledztwa pod presją PiS**
Jakim sprawom prokuratura ukręcała tęb
- 26 Przypadek pewnej agencji**
Życie z dotacji rządowych i unijnych
- 30 Serce w pudełku**
Polskie wynalazki w transplantologii
- 48 Nagroda Beylin po raz trzeci**
Wyróżniona Ewa Kielak-Ciemniewska
- 54 Cudzoziemiec w Polsce**
– na końcu łańcucha pokarmowego
Żywa maszyna lub intruz

HISTORIA

- 32 Auschwitz wyzwoliła Armia Czerwona**
Przeinaczanie historii

KULTURA

- 44 Mario, dokąd ty tak gnałaś?**
– rozmowa z Magdaleną Grzebałkowską
- 50 Kulturalia**
- 66 Natalia Rybka**
Fiolki nie są miłością

SPORT

- 52 Wariacki styczeń Wojciecha Szczęsnego**
Niebezpieczne wysoki w bramce

OBSERWACJE

- 58 W stolicy mody palenie niemożliwe**
Nowe antynikotynowe prawo w Mediolanie

ZDROWIE

- 60 Bunt komórek**
Jak dziś przebiega walka z rakiem

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Świat pachnie prochem
- 29 Jan Widacki**
Prawdziwy bohater pierwszych dni „złotego wieku” Ameryki
- 39 Stanisław Filipowicz**
Wysokie obcasy
- 49 Roman Kurkiewicz**
Trump, czyli państwo prywatnym biznesikiem
- 51 Tomasz Jastrun**
Trump show
- 57 Wojciech Kuczok**
Baba od przyry



36
ZAGRANICA

WIVATY I PROTESTY

Zawieszenie broni między Hamasem a Izraelem



44
KULTURA

MARIO, DOKĄD TY TAK GNAŁAŚ?

– rozmowa z Magdaleną Grzebałkowską



52
SPORT

WARIACKI STYCZEŃ WOJCIECHA SZCZĘSNEGO

Niebezpieczne wysoki w bramce

Projekt okładki: Ed Mund

FOT. ANGELA WEISS/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl d30eccbc14



✉ Czy Polacy są tak samo proamerykańscy jak politycy?

Nie uważam, że polscy politycy są proamerykańscy. Raczej są pragmatyczni, bo przecież nasze bezpieczeństwo zależy od USA. Za chwilę dołączy do tego bezpieczeństwo energetyczne i pierwsza polsko-amerykańska elektrownia atomowa. Prawica też nie jest proamerykańska, pisowcy liczą, że Trump pomoże im odzyskać władzę. Są więc trumpistami, a nie miłośnikami Ameryki. Ameryka Bidena ich wkurzała, bo przeszkadzała im likwidować demokrację. A Polacy? Współczesnej Ameryki prawie nie znają, a ich sympatia jest echem sentymentu przodków, którzy tam właśnie uwolnili się od polskiej biedy. Do tego dochodzi dość prowincjonalna wiara w potęgę odległego imperium, która streszcza się w popularnym zwrocie: „Jak donoszą amerykańscy naukowcy...”. I na koniec: nowa era Trumpa zmieni nawet ten powierzchowny zachwyt Ameryką. Wielu oprzytomnieje i powie sobie: zaraz, to kto teraz przewodzi postępowemu Zachodowi, do którego należymy?!



Piotr Najsztub

f Polska hojna wobec Kościołów

Kiedyś przeczytałem gdzieś: „Trzeba wierzyć w Boga, reszta to teatr”. Ten teatr trwa już 2 tys. lat, a główni aktorzy, czyli na obecne czasy kler, oraz widzowie dobrze w tym funkcjonują. Teatr daje doskonałe dochody, a wielu z tego korzysta. Ież to przez wieki powstało budowli sakralnych oraz instytucji prowadzących działalność dla dobra Kościoła. Wierni dają datki, ale wymagania teraz są większe, więc nie ma co się dziwić, że sięga się do kasy państwowej. Ci, co dają pieniądze podatnika,



też mają silne więzi z tym teatrem. Nie mogą odmówić, bo to grzech. Dzisiaj nie ma czemu się dziwić, bo nieważne, kto będzie u władzy, teatr musi funkcjonować. A wiara w Boga nie wymaga nakładów.

Andrzej Kościński

✉ Terror histerii czy głos rozsądku?

Gdzie się podział rozsądek? Walka Ostatniego Pokolenia pokazuje niezrozumienie tematu i ma charakter prowokacji politycznej. Zmiany klimatyczne postępują proporcjonalnie do ilości energii cieplnej i zanieczyszczeń chemiczno-fizycznych generowanych przez ludzi, które trafiają do atmosfery. Zanieczyszczenia wędrują wraz z atmosferą wokół Ziemi i są wynikiem działania wszystkich ludzi, wszystkich państw. Źródłami energii cieplnej są silniki cieplne (samochody, samoloty, sprzęt wojskowy) oraz stacje radiolokacyjne (naziemne, morskie, powietrzne i kosmiczne) czy nadajniki telekomunikacyjne (w tym komórkowe). Źródłami zanieczyszczeń chemiczno-fizycznych są zakłady przemysłowe (chemiczne, huty, elektrownie, składy odpadów itp.) oraz kurz ze startów opon i ziemi podnoszony przez samochody. Można oszacować, ile w ciągu sekundy gigadżuli ciepła oraz metrów sześciennych gazów i kilogramów cząstek stałych jest dostarczanych do atmosfery i jakie są tego skutki. Walka z kopcuchami to odwracanie uwagi od istoty problemu. Nikt nie mówi o ograniczeniu przewozu towarów ciężarówkami i przejściu na transport kolejowy czy o rozwoju komunikacji publicznej. Handel dwutlenkiem węgla ma identyczne znamiona jak handel kryptowalutą. Wielcy się bogacą, a mali płacą i płaczą. Gdzie się podziła prawda o tak fundamentalnych problemach współczesności? (...)

Zbigniew Milewski



ZDJĘCIE TYGODNIA

Kardiochirurdzy z Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego przeszczepili 14-latkę serce od dawcy z Litwy. Był to pierwszy w Polsce przeszczep serca transportowanego z zagranicy. Serce było aktywne poza organizmem 7,5 godz. dzięki urządzeniu OCS Heart. Nz. Oliwia Galkanek już po przeszczepie z mamą. Więcej o transplantacjach na s. 30.



3,6% wyniosła inflacja w 2024 r. (GUS). A jeszcze w 2022 r., za rządów PiS, była ona w wysokości **14,4%, w 2023 r. – 11,4% (też GUS).** To kiedy było drożej? Pytanie do wyborców dojnej zmiany.

Barbara Nowacka, ministra edukacji narodowej, podpisała rozporządzenie zmniejszające od 1 września **liczbę godzin religii w polskich szkołach do jednej tygodniowo.** Katecheza będzie obowiązkowo wpisana **na pierwszą lub ostatnią lekcję.** Konferencja Episkopatu Polski protestuje i zachęca rodziców do sprzeciwu. Argumenty ma mizerne.

Od ponad 70 mld zł wydanych na obronność w 2022 r. i 111,2 mld zł w 2023 r. doszliśmy do ok. **134 mld zł w 2024 r. (3,7% PKB).** W tym roku planowane są wydatki w wysokości 186 mld zł.

Karol Nawrocki ma bardzo krótką pamięć i **kłamie.** Jako dyrektor Muzeum II Wojny Światowej w 2018 r. korzystał z dwupiętrowego apartamentu deluxe (116 m kw.) przez 197 dni i kilka dni z pokoju dwuosobowego. Gdyby te pomieszczenia wynajęto komercyjnie, muzeum zarobiłoby 120 tys. zł. Nawrocki nie zapłacił nic. Korzystał z lokali w Gdańsku, choć jego dom jest 5 km od muzeum.

Okolo 4 mln Polaków nadużywa alkoholu, a 600-700 tys. to alkoholicy. Co roku umiera z tego powodu **10 tys. osób.**

W Chinach i krajach Azji Południowo-Wschodniej buduje się ok. **400 elektrowni węglowych,** a kolejne 500 czeka na pozwolenie.

USA wprowadziły nowe regulacje w sprawie chipów, niezbędnych do tworzenia zaawansowanych technologii AI. Nie potwierdziło się, że prezydent Duda jest największym przyjacielem Trumpa, bo Polska nie została włączona do grupy 18 uprzywilejowanych krajów.

Korek Bojanowski za film „Utrata równowagi” otrzymał **Nagrodę im. Janusza „Kuby” Morgensterna „Perspektywa”** za najlepszy debiut reżyserski.

Ukraińska Rada Najwyższa uchwaliła rezolucję „w sprawie uznania ludobójstwa Czerkiesów dokonanego przez imperium rosyjskie” (1763-1864). Mimo dramatycznej sytuacji na froncie politycy ukraińscy znaleźli czas na zajęcie się losem Czerkiesów. Na ocenę ludobójstwa na Wołyniu musimy jeszcze poczekać.

Uruchomienie nowych instalacji w terminalu LNG pozwala na sprowadzanie do Świnoujścia gazu z całego świata i zabezpieczenie połowy niezbędnych dostaw do Polski.

Anna Bryłka (Konfederacja) i Patryk Jaki (PiS) w dyskusji nad wystąpieniem premiera Tuska w Parlamencie Europejskim pokazali, że w głupocie przebijają najgłupszych polityków. I to z wielkim zapasem.

35,2% Polaków odwiedziło w ubiegłym roku stomatologa. To samo zrobiło 82,4% Holendrów i 80,4% Czechów, ale tylko 17,9% Rumunów („Angora”).

Mniej niż 30 lat ma w Polsce tylko niecałe 5% nauczycieli.

PRZEBŁYSKI

Szczucki, pomysłowy kombinator

Walec sprawiedliwości jedzie powoli, ale jedzie. I dojechał do Krzysztofa Szczuckiego. Pościaci wyjątkowo, nawet jak na dojną zmianę, załganej. Tak bardzo chciał zostać posłem PiS z Kujawsko-Pomorskiego, że sprywatyzował część Rządowego Centrum Legislacji, którego był prezesem. Kazał zatrudnić w RCL sześć osób, które należały do jego sztabu wyborczego. Ludzi z wykształceniem średnim, studentów. Ich jedynym zadaniem była praca w kampanii wyborczej Szczuckiego. Prokuratura ma bardzo bogaty materiał dowodowy. Państwo płaciło pomagierom Szczuckiego, którzy jeździli na jego spotkania wyborcze. Ubrani w koszulki z nazwiskiem Szczuckiego rozdawali ulotki, cukierki, ustawiali banery. Zarabiali krocie. Bo kto prezesowi Szczuckiemu mógł zabronić wydawania naszych pieniędzy? Ta hucpiarska afery musi być sprawiedliwie osądzona. A Szczucki powinien zwrócić kasę, którą wydano na jego mandat poselski.



Z Nawrockim pod pachą

Do komitetu poparcia Karola Nawrockiego zaczęli wstępować kolejni księża. Wiadomo, że kandydat jest obywatelski. Bo osobiście go wybrał i namaścił obywatel Kaczyński. Jarosław daje też Nawrockiemu środki płatnicze na kampanię. Kandydata obywatela prezesa PiS wspierają więc inni obywatele. Na przykład obywatel prof. Paweł Bortkiewicz od chrystusowców, prof. Jarosław Wąsowicz od salezjanów. Pewnie za zgodą prowincjała chrystusowców i inspektora salezjanów. U Nawrockiego są też inni księża: Jerzy Chorzępa, Eugeniusz Jankiewicz, Ireneusz Juszczyński, Tadeusz Magas i Stanisław Nabywaniec. Do PiS nie mogli się zapisać, bo ksiądz nie może należeć do partii. Ale rwą się do polityki. Choć to Kościołowi szkodzi.

Popłoch amerykańskiej Polonii

Kto będzie przyjmował Polaków wyrzucanych przez Trumpa z USA? Prezydent Duda w Pałacu Prezydenckim? Prezes Kaczyński na Srebrnej? Morawiecki w jednej ze swoich posiadłości? Obajtek – wiadomo gdzie. Kto jeszcze? Wśród 11 mln imigrantów bez prawa pobytu w USA są też Polacy. Szczególnie wielu mieszka w Chicago i w stanie Illinois. Szacujemy że nielegalów wśród Polonii jest między 15 a 30 tys. No cóż. To takie trumpowskie. Wybrali go, więc mogą spadać.

Pies skopany przez księdza

Nowy rok i nowa lista palantów. W styczniu bezkonkurencyjny okazał się ksiądz z parafii św. Marcina w Tolkowcu. W ramach kolędy wielebny trafił do wsi Wysoka Braniewska (woj. warmińsko-mazurskie). Gdy na jednej z posesji właściciela domu powiedziała mu, że kolędy nie przyjmie, zaczął drażnić psa, kopać w siatkę ogrodzeniową i przez siatkę szczekającego psa. Na finał zaczął rzucać kamieniami. Pies zdaniem mieszkańców wsi jest łagodny. W przeciwieństwie do duchownego. Archidiecezja księdza upomniiała. Ale wstyd został.





PYTANIE TYGODNIA

Dlaczego Polak klnie jak szewc?

DR MAŁGORZATA KŁOS,
językoznawczyni, USWPS

Dlaczego dużo przeklinamy? Powodów jest wiele i mogą one być natury zarówno psychologicznej (daje się upust emocjom, dodatkowo przeklinanie działa nieco jak „nawyk” mózgu), jak i społeczno-kulturowej (język to wyraz tożsamości grupowej). Pamiętajmy też, że w ostatnich latach język mediów i dyskursu publicznego zdemokratyzował się, stał bardziej kolokwialny i spontaniczny. Im więcej przekleństw w przestrzeni medialnej, tym bardziej nam powszednieją, przez co tracą moc. Warto jednak pamiętać, że ich siła kryje się przede wszystkim w intencji, nie zaś w samym słowie. Od częstotliwości przekleństw ważniejsze jest więc użycie języka z zachowaniem szacunku dla innych.

MIROSŁAW PAWŁOWSKI,
dyrektor sieci bibliotek Ursynoteka

Kto nie przeklina, niech pierwszy rzuci kamieniem. Klną nie tylko Polacy, robią to wszystkie nacje. Przeklinaliśmy zawsze, bo przekleństwa istnieją tak długo jak sam język. Brzydkie słowa, których używamy na co dzień, miały początek w kulturze ludowej – w klątwach i urokach. Zawsze były powszechnie uważane za objaw prymitywizmu i braku kultury, a przecież stand-up, współczesna artystyczna forma komediowa, opiera się głównie na umiejętnym i adekwatnym do opowiadanej historii przeklinaniu. Czasami klniemy, bo musimy wyrazić emocje – te pozytywne i te negatywne, bo mamy mały zasób słów, bo internet jest pełen takich treści i tak wypada – wtedy jesteśmy tacy normalni, wyluzowani i podążamy za modą. Klniemy na potęgę, bo po prostu mamy małą świadomość językową i tym samym obniżamy swoje kompetencje komunikacyjne, co w konsekwencji zaprowadzi nas do prapoczątków. I to jest smutne w przeklinaniu, a wydaje się nam, że jest super.

HENRYK MARTENKA,
felietonista tygodnika „Angora”

Widzę kilka powodów przeklinania. Klniemy, bo tylko tak umiemy okazać ekspresywność. Brakuje nam kindersztuby i tym maskujemy swoją słabość. Jesteśmy też sfrustrowani i niedowartościowani. Klniemy, nie zważając na negatywne nacechowanie języka. Klniemy, wypierając interpunkcję, a nawet wymarły dawno temu iloczias. Bluzgiem wypełniamy pauzy oddechowe. Klniemy często mimowiednie, bez gniewu czy agresji. Dla popisu. Przekleństwa zlektykalizowały się do tego stopnia, że co drugi Polak klnie, nie wiedząc o tym. Szokuje, gdy dziecko puszcza wiązanekę, nie podejrzewając nawet, że ktoś może to wstrząsnąć. Klniemy również, dbając o soczystość języka. Przekleństwa w ustach Kaliny Jędrusiak były środkami stylu, a nie wynikały z braku wychowania. Dodawały emocjonalnej pikanterii tam, gdzie w innych wypadkach pojawia się słowna brutalność.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak



IMPERATOR

Elon Musk ma dzisiaj władzę, której przed nim nie miał nikt

Mateusz Mazzini

Choć w poniedziałek 20 stycznia w Waszyngtonie wydarzyło się bardzo dużo rzeczy i podjęto wiele decyzji o poważnych skutkach politycznych i gospodarczych, relacje z tego dnia zdominował 10-sekundowy fragment jednego przemówienia. W dodatku nie było to przemówienie głównego bohatera inauguracji prezydentury, ale kogoś, kto w tradycyjnym rozumieniu władzy i polityki jest aktorem co najwyżej drugoplanowym. Elon Musk, najbogatszy

człowiek na świecie, właściciel ważnej platformy medialnej i międzynarodowy lobbysta we własnej sprawie, wyszedł na scenę, żeby podziękować wyborcom za ponowne wywyższenie Donalda Trumpa do władzy. Zrobił to w typowy dla siebie sposób, wolny od społecznych konwencji. Na scenie skakał, krzyczał, wymachiwał pięściami niczym zakonchany w swoich idolach fan zespołu rockowego.

To samo w sobie nie było dziwne, Musk dokładnie w taki sposób zachowywał się na każdym kampanijnym wiecu Trumpa, w którym

brał udział. Poza polityką też bywa społecznie krępujący, w wywiadach często nie wyraża się płynnie, nie umie jasno sformułować myśli. Co jest o tyle ważne, że stanowi cenny kontekst dla wydarzeń z Waszyngtonu. Słowem, Elon Musk w wielu dziedzinach jest wybitny, ale wystąpienia publiczne do tej kategorii się nie zaliczają.

Tym razem jednak zrobił na scenie coś, co trudno uznać za rezultat nieprzemyślanego zachowania. Mówiąc do zebranego tłumu: „Oddaję wam moje serce”, podniósł prawą rękę, uderzył się energicznie w klatkę

piersiową, po czym ową rękę szybko wyprostował w górę. Gest powtórzył zaraz w identyczny sposób wobec tych, którzy siedzieli za nim. Dwa razy w ciągu kilku sekund machał przed całym światem wyprostowaną prawą ręką.

I cały świat stracił nad sobą panowanie.

Spór o gest

Internet zawrzał, momentalnie dzieląc się na tych, dla których był to oczywisty salut rzymski, i na tych, którzy zobaczyli w geście Muska kolejny przykład jego skrajnego trefnisiostwa.

Miliarder jest znanym prowokatorem internetowym, nie uznaje żadnych granic społecznych, wszystkie idee, którym hołduje – np. opacznie rozumiana przez niego wolność słowa – interpretuje w sposób radykalny. Wszystko albo nic. Każda próba ingerencji w treści, zwłaszcza internetowe, jest formą cenzury. Napisać i powiedzieć można wszystko, oczywiście dopóki pasuje to samemu Muskowi, bo ma on bogatą historię dosłownego niszczenia ludzi, którzy z nim się nie zgadzają. O tym, jak miliarder ucisza swoich krytyków, jeszcze w tym tekście będzie. Na razie skupmy się na wydarzeniach bieżących.

Dawno, może nawet nigdy, nic nie wywołało tak błyskawicznej i silnej polaryzacji, jak jego uniesiona prawa ręka. Zrobił to czy tego nie zrobił? Chciał czy nie chciał? Wyszło przypadkiem czy to celowy gest wymierzony właśnie w przeczulone liberalne elity? Jest faszystą czy nie? O co tak naprawdę chodziło w tym geście? To tylko niektóre pytania, które dręczą komentatorów, ale i zwykłych internautów.

Odpowiedzi na nie zna jedynie sam Elon Musk, choć i to nie jest pewne, bo wbrew otaczającej go sławie wizjonera i stratega on też często kieruje się impulsami, także w biznesie. Prawda leży jednak zupełnie gdzie indziej.

Nie ma bowiem żadnego znaczenia, czy to był salut rzymski, czy nie. Ani czy Elon Musk chciał go wykonać, czy tak po prostu zostało

to odebrane. Uznajmy, że te pytania są całkowicie nieistotne, a wręcz źle zadane.

Jedną rzeczą, która w tym kontekście ma znaczenie, jest fakt, że sporo ludzi w uniesionej prawej ręce zobaczyło dokładnie to, co chciało zobaczyć – gest afirmacji ideologii faszystowskiej. I mowa tu nie tylko o progresywnych komentatorach, widzących faszyzm zawsze i wszędzie, często na wyrost, czego efektem stała się gigantyczna inflacja tego pojęcia. W Musku, najpotężniejszym człowieku na planecie, faszystę zobaczyli również ci, którzy faszystami są naprawdę. Ci, którzy są gotowi do przemocy na tle rasowym, otwarcie propagują antysemityzm i chętnie zaprowadzą nowy, antydemokratyczny porządek. Patrząc na swojego idola, człowieka o sprawczości trudnej do objęcia ludzkim rozumem, widzieli pochwałę własnych poglądów, dotychczas spychanych na margines i nieakceptowanych. Skoro on tak myśli, to my też możemy. Skoro on to robi, nikt nam nie może tego zakazać.

To założyciel Tesli, a nie prezydent Stanów Zjednoczonych ma dzisiaj większą moc sprawczą.

Z poczucia intelektualnej uczciwości wobec czytelników sam zajmę stanowisko w tym sporze i zrobię to odpowiednio wcześniej. To był salut rzymski, bez względu na intencje, które w takich przypadkach, w wykonaniu kogoś o tak gigantycznej ekspozycji medialnej, są całkowicie nieistotne. Liczy się efekt, odbiór przez całość opinii publicznej.

Przez ostatnie 10 lat pracy dziennikarskiej zajmowałem się głównie ruchami skrajnie i radykalnie pravicowymi w Europie. Spędziłem z nimi sporo czasu, także w szeregach osób otwarcie przyznających się do poglądów neofaszystowskich. Szedłem do grobu Benita Mussoliniego z grupą ponad 200 włoskich aktywistów, wspominających z nostalgią czasy włoskiego faszyzmu. W dniu urodzin dyktatora zebrali się w miejscu jego pochówku i na sygnał szefa grupy wszyscy unieśli

prawe dłonie, zbliżyli je do klatki piersiowej, po czym energicznie je wyprostowali. Dokładnie tak jak Elon Musk 20 stycznia na Kapitolu. Zbyt dużo tych gestów widziałem, w jednoznacznym środowisku ideologicznym, żeby nie umieć tego nazwać po imieniu.

Jednak, jak już wspominałem, nie ma to żadnego znaczenia.

Tym natomiast, co w sprawie Muska, Trumpa i całej nowej amerykańskiej administracji ma znaczenie największe, jest zrozumienie istniejącej tam dynamiki władzy. Im szybciej zdamy sobie sprawę, że to właśnie założyciel Tesli, a nie prezydent Stanów Zjednoczonych ma dzisiaj większą moc sprawczą, tym lepiej zarządzać będziemy własną uwagą, tak przecież cenną u progu kadencji, która co kilkanaście minut zalewać nas będzie szokującymi informacjami, i to przez całe cztery lata.

Trump daleko z tyłu

Ponad 100 lat temu Max Weber, niemiecki socjolog i jeden z ojców

założycieli współczesnych nauk społecznych, stworzył taksonomię typów legitymizacji władzy. Wyselekcjonował trzy istniejące wśród ludzi rodzaje źródeł władzy. Przywódcy polityczni, pisał Weber, rządzą nami dzięki charyzmie, tradycji lub prawu. Dwa pierwsze rodzaje legitymizacji dotyczą raczej społeczności preindustrialnych i kontekstów historycznych, choć nie da się ukryć, że charyzma bywa pomocna w zdobyciu władzy drogą demokratyczną. Weberowi chodziło jednak bardziej o ludzi, którzy kierują innymi ludźmi, bo ich pozycja wynika z ciągłości historycznej. Tu dobrym przykładem są monarchie, często funkcjonujące w ustrojach bez bardzo precyzyjnego umocowania prawnego. A mimo to wciąż zachowują kompetencje wykonawcze.

Legitymizacja przez charyzmę to cecha przywódców ruchów społecznych, zwłaszcza tych bez ▶

► zinstytucjonalizowanej, konkretnej struktury – takich jak protesty klimatyczne Fridays for Future albo zapomniany już populistyczno-lewicowy zryw Occupy Wall Street z czasów kryzysu finansowego w 2008 r.

Zdecydowana większość liderów dzisiejszego świata rządzi jednak na podstawie mechanizmów regulowanych prawnie. Wygrywają wybory, których przebieg jest zdefiniowany w kodeksach i ustawach. Tak samo jak zakres ich późniejszej władzy. Legitymizacja demokratyczna to

prezydenturę, obie izby Kongresu i Sąd Najwyższy, lecz przynajmniej teoretycznie Partia Demokratyczna może zasygnalizować swój sprzeciw wobec jego polityki. Warto jednak pochylić się nad reprezentatywnością i instytucjami. Bo to dzięki nim Trump ma w ogóle jakąkolwiek moc sprawczą. Nazywając rzeczy po imieniu, Trump może zmienić rzeczywistość tylko i wyłącznie dlatego, że jest prezydentem USA – a nie dlatego, że jest Trumpem. Sam z siebie nie jest w stanie zrobić prawie nic.

te kryteria dość łatwo mogą zostać spełnione, zwłaszcza w bieżącym układzie politycznym – istnieje jednak jakiś margines niepewności. A przede wszystkim poślizg czasowy, bo złożoność tego procesu jest nieporównywalnie większa.

W przypadku Elona Muska nic z tych rzeczy nie ma zastosowania. Jego sprawczość nie wynika bowiem z zajmowanego stanowiska czy z mandatu demokratycznego. On może bardzo dużo nie dlatego, że jest współprzewodniczącym federalnej komisji, prezesem firmy czy właścicielem medium. Musk może dużo, bo jest sobą.

Jego majątek szacowany jest w tej chwili na 400 mld dol., co przekracza ludzkie wyobrażenia, i to dosłownie, bo naprawdę nie da się zwizualizować takiej kwoty ani tego, co można z nią zrobić. Jak niedawno zauważył na łamach „New York Timesa” publicysta Ezra Klein, bogactwo finansowe Muska jest ogromne, ale bogactwo uwagi jeszcze większe. Odkąd stał się właścicielem X/Twittera, najprawdopodobniej zmieniony został algorytm platformy, żeby sztucznie zwiększyć rolę wpisów Muska. W tej chwili każdy z 225 mln śledzących otwiera swoją aplikację na smartfonie i od razu na górze strony widzi właśnie słowa miliardera, umieszczane tam sztucznie i celowo. Dlatego o ile jego olbrzymia popularność jest faktem, to już jej organiczne pochodzenie najzwyczajniej w świecie uznajmy za bzdurę. W dodatku Musk jest oligarchą ponadnarodowym, który potrafi namieszać w każdym kraju na świecie, jeżeli się nim zainteresuje. Ingerował w wybory w USA, rozdając milionowe czeki wyborcom poza oficjalnymi kanałami sponsorowania partii politycznych. Groził, że to samo zrobi w Wielkiej Brytanii, sugerując nieprawomocną pozycję premiera Keira Starmera. Odgrzebał przy tym stary skandal z udziałem grupy mężczyzn azjatyckiego pochodzenia, którzy dopuszczali się przestępstw seksualnych na angielskich nastolatkach. Nie zmienia tu niczego fakt, że wyroki w tej sprawie zaczęły zapadać już w 2013 r., Musk uznał, że na Wyspach władze ukrywały siatkę pedofilską.

Miliarder jest znanym prowokatorem internetowym, nie uznaje żadnych granic społecznych.

najbardziej pożądana forma uzasadniania władzy. Nawet autokraci, w sposób oczywisty zagrabiający cały aparat państwowy dla siebie, dążą do jej uzyskania. Co zresztą widać na przykładach Władimira Putina, Viktora Orbána czy innych satrapów, którzy wciąż przeprowadzają wybory, nawet jeśli są to głosowania czysto fasadowe.

Drugim elementem teoretycznym niezbędnym do zrozumienia różnicy pomiędzy Muskiem i Trumpem jest rozłożenie na czynniki pierwsze działania współczesnych demokracji. Zasadniczo bowiem mają one dwa przymioty: są reprezentatywne i deliberatywne. Krótko mówiąc, w demokracjach wyborcy nie sprawują władzy sami, tylko poprzez swoich przedstawicieli działających w ramach instytucji. Drugi z tych przymiotów oznacza natomiast, że żadna większość demokratyczna, a już na pewno jedna osoba, nie może sprawować władzy ani podejmować decyzji bez choćby wysłuchania argumentów opozycji i grup mniejszościowych. Deliberacja oznacza w końcu namysł, rozmowę, dialog. Wygrywa ten, kto ma więcej szabli w parlamencie, ale prawo głosu ma każdy.

Donald Trump jako 47. prezydent Stanów Zjednoczonych operuje w ramach przywołanych tu paradygmatów. Oczywiście deliberatywność demokracji jest u niego minimalna, bo republikanie kontrolują

Dekrety, które hurtowo podpisywał w pierwszym tygodniu prezydentury, tak naprawdę są bezwartościowymi kartkami. Znaczenie nadają im dopiero instytucje, którymi prezydent kieruje, bo to one będą jego decyzje wprowadzać w życie. Trump istnieje bowiem w kontekście instytucjonalnym i tylko dzięki instytucjom ma władzę.

W przeciwieństwie do Elona Muska.

Człowiek, który lubi namieszać

Też, że to miliarder o mocno pravicowych poglądach jest bardziej niebezpieczny od nowego prezydenta USA, można uzasadnić właśnie po analizie ich sprawczości. W przypadku Muska jest ona większa dlatego, że nie operuje on w przestrzeni instytucjonalnej, tylko własnych firm, które w całości kontroluje, tak samo jak uwagę milionów ludzi na całym świecie. Donald Trump rzuca wprawdzie dość przerażające groźby na temat inwazji na suwerenne państwa, jawnie podważając podstawy porządku międzynarodowego, ale on sam nigdy nie będzie w stanie ich spełnić. Do wprowadzenia w życie tych szalonych pomysłów potrzebuje Kongresu, który go poprze. Generatów, którzy nie wypowiedzą mu posłuszeństwa. Wojskowych, którzy logistycznie przeprowadzą operacje. I żołnierzy, którzy będą gotowi za niego umierać. Oczywiście wszystkie



Protest przeciwników Trumpa i jego oligarchów. Los Angeles, 20 stycznia 2025 r.

Potem zasugerował, że zasili konto skrajnie prawicowej partii Reform UK kwotą 100 mln funtów. Dla kontekstu: najdroższe kampanie wyborcze największych partii kosztują tam maksymalnie 20 mln, czyli pięć razy mniej. Na razie jednak ugrupowanie zniknęło z radaru zainteresowań Muska, bo miliarderowi przestał się podobać szef Reform UK, Nigel Farage. Polityk odważył się pójść do BBC i w wywiadzie powiedzieć, że nie ze wszystkimi pomysłami Muska się zgadza, więc ten napisał na X o potrzebie zmiany przywództwa w partii. Przy okazji domagał się wypuszczenia z więzienia Tommy'ego Robinsona, autentycznego brytyjskiego faszysty i radykała, założyciela English Defence League (Angielskiej Ligi Obrony), przez lata namawiającego do przemocy wobec niebiałych Brytyjczyków i regularnie grożącego dziennikarzom i badaczom. Robinson odsiaduje wyrok 18 miesięcy pozbawienia wolności za obrazę sądu i łamanie zakazu kolportowania materiałów z mową nienawiści, ale Musk chciałby go widzieć wolnego, może nawet w ławach parlamentarnych.

Do tej listy dopisać można Niemcy, gdzie Musk promuje prorosyjską partię AfD, i Włochy, gdzie gloryfikuje premierkę Giorgię Meloni, jednocześnie robiąc z nią interesy w sektorze telekomunikacyjnym.

Jego najnowszą ofiarą jest Wikipedia, przechylona według niego ideologicznie w lewą stronę. Miliarder wezwał do zaprzestania wpłat na działalność internetowej encyklopedii, dopóki nie „zostanie przywrócona równowaga ideologiczna”. Czyli aż nie znikną artykuły opisujące skrajną prawicę właśnie jako skrajną.

Niebezpieczny, bo wszystko robi sam

Musk jest niebezpieczny właśnie dlatego, że wszystko to robi sam, jako Elon Musk. Wystarczy kilka wpisów w internecie, żeby rozedrgać

Doczekaliśmy się pierwszego międzynarodowego imperatora, który w dodatku sam sobie włożył koronę na głowę.

całą scenę polityczną w dużym europejskim kraju. Częściowo winni temu są oczywiście liberalni komentatorzy i internauci, którzy na każdą prowokację reagują przesadnie, ale to tylko wycinek prawdy. Musk ma w tej chwili znacznie większą zdolność mobilizacji tłumów niż nawet Trump. Także dlatego, że ruch MAGA jest niejednorodny, złożony z grup o różnych motywacjach: ekonomicznych, rasowych, religijnych. Z kolei fanatycy Muska wierzą w niego dlatego,

że jest tym, kim jest. Politykiem, biznesmenem, geniuszem, mesjaszem i prorokiem technooptymizmu w jednym. I wszystkie te role odgrywa tak samo dobrze.

Potwierdzeniem tej tezy jest proste ćwiczenie intelektualne, ważne z punktu widzenia polskiego odbiorcy. Na pytanie o najgorszą możliwą rzecz, która mogłaby się przydarzyć w wyniku działań Trumpa, większość osób w naszym kraju odpowie zapewne, że byłoby to wstrzymanie wsparcia dla Ukrainy. Ale nawet gdyby prezydent USA zrobił to w stopniu całkowitym, ukraińskie wojsko nie skapitulowałoby z dnia na dzień. Jeszcze trochę zapasów broni ma, część deficytu pokryłaby zapewne Europa. Ukraina by przegrała, ale nie od razu i nie bez walki.

Dla porównania – Elon Musk mógłby kilkoma ruchami, prawdopodobnie nawet z własnego smartfona, wyłączyć Ukraincom internet. Połączenie z siecią mają przecież głównie dzięki systemowi satelitarnemu Starlink, czyli technologii w całości należącej do Elona Muska. Jeśli któregoś dnia zdecydowałby, że Ukraincom pomagać już nie chce, ci straciliby większość swoich zdolności obronnych i ofensywnych. Mogliby zapomnieć o dronach, systemach namierzania pocisków, skutecznej neutralizacji rosyjskich ostrzałów. Co więcej, Musk najprawdopodobniej byłby w stanie zrobić to sam, dosłownie, bo jest doskonały technicznie, zna i rozumie sposób działania

tego systemu, taką zmianę pewnie wprowadziłby własnoręcznie. Nie czekałby na dekret do podpisu, zebranie większości w Kongresie czy mobilizację wojsk.

Elon Musk ma więc dzisiaj władzę, której nie miał nikt przed nim. Doczekaliśmy się pierwszego międzynarodowego imperatora, który w dodatku sam sobie włożył koronę na głowę.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

Konsolidacja oligarchii

Szefowie Mety, OpenAI, Google'a i Amazona doskonale wiedzą, że mają dziś więcej do ugrania z Partią Republikańską

Jakub Dymek

7 stycznia 2025 r. Mark Zuckerberg zwrócił się z orędziem do opinii publicznej i globalnej populacji użytkowników jego platform: Facebooka, WhatsAppa i Instagrama. Niemal równo cztery lata po wyrzuceniu Donalda Trumpa z wielkich platform internetowych szef cyfrowej domeny obejmującej ponad 3 mld ludzi wygłosił zasady ewangelii na nową epokę. Teraz nie będzie już narzucającej poprawności politycznej, korporacyjne działy równości i inkluzywności zostaną zlikwidowane i „razem z prezydentem Trumpem będziemy się sprzeciwiać na całym świecie rządów, które atakują amerykańskie firmy i chcą wymusić na nich więcej cenzury”. Inni, McDonald's, Walmart czy Amazon, nie czekali nawet do początku stycznia (i nie ogłaszali tego aż tak spektakularnie jak szef Mety) ze zlikwidowaniem swoich inicjatyw na rzecz różnorodności, równości i włączenia. Czyli znielenawidzonego przez prawicę, nierzadko zresztą słusznie, korporacyjnego DEI (od diversity, equity, inclusion), dzięki któremu kapitalizm przywdziewał maskę ruchu społecznego dbającego o wszystkie mniejszości i ofiary ludzkiej krzywdy.

Do Mar-a-Lago, rezydencji prezydenta elekta na Florydzie, zaczęli zjeżdżać szefowie kolejnych firm, próbując mu się podliznąć. „Každy chce się ze mną zaprzyjaźnić”, napisał Trump na swojej własnej platformie Truth Social w połowie grudnia. I nie skłamał. Im bliżej było do 20 stycznia, tym bardziej pęczniał fundusz inauguracyjny jego kampanii. Ostatecznie zebrano rekordowe 170 mln dol. A firmy i ich szefowie,

którzy wcześniej nie chcieli mieć z Trumpem nic wspólnego – od Apple'a i Amazona po Microsoft i OpenAI – wrzucili każdy po milionie.

Wreszcie przyszedł dzień inauguracji. I słynne zdjęcie, na którym honorowe i wyeksponowane miejsca zajmują szefowie największych cyfrowych korporacji z Doliny Krzemowej. W jednym rzędzie obok siebie: Zuckerberg z Mety/Facebooka, Jeff Bezos z Amazona, Sundar Pichai z Google'a i Elon Musk z Tesli/SpaceX oraz X.com. Obecni tego dnia byli też szefowie Apple'a Tim Cook i OpenAI Sam Altman.

Internet zalały komentarze pełne oburzenia, że wielki biznes skrzył w prawo. Tymczasem nic podobnego nie miało miejsca. To w najlepszym

umrze w blasku fleszy, a dziennikarzom „Posta” i tak nie pozwoli o tym napisać. Stwierdzenie, że wielki biznes „ukorzył się przed Trumpem”, jest w najlepszym razie połowicznie prawdziwe.

Cała prawda okazuje się brutalniejsza – i ciekawsza. Chodzi bowiem nie tylko o ten banal, że wielkie korporacje zajmują się zarabianiem pieniędzy dla swoich akcjonariuszy, więc fasadowo popierały postępową agendę, gdy im to pasowało. Prawa kobiet, mniejszości czy migrantów były przecież w ich rękach wygodnym narzędziem do tłumienia lewicowej krytyki i przekierowania sporu na tematy kulturowe i tożsamościowe (pisałem o tym choćby w „Przeglądzie” w 2021 r.). Bardziej interesujące

Twierdzenie, że wielki biznes „ukorzył się przed Trumpem”, jest w najlepszym razie połowicznie prawdziwe.

razie powierzchowne interpretacje sprzedawane przez sieroty po epoce, w której „dobre korporacje popierały postępowe postulaty”, „walczyły ze zmianami klimatu” i „pomagały Ukrainie”.

Ubolewanie nad woltą Bezosa, Pichai, Zuckerberga i innych, którzy „ratowali demokrację”, a teraz nie chcą tego robić, jest niczym innym jak rozpaczliwą próbą redukcji dysjonansu poznawczego przez ludzi, którzy zostali na peronie, gdy pociąg rzeczywistości dawno odjechał. W sumie trudno się dziwić – Jeff Bezos parę lat temu został właścicielem gazety „Washington Post”, gdy swoim hasłem uczynił słowa: „Demokracja umiera w ciemności”. Nie uroni on jednak tzy, jeśli demokracja

jest to, że szefów wielkich korporacji i krzemową oligarchię zbliżyła do Trumpa coraz większa wspólnota interesów.

Oni rozumieją po prostu, że – inaczej niż w 2016 r. – polityka zimnej wojny 2.0 z Chinami, próby nakładania sankcji na chińską konkurencję czy wywłaszczania jej, agresywny protekcyjizm w obronie amerykańskich interesów, wielkie wydatki na militarne zastosowanie algorytmów i sztucznej inteligencji, walka z płynącymi z Europy regulacjami oraz wybiecie zębów urzędowi antymonopolowemu, a przy tym wszystkim porzucenie zobowiązań ekologicznych i klimatycznych, mogą dać nawet lepsze warunki do prowadzenia biznesu niż wcześniejsza faza globalizacji.



Od lewej: Mark Zuckerberg, Jeff Bezos z żoną, Sundar Pichai i Elon Musk na inauguracji prezydentury Donalda Trumpa, 20 stycznia 2025 r.

Nie powinno to zresztą aż tak dziwić. Jak pisałem ledwo kilka tygodni temu na innych łamach, sojusz demokracji i wielkiej technologii to okazjonalna sprawa: „Światy wielkiej technologii i demokracji to przygodni sojusznicy. I często występuje między nimi napięcie. Z jednej strony, każdy powie, że prawdziwy postęp, przedsiębiorczość i innowacyjność mogą kwitnąć wyłącznie w warunkach liberalnej demokracji – z jej wolnym rynkiem, swobodnym obiegiem idei, szacunkiem do różnic i pluralistycznym społeczeństwem. Z drugiej jednak, w demokracji można rozwojowi technologii postawić granice. Pracownicy i obywatele mogą się zbuntować, firmy muszą płacić podatki i poddawać się regulacjom, a pomysły innowacyjnych rozwiązań społecznych rozbijają się o przepisy, wyroki sądów i cykl wyborczy. Pojawia się sprzeczność. Bardziej zależy nam na postępie czy przestrzeganiu norm?”.

Oczywiście miliarderzy z Doliny Krzemowej już dawno tę kwestię rozstrzygnęli. Szefowie Mety, OpenAI, Google’a i Amazona doskonale wiedzą, że mają dziś więcej do ugrania z Partią Republikańską, ich interesy są w wielu obszarach zbieżne. Sojusz z Partią Demokratyczną mocno

przekroczył datę ważności. Wiatr wieje dziś z innej strony, a co bystrzej si i bardziej cwani, np. Musk, Peter Thiel czy Marc Andreessen, wyczuli to wcześniej i byli na dobrej pozycji, by wzbić się wyżej.

Jak trzeźwo zauważył John Herrman w „New York Magazine”, ogłaszanie przez Zuckerberga nowej wielkiej strategii dla Facebooka i swoistej mea culpa przy okazji wyborów jest wręcz rytuałem. Zuckerberg ogłaszał zmiany (czasem za ledwie po kilku tygodniach przecząc samemu sobie) po wyborach w 2016 r., po wyborach w 2020 r. i teraz, po wyborach z roku 2024. Różnica jest taka, że tym razem naprawdę ma z nową administracją wspólny interes, a zrzucenie z siebie konieczności utrzymywania całego aparatu factcheckingowego oraz moderacji treści korporacja typu Meta przyjmuje z wielką ulgą. Wbrew powszechnej zwłaszcza na prawicy opinii wielkie platformy cyfrowe niechętnie brały na siebie rolę cenzorów i zwiększające się obowiązki w tym zakresie traktowały jako ciężar, musiały bowiem godzić sprzeczne interesy coraz liczniejszych grup – tu Zuckerberg wcale nie musi kłamać. Co więcej, ani on, ani inni nie muszą „przechodzić na prawą stronę”, skoro nigdy jej nie porzucili.

Rzekomy zwrot w prawo Doliny Krzemowej, w tym wielkich platform cyfrowych, jest nie tylko wizerunkową blagą wymuszoną powrotem Trumpa. Po pierwsze, co do wybicia zębów agencjom antymonopolowym i wyrzucenia szefowej Federalnej Komisji Handlu, nominowanej przez prezydenta Bidena i znienawidzonej przez Big Tech prof. Liny Khan, panuje szczerza i pełna zgoda tradycyjnej Partii Republi-

kańskiej, MAGA i Trumpa, wielkiego biznesu i całej Doliny Krzemowej. Nie ma chyba osoby, której dymisji chciałaby tak szeroka na prawicy koalicja. A przecież w ciągu kilku miesięcy do sądu ma trafić wytoczona przez Linę Khan i jej urząd sprawa, która może doprowadzić do rozbicia Facebooka. Nic dziwnego, że sektor technologiczny woli Trumpa. Ale jego interesy i tak byłyby zbieżne z interesami każdego kandydata, który obiecałby odsunięcie Khan lub inny sposób ukreślenia łba postępowaniom antymonopolowym.

Po drugie, jak błyskotliwie rozwija tezy Herrmana Max Read, widzimy właśnie kontratak oligarchów w walce klas toczącej się w Dolinie Krzemowej. Sektor Big Tech chce zgarnąć zyski z nowej zimnej wojny i z pełnym impetem wkroczyć w gorącą złota napędzaną rozwojem broni autonomicznych, prywatyzacją eksploatacji kosmosu i wykorzystaniem sztucznej inteligencji do celów wojskowych. To jeden z najważniejszych punktów, co do którego zgadzają się sektor technologiczny i świat Trumpa. Za chwilę popłynie rzeka funduszy Departamentu Obrony na najnowsze warianty broni zasilanej sztuczną inteligencją, autonomicznych dronów i algorytmicznych ▶

► systemów wsparcia pola bitwy. A kolejne firmy: Anthropic, Amazon, OpenAI, Meta i inne, po cichu ogłaszały jesienią i zimą minionego roku, że będą oferować swoje usługi AI Pentagonowi, bo od teraz będą mogły zostać wykorzystane do celów wojskowych. Trump, który nie będzie miał żadnych „humanitarnych” zahamowań i żąda amerykańskiej supremacji w każdej dziedzinie, jawi się jako Midas. Trzeba tylko wyciągnąć do niego rękę.

Trump ogłosił projekt sięgających 500 mld dol. inwestycji w stworzenie „superinteligencji”.

Jednak aby było to możliwe, trzeba spacyfikować raczej liberalnych pracowników sektora i ich protesty, choćby przeciwko dostarczaniu przez Google’a narzędzi dla izraelskich sił zbrojnych. Zniechęcenie i wypchnięcie nadwyżki pracowników „zbyt lewicowych”, a otwarcie drzwi przed utalentowanymi informatykami z innych stron świata i Ameryki – którzy nie będą sprawiali podobnych problemów – staje się jedną

z kluczowych potrzeb tego sektora.

Po trzecie, co wiąże się z poprzednimi punktami, agresywna polityka ochrony amerykańskich korporacji (nie tylko, jak mówi Zuckerberg, w sprawie „wymuszania cenzury”) jest im na rękę. Antychiński – przynajmniej deklaracyjnie – kurs Trumpa, wrogi zarazem jakimkolwiek regulacjom narzucanym amerykańskiemu kapitałowi, daje im wielkie nadzieje. Chociażby na wyeliminowanie konkurencji, uprzywilejowaną pozycję na

rozbudowę infrastruktury cyfrowej (chodzi o moce obliczeniowe, serwerownie i ich chłodzenie, energię, budowę superkomputerów i uczenie maszynowe, produkcję procesorów). Przedsiębiorcy w zamian mają zagwarantować Trumpowi, że Europa i Chiny zostaną z tyłu. Jak we wszystkich technoutopijnych fantazjach libertariańskich autorów literatury science fiction, państwo i korporacje staną się jednością, a rozwój technologii najświętszym i jedynym prawem.

Oczywiście będą tarcia i spory – o migrację, płace w przemyśle czy dystrybucję kosztów taryf oraz o to, jak głęboko ma sięgnąć odcięcie się od Chin – ale ich złagodzeniu będą służyły wielka obniżka podatków i pewnie (ponownie) preferencyjne stawki za repatriację miliardów z rajów podatkowych. No i powstrzymanie agencji antymonopolowych oraz pompowanie akcji. I wiele innych marchewek. Ale ogólny kurs rysuje się jasno. To, co widzimy, nie jest zwrotem w prawo, lecz konsolidacją oligarchii wewnątrz projektu trumpowskiego.

Jakub Dymek

MAŁACHOWSKI DLA AGNIESZKI GOZDYRY



Laureatka nagrody Agnieszka Gozdyra oraz Krystyna Małachowska i Waldemar Witkowski, przewodniczący Unii Pracy.

Agnieszka Gozdyra została laureatką Nagrody im. Aleksandra Małachowskiego. Wyróżnienie to przyznane zostało za niezależność dziennikarską i otwarcie na najważniejsze problemy społeczne. Statuetkę wręczył przewodniczący Unii Pracy Waldemar Witkowski.

Agnieszka Gozdyra od 2008 r. związana jest z telewizją Polsat. Była prezenterką „Informacji”, prowadziła programy publicystyczne „Tak czy nie”, „Skandaliści”, „Polityka na ostro”, a od 2020 r. – „Debatę dnia”. Ma też w Radiu dla Ciebie swój program „Bez ogródek”.

„Niezależność dziennikarska kojarzy mi się z odpornością na to, czego od ciebie chcą inni. Ludzi jest wielu i każdy będzie chciał czegoś innego, więc gdybym miała słuchać wszystkich, to po prostu nie wyszłabym z domu i nie zrobiłabym żadnego programu”, mówiła Agnieszka Gozdyra.

Patrona nagrody, Aleksandra Małachowska, czytelnikom „Przeglądu” przedstawiać nie trzeba, był bowiem stałym felietonistą naszego tygodnika, obecnym w życiu redakcji. Dziennikarzem był od roku 1956, poza tym działaczem społecznym i politykiem, honorowym przewodniczącym Unii Pracy, wieloletnim prezesem PCK, współautorem programów „Telewizja nocą” i „Rozmowy o cierpieniu”.

Nagroda jego imienia przyznawana jest corocznie, a jej laureatami są m.in. Jacek Żakowski, Monika Olejnik, Jerzy Domański, Robert Walenciak oraz Eliza Olczyk.

(RW)

ZAPŁAĆ RAZ I CZYTAJ PRZEGLĄD PRZEZ ROK!



- INNY PUNKT WIDZENIA
- WYJĄTKOWY
- NIEZALEŻNY
- NAJLEPSI AUTORZY

Wybierz **E-PRENUMERATĘ**
lub dostęp do **ARCHIWUM**

Zakup dostęp do naszego **ARCHIWUM**

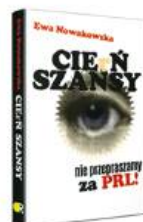
Znajdziesz w nim wszystko od początku istnienia PRZEGLĄDU

Pełna oferta na tygodnikprzeglاد.pl zakładka **ARCHIWUM**

Otrzymasz dostęp do bieżącego i archiwalnych numerów

Kup roczną **e-prenumeratę** PRZEGLĄDU na sklep.tygodnikprzeglاد.pl

- Nowy numer już w każdą sobotę
- E-book „Cierń szansy. Nie przepraszamy za PRL” **GRATIS**
- Dostęp do wykupionych numerów nawet po wygaśnięciu prenumeraty
- Możliwość opcji **KUP NA PREZENT**



Kronika jednostronnej przyjaźni

Dlaczego Trump tak lekceważy Dudę?

Robert Walenciak

To byłoby śmieszne, gdyby nie było żałosne. Prezydent RP Andrzej Duda trwa w zachwycie nad osobą Donalda Trumpa. Można odnieść wrażenie, że to zachwyt dziecinny i bezwarunkowy. Trump może go ostantacyjnie lekceważyć i pomijać, a on i tak będzie mu oddany. I szczęśliwy – na jego twarzy tę radość widać znakomicie – że zaliczył uściśnięcie dłoni.

Widzieliśmy to zresztą wielokrotnie. Najślawniejszy jest obrazek z 2018 r., zdjęcie zrobione podczas podpisywania w Białym Domu polsko-amerykańskiej deklaracji. Trump składał podpis, siedząc w fotelu, obok niego, na stojąco, z radosną miną Duda podpisywał swoją część.

A pamiętacie migawkę filmową, gdy na schodach Białego Domu w trakcie przelotu samolotów F-35, które Polska zakupiła, stali państwo Trumpowie i Dudowie? Szczęśliwy Duda machał do pilotów, jakby sądził, że go zauważą.

Są też sceny z wizyty Donalda Trumpa w Polsce w lipcu 2017 r. i z jego przemówienia pod pomnikiem Powstania Warszawskiego. „Przekazuję wam bardzo ważną wiadomość: Ameryka kocha Polskę i Ameryka kocha Polaków”, mówił Trump. Tamta wizyta doszła do skutku nie dlatego, że Trump chciał złożyć hołd powstańcom. Po prostu miał polityczną okazję – uczestniczył w szczycie Inicjatywy Trójmorza, postrzeganej w tamtym czasie jako osłabianie wartości Unii Europejskiej, budownia wschodzie Europy struktury grającej na Amerykę. W tym sensie Polska pełniła dla niego użyteczną funkcję.

Ekipa pisowska chyba tego nie zrozumiała. Dwa lata później kancelaria prezydenta Dudy otrzymała obietnicę, że Trump przyjedzie do Polski



Andrzej Duda prezentuje nieustający zachwyt osobą Donalda Trumpa. Spotkanie w Gabinetce Ovalnym, 24 czerwca 2020 r.

na uroczystości 80. rocznicy wybuchu II wojny światowej. Tymczasem Trump w ostatniej chwili zdecydował, że nie przyjedzie, zastąpił go wiceprezydent Mike Pence. Oficjalnym powodem był huragan zbliżający się do wybrzeży Florydy. Trump tłumaczył, że musi być na miejscu, aby nadzorować działania służb. Po czym wyjechał grać w golfa. Ale Andrzej Duda i jego ekipa trzymali fason. Polski prezydent chwalił się, że w tej sprawie Donald Trump zadzwonił do niego osobiście. A ówczesny szef kancelarii Dudy Krzysztof Szczerski tweetował po spotkaniu z doradcą prezydenta USA Johnem Boltonem: „Wizyta Prezydenta Trumpa w Polsce odbędzie się w najbliższym możliwym terminie”. I wciąż na ten termin czekamy.

Duda wziął więc sprawy w swoje ręce i sam wyruszył w odwiedziny. W kwietniu 2024 r. poleciał za ocean, oficjalnie na sesję ONZ. Przy okazji zaaranżowano spotkanie z Trumpem w jego wieżowcu Trump Tower.

W tamtym czasie Trump potrzebował takich spotkań. Ciężko na nim kilkadziesiąt oskarżeń, wpływowe grupy w USA patrzyły na niego nieufnie, więc chciał pokazać, że jest poważnym politykiem. Miesiąc wcześniej spotkał się w swojej rezydencji Mar-a-Lago z Viktorem Orbanem, na początku kwietnia z Davidem Cameronem, aż przyszła pora na Dudę.

„Współpracowaliśmy razem przez cztery lata, znamy się, jesteśmy w dobrych relacjach. Będziemy rozmawiali na temat naszej dawnej współpracy, będziemy wspominali te różne, ważne momenty, w których razem działaliśmy. My się po prostu znamy jako ludzie, jako dwaj, mogą powiedzieć, w jakimś sensie przyjaciele”, mówił Duda przed spotkaniem. W podobnej konwencji wypowiadał się Trump: „Ten pan robi fantastyczną robotę. Ludzie w Polsce go kochają, naprawdę. Jest moim przyjacielem. Mamy za sobą cztery wspaniałe lata, być może będziemy musieli to powtórzyć”.

Do owej przyjaźni nawiązywali również uczestniczący w spotkaniu ministrowie Dudy – Wojciech Kolarski i Marcin Mastalerek. „Znakomite spotkanie dwóch przyjaciół, którzy wspominali ten czas, kiedy przez cztery lata współpracowali, sprawując urzędy prezydenckie”, komentował Wojciech Kolarski.

Piękna przyjaźń została wystawiona na próbę już parę miesięcy później, we wrześniu 2024 r., czyli w samym środku kampanii wyborczej. W tym czasie Duda poleciał do USA, do Narodowego Sanktuarium Matki Bożej Częstochowskiej w Doylestown w Pensylwanii, na imprezę polonijną. Jej program obejmował mszę oraz odsłonięcie pomnika ku czci Polaków walczących o niepodległość po II wojnie światowej. Ekipa Dudy zabiegała, by do uroczystości dołączył Trump. Ale w ostatniej chwili sztab republikanów jego przyjazd odwołał. Z przecieków wynika, że Amerykanie oczekiwali obecności w Doylestown ważnych działaczy polonijnych, znanych w USA Polaków, sportowców i celebrytów. Miał to być sygnał, że Polacy głosują na Trumpa. Tego ludzie Dudy nie załatwili, więc republikański sztab z imprezy zrezygnował. Na pociechę wysłano list od Trumpa, zaczynający się słowami: „Mój wielki polski przyjaciel, Andrzej Duda...”. To musiało wystarczyć.

Politycy PiS prezentowali się więc w kampanii Trumpa, a w jego wieczorze wyborczym w Palm Beach na Florydzie uczestniczyli ministrowie Mastalerek i Kolarski. „Szczególnie ten pierwszy, w imieniu prezydenta Dudy, »kolaborował« od dawna z partią Donalda Trumpa i jego najbliższym otoczeniem. Nieprzypadkowo – mogliśmy wyczytać w portalu wp.pl. – Według naszych informatorów z Pałacu zarówno prezydent Duda, jak i szef jego gabinetu liczą po zakończeniu kadencji na jakieś eksponowane stanowiska w jednej z międzynarodowych instytucji. Nieoficjalnie mówiło się, że głowa polskiego państwa miałyby się ubiegać o posadę we władzach Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego. Ale coraz częściej pojawiają się głosy, że to właśnie Mastalerek – jako były wiceprezes Ekstraklasy – chciałby wejść

w skład kierownictwa MKOl. Z kolei Duda mógłby z poparciem Trumpa objąć posadę w NATO lub w jednej z międzynarodowych instytucji finansowych”.

Wkrótce nadszedł czas testowania owych bliskich czy też „przyjacielskich” relacji. Wszystko zapowiadało się pięknie. Wieści zza oceanu były takie, że Trump zaprosi Dudę do Mar-a-Lago, by świętować zwycięstwo. „Prezydenccy urzędnicy w piątek po południu (8 listopada – przyp. red.) poinformowali grupkę zaufanych dziennikarzy, by byli w gotowości do podróży z Dudą za ocean”, pisała „Gazeta Wyborcza”. I coś było na rzeczy, Trump bowiem zorganizował w rezydencji na Florydzie wielką fetę. Przyleciał na nią m.in. Viktor Orbán. Ale Andrzej Duda nie otrzymał zaproszenia, więc został w Polsce. Trump pocieszył go rozmową telefoniczną. I już w poniedziałek, 11 listopada, Duda pochwalił się dziennikarzom, że obaj ustalili,

Trump zorganizował w rezydencji na Florydzie wielką fetę. Przyleciał na nią m.in. Orbán. Ale Duda nie otrzymał zaproszenia, więc został w Polsce.

iż spotkają się jeszcze przed styczniowym zaprzysiężeniem Trumpa.

Pewność tego spotkania była w Pałacu Prezydenckim olbrzymia. 13 listopada prezydencki minister Wojciech Kolarski ogłosił: „Spotkanie prezydenta Andrzeja Dudy z Donaldem Trumpem odbędzie się jeszcze w tym roku. Dokładny czas i miejsce spotkania mają zostać ustalone. Mówimy o najbliższych tygodniach, może to być koniec listopada, grudnia”. Kolarski był w tej zapowiedzi dokładny: „Spotkanie ma odbyć się w tym roku w związku z tym, że jednym z tematów będzie polska prezydencja w Radzie UE, a pierwszym jej priorytetem jest zacieśnianie relacji transatlantycznych”. Ale nie sprecyzował, co w sprawach prezydencji i relacji transatlantycznych jego szef może Amerykanom obiecać.

Minął listopad, potem grudzień. Duda mógł tylko smętnie przyglądać się w telewizji, jak Trumpa odwiedzają inni politycy, m.in. premier Włoch

Giorgia Meloni. On zaproszenia nie otrzymał. Tyle jego, że na początku grudnia mógł uścisnąć dłoń Trumpa podczas uroczystości otwarcia odremontowanej katedry Notre Dame w Paryżu.

W ten sposób świat dotarł do 20 stycznia, dnia inauguracji prezydentury. Do tej pory uroczystość ta była raczej formalna, uczestniczyli w niej ambasadorzy akredytowani w Waszyngtonie. Trump to zmienił. Uczynił z inauguracji kolejną fetę, wcześniej porozysłał po świecie zaproszenia. Między innymi do prezydenta Chin Xi Jinpinga, premiera Węgier Viktora Orbána, do Giorgii Meloni, do prezydenta Argentyny Javiera Mileia, premiera Izraela Beniamina Netanjahu, prezydenta Salwadoru Nayiba Bukelego i wielu innych. Nie wszyscy skorzystali, Chiny reprezentował wiceprezydent. Ale Duda nie otrzymał nawet takiej możliwości, zaproszenie do niego nie zostało wysłane.

Pytany przez dziennikarzy, odpowiadał niemal przez łzy: „Moja obecność tam niczego, poza widokiem w kamerach, by nie wniosła. Ja nie mam wątpliwości co do moich dobrych relacji z Donaldem Trumpem i nie muszę stać w tłumie, żeby te dobre relacje pokazywać. One po prostu są”.

I owszem, Trump w to nie wątpi. Ale przecież wie, że to nie Andrzej Duda prowadzi w Polsce politykę. I że zostały mu tygodnie do końca prezydentury. Z tego punktu widzenia rozmowy z nim są stratą czasu. Choć to nie znaczy, że ich nie będzie. Otoczenie Dudy jest zaangażowane w organizację szczytu Inicjatywy Trójomorza, w którym Trump uczestniczył w 2017 r. Najprawdopodobniej więc amerykański prezydent przyjedzie do Warszawy 28 kwietnia, trzy tygodnie przed pierwszą turą wyborów prezydenckich. Pytanie tylko, ile dla Dudy będzie miał czasu.

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

troje na jednego

JEDEN:
KRZYSZTOF JANIK

TROJE:
ADAM JAŚKOW
DOMINIKA RAFALSKA
PAWEŁ SĘKOWSKI

LUDZKOŚĆ ZAWSZE BĘDZIE POTRZEBOWAŁA LEWICY

Fragmenty rozmowy, która ukazała się w najnowszym numerze „Zdania” (4/2024) – w wersji papierowej do nabycia w Empikach, w wersji elektronicznej na sklep.tygodnikprzeglad.pl.

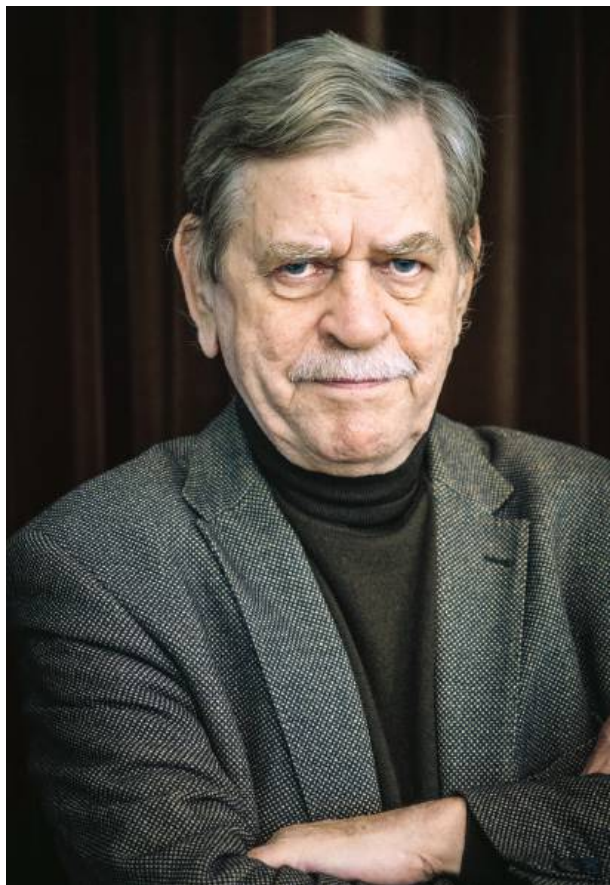
KRZYSZTOF JANIK: (...) W 1982 albo 1983 r. odbyła się w Śródborowie narada aktywu ZSMP, na której jest sekretarz Waldemar Świrgoń oraz podlegający mu kierownik o dźwięcznych inicjałach L.M. – Leszek Miller. Towarzysze uznali, że ja powinienem coś o partii powiedzieć, więc powiedziałem, ale wystąpiłem dość krytycznie, m.in. krytykując pułkowników za to, że przejęli de facto zarządzanie państwem i mówiąc, że to już raz było w Polsce i się nie sprawdziło. Po kilku dniach dzwoni do mnie towarzysz Miller i pyta, czy może przyjąć. „Proszę cię bardzo, Lechu, przyjdź”, odpowiadam. Dostaje kawę i tradycyjne pytanie, czy jakąś lufę... Bo to były czasy, że gdy jechało się np. na Podlasie, to wracało się z pełnym bagażnikiem. W każdym razie Miller przychodzi i odmawia picia gorzały, co mnie lekko zdumiewa...

PAWEŁ SĘKOWSKI: Czyli było wiadomo, że będzie pryncypialnie!

JANIK: I mówi do mnie: „Towarzyszu Janik, czy macie przepustkę do KC?”. Ja na to mówię: „No mam” (bo miałem przepustkę na stołówkę). „To pokaż”. Pokazuję, a on wtedy mówi, że niestety musi mi ją zabrać. Proszę

bardzo – oddałem. Odchodził wtedy Jaskiernia i chłopcy w ZSMP wydumali, że Jurek Szmajdziński będzie kandydatem na szefa, a ja na jego pierwszego zastępcę. „Biuro Polityczne odmawia ci rekomendacji”, usłyszałem od Millera. Lechu na mnie patrzy i myśli, że świat mi się zawalił, bo to przecież najsurowsza kara. A ja mówię: „Słuchaj, ale na co mi ta rekomendacja?”. „No wiesz, nie możesz kandydować”, odpowiada zdziwiony Leszek. To ja wtedy: „A co ma Biuro Polityczne do naszych wyborów? Mogą mnie nie wybrać, ale kandydować mogę”. Potem odbył się zarząd główny ZSMP we Wrocławiu. Przed posiedzeniem Miller zrobił zebranie członków partii i powiedział: towarzysze, jest decyzja Biura Politycznego, nie popieramy towarzysza Janika. I oczywiście... wygrałem, i to ponad 90%. Opowiadałem to nie po to, żeby się chwalić czy topić Millera, bo to nie pierwsza jego wpadka w życiu politycznym. Natomiast po to, żeby pokazać, że nastąpiły procesy emancypacji ruchu młodzieżowego od partii. PZPR już nie była w stanie nad tym zapanować.

To samo było wtedy w reaktywowanym ZSP, bo umówmy się, że ani Antoś Dragan, ani Tadek Sawic to nie byli faceci łatwi do sterowania. To samo masz w ZMW, gdzie Świrgonia zastępuje Leszek Leśniak, który jest dość opornym facetem. Ale, co znacznie gorsze dla partii, to samo jest w OPZZ. Bo masz z jednej strony Alfreda Miodowicza, który na początku nie chce wejść do Biura Politycznego. Alfred to był facet z gitarą, ale ma takiego Rajmunda Morica – nie pamiętacie pewnie



– to jest taki towarzysz ze Śląska, który pięścią w stół wali i mówi: „Towarzysze, wy nam nie będziecie mówić, jak ludzie mają żyć w naszym kraju! To my wiemy, wy gównio wiecie!”. Więc ten nurt emancypacyjny rośnie. Ja myślę, że niektórzy już wyraźnie widzieli, że to idzie w taką stronę, w którą ostatecznie poszło, że tego już się nie da opanować. Mam wrażenie, że gdzieś od 1986 r., od X Zjazdu, gdzie wybrano jeszcze Jaruzelskiego, narastało w Generale przekonanie, że dalej tak już się nie da.

SĘKOWSKI: Zanim przejdziemy do 1986 r. i twojego wejścia w aparat partyjny, zapytam, co zadecydowało o tym, że ostatecznie nie poszedłeś tak głęboko w naukę, jak wpierw zakładałeś. Czy to był bezpośredni skutek twojego zaangażowania w ZSMP?

JANIK: Tak, bez wątpienia.

SĘKOWSKI: Porzuciłeś pracę nad habilitacją czy w ogóle jej nie zacząłeś?

JANIK: Zaczęłam zbierać materiały, gdzieś tam pod opieką Artura Bodnara, coś razem obgadaliśmy. To miała być rzecz o społeczeństwie, wtedy określanym mianem „rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego”. W praktyce można powiedzieć, że to była problematyka obejmująca kwestie przemian świadomościowych i zmiany wzorców osobowych i ideałów. Miałem zająć się polityczną mentalnością społeczeństwa polskiego. Doktorat napisałem o czymś zupełnie innym – o Związku Młodzieży Wiejskiej w województwie krakowskim. Ale w 1976 r. ruszyły rządowe programy międzyresortowe (czego nam

dzisiaj brakuje!), wśród nich taki, który prowadził Hirek Szczegół, profesor z Zielonej Góry, dosyć wtedy szanowany socjolog, bo trudno w tamtym okresie mówić o politologach, ojciec dzisiejszego prof. Lecha Szczegóły z Uniwersytetu Zielonogórskiego. Ten program dotyczył kultury politycznej społeczeństwa polskiego. I to Hirek Szczegół zaproponował, żebym zajął się kulturą polityczną młodzieży. Szczerze powiedziawszy, ja się wtedy zacząłem uczyć, co to jest. Na zachodzie Europy ta kultura polityczna była bardzo modnym terminem, wszyscy się nią zajmowali: postawami, świadomością, zachowaniami, instytucjami. Za udział w tym programie brałem nawet jakieś wynagrodzenie. A gdy przechodziłem na emeryturę, a jestem „stary portfel”, więc obliczano mi ją z 10 kolejnych lat albo z 20 wybranych, okazało się, że te 10 najlepszych lat to były właśnie lata 70.! Praca w tych programach międzyresortowych była traktowana jak normalne wynagrodzenie, nie płacono się wtedy składek ani podatków. I jak w którymś roku zarobiłem tam z 80 tys., a na uczelni miałem co miesiąc 4 tys., to znaczy, że były to poważne pieniądze. Dlatego dzisiaj jestem zasobnym emerytem! Dodam, że przez ostatnie 20 lat pracowałem na jakichś ośmiu-dziewięciu uczelniach, tak, że oprócz etatu na Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego mam jeszcze zajęcia na pięciu czy sześciu uczelniach...

SĘKOWSKI: Czyli nie tylko stary portfel, ale też stara szkoła... Powiedz mi jeszcze jedną rzecz, związaną już nie z nauką, ale z okresem studiów i jego wpływem na twoje dalsze losy. Jesteś powszechnie postrzegany jako osoba bardzo towarzyska, która ma bardzo wiele kontaktów i jest bardzo lubiana. Znamy się, więc wcale mnie to nie dziwi! Czy jest tak, że większość tych kontaktów nawiązałeś właśnie w czasach studenckich i bezpośrednio po studiach, w ruchu młodzieżowym? Czy te znajomości procentowały potem w twojej karierze politycznej?

JANIK: To cię zdziwi, bo odpowiedź brzmi: raczej nie! Jak poszedłem do młodzieżówki, do ZSMP, to straciłem kontakt ze środowiskiem akademickim, co nie znaczy, że nie miałem tam dobrych relacji, powiedzielibyśmy: układów. Gdy ja się bawiłem w politykę, moi koledzy z lat

Nigdy nie byłem stricte partyjny, raczej byłem człowiekiem, który rozmawiał z każdym.

studiów i moi dawni studenci robili habilitacje i dostawali profesury. Więc w 2005 r. było mi łatwiej zafunkcjonować na różnych uczelniach, bo tam byli albo moi studenci, albo koledzy z młodzieżówki. Dzisiaj jest z tym oczywiście gorzej, bo spora ich część już nie żyje. Naturalne zużycie pokoleniowe. Ale np. dzięki młodzieżówce, ZSMP, znam mnóstwo ludzi, którzy wtedy byli o 10 lat ode mnie młodszy i dzisiaj są nadal są, ale pełnią różne istotne role społeczne. Jak byłem już później sekretarzem SLD, to w ciągu trzech lat objechałem wszystkie powiaty.

SĘKOWSKI: Czyli to bardziej wtedy wyrabiałeś te wszystkie kontakty, z których jesteś tak znany?



Od lewej: Adam Jaśkow, Krzysztof Janik, Paweł Sękowski i Dominika Rafalska.

▶ **JANIK:** Tak. I muszę powiedzieć, że ci ludzie – a zajmowałem się wtedy samorządem – nie są już prezydentami, ale dalej są znaczącymi postaciami w swoich miasteczkach. Poza tym ja nigdy nie byłem stricte partyjny, raczej byłem człowiekiem, który rozmawiał z każdym. Jeden z czołowych przywódców lewicy kiedyś do mnie powiedział: a skąd ty znasz tylu tych facetów z PiS-u i chodzisz z nimi na wódkę? Muszę powiedzieć, że sposób myślenia, który przebija z tego pytania, zupełnie się rozmija z moją mentalnością. Ktoś kiedyś powiedział ładnie, że nieprawdą jest, że wszystkie najładniejsze ptaki gromadzą się pod jednym dachem. To jest prawda. Ja np. sobie bardzo cenię trudnego gościa, jakim jest we współpracy Czesław Bielecki, z którym się znam od lat,

Humanistycznej im. Aleksandra Gieysztora, się nie piło, ale za to na zewnątrz był ganeczek przy budynku, a na ganeczku był barek. I mówię do Moczulskiego: „Panie przewodniczący, jaka szkoda, że pan przestał być członkiem PZPR, bo byłby pan później w SdRP i SLD i byśmy wspólnie parę rzeczy pchnęli do przodu”. A on tak na mnie spojrzał i mówi: „Wie pan, ja nigdy nie zapomniałem, że mam lewicowe korzenie!”.

JĄSKOW: Mówiłeś wcześniej, że w 1986 r. wszyscy już wiedzieli, że partia nie ma mocy sprawczej. A to właśnie wtedy przechodzisz do aparatu partii. Czy ty osobiście też miałeś wtedy świadomość głębokiego kryzysu? A jeśli tak, dlaczego zdecydowałeś się wejść w aparat PZPR?

JANIK: Wchodząc do aparatu, nie miałem jeszcze tej świadomości, ale dość szybko ją osiągnąłem. Mnie się wydawało, że partia oddała inicjatywę wojskowym, administracji rządowej, dlatego, że w niej brakuje wizji, pomysłu, a myśmy w tej młodzieżówce mieli rozmaite koncepcje, np. typu matura dla wszystkich. Więc, że może da się coś jeszcze z tej partii wycisnąć. A pamiętacie ideę matury dla wszystkich? Przepraszam, czy pamiętacie hasło Lecha Wałęsy z 1980 r., że Polska może się stać drugą Japonią? Więc ja byłem jednym z nielicznych, który wziął rocznik statystyczny i porównał Polskę z Japonią. I wiecie, gdzie mi wychodziła różnica jeden do dwóch? W odsetku młodzieży kończącej szkoły średnie. Myśmy mieli wtedy 46%, a Japończycy 92%. I mnie się to tak spodobało, że chodziłem i mówiłem wszędzie, że Wałęsa ma rację, że trzeba upowszechnić średnie wykształcenie. Jak robiliśmy reformę w latach 90., to przyrzynam się bez bicia, że byłem głosicielem hasła: „Uniwersytet w każdym powiecie”. A dlaczego nie? Takie małe szkółki publiczne...

SĘKOWSKI: Bardzo zły pomysł.

JĄSKOW: Pomysł został nieomal zrealizowany! (śmiech)

JANIK: Dzisiaj wygląda to inaczej, niż zakładałem wtedy. Bo jest jakieś 40 szkół w Krakowie, a ludzie z Bochni

Tępiłem jako minister obieg informacji, który nie ma żadnego znaczenia. Ale papiery były produkowane, powielarki się grzały.

bo czytałem pierwsze doniesienia na temat „Macieja Poleskiego”, czyli znanego autora „Kultury”. Nie wiedziałem wtedy, kto to jest, ale już czytałem kwity na niego. Więc ja uważam, że to jest żywy umysł, bardzo kreatywny, oczywiście – jak każdy – ma swoje wady charakterologiczne. Świetnie kiedyś współpracowałem z KPN. Jak byłem posłem, wszyscy się tego KPN-u bali, a ja z nimi gadałem. I potem wyszło na moje. Bo uważałem, że KPN, jak każda tego typu partia niepodległościowa, jak się wczyta w ich program, jest dziedzicem tradycji PPS – Frakcji Rewolucyjnej.

ADAM JĄSKOW: Nawet o tym nie wiedzieli...

JANIK: Nieprawda, bo Leszek Moczulski sam tak powiedział! On był promotorem doktoratu Krzysztofa Gawkowskiego i ja byłem w Pułtusku na obronie tej rozprawy. Poszliśmy potem na jakąś wódkę na stojąco, bo u Adama Koseskiego, współzałożyciela i rektora Akademii

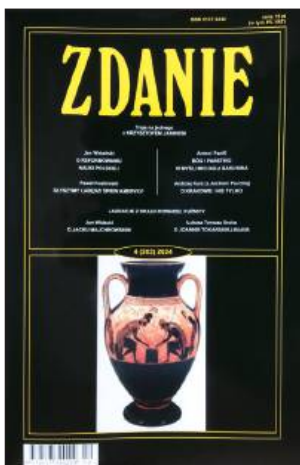
nadal nie mają gdzie się uczyć. W każdym razie myśmy mieli takie pomysły, a mnie się wydawało, że w partii ich brakuje. Było już takie środowisko młodzieżowe przy Smolnej – typu Mirek Karwat, część chłopaków z UW, Jacek Raciborski...

DOMINIKA RAFALSKA: Właśnie, w aparacie partyjnym trafił pan do referatu zajmującego się inteligencją.

JANIK: Najpierw do pionu ideologicznego, gdzie zajmowałem się analizami i prognozami. To były upojne lata, kiedy czytałem setki stron tajnych kwitów i meldunków oraz nasłuchów. Bo codziennie przychodził book o tym, co było w Wolnej Europie, co w Głosie Ameryki itd. Także Radio Tirana i jakieś chińskie radia. To była robota kompletnie bezwartościowa. To jest właśnie to, co potem tępiłem jako minister – obieg informacji, który nie ma żadnego znaczenia. Ale papiery były produkowane, powielarki się grzały. Czytało się też oficjalną prasę, ale także taki „Tygodnik Mazowsze”. Rzeczywiście to było pismo, gdzie toczyły się spory merytoryczne i można było z tych sporów wyciągać wnioski. Może nie powinienem tego mówić, ale teraz już mi mogą wszyscy naszkoczyć – wtedy służby, przy pewnym oporze Kiszcza i jego cenzorskiej roli, ale realizowały różne wartościowe zlecenia. Jak się poprosiło kolegów, żeby zbadali nastroje pielęgniarzek, to oni gdzieś tam za trzy miesiące się odzywali i jakiś kwit przysyłali. III Rzeczpospolita ściga tych nieszczęsnych sierżantów, którzy z tymi pielęgniarkami sypiali po nocach i pili z nimi wódkę, oczywiście dla dobrej sprawy, a przynajmniej w ramach obowiązków zawodowych, a tych, którzy zlecali im te zadania, nie ściga! To samo będzie z rozliczeniami teraz, po latach rządów PiS: karzemy miecz, a nie rękę. W ogóle ręki nie dotykamy...

JAŚKOW: Tak samo było po pierwszych rządach PiS.

JANIK: Więc zaczynam tę robotę i z czasem po raz pierwszy mam tak wielką satysfakcję, bo zaczynam nie tylko czytać sterty kwitów, ale też pisać różne obrazoburcze rzeczy, np. z Barcikowskim piszę papier o tym, żeby wybory samorządowe były absolutnie wolne. I żeby dopuścić do nich działaczy Solidarności. I że to będzie pierwszy test. I że jak opozycjoniści zostaną przewodniczącymi gminnych rad, to nic strasznego się nie stanie. Wejdą na fotel i zobaczą, że tu nie ma żartów. Trzeba za coś odpowiadać, a ludzie czegoś chcą. I tym sposobem należy wsysać ludzi Solidarności do systemu. Materiał był tak dobry, że nawet „Tygodnik Mazowsze” nas pochwalił. Podkreślając, „o ile to nie jest fałszywka”!



JAŚKOW: Jak to do nich dotarło?

JANIK: Oczywiście, że pracownicy KC wynosili już wtedy wszystko na zewnątrz. Nawet nie wiem, czy nie ludzie Kiszcza, bo oni, podejrzewam, grywali nieraz na sześć różnych frontów. W każdym razie mam tam swobodę. Robimy np. coś, co się nazywa „konferencja teoretyczno-ideologiczna”. Oczywiście pod hasłem: „O dalszy dynamiczny rozwój” itd. Ale głównym referentem jest prof. Witold Trzeciakowski, obok prof. Cezary Józefiak. I mamy na to zgodę naczelstwa. Jest Artur Bodnar, który już wtedy od doktrynera mocno wyewoluował w stronę liberała. Okazało się, że można o sprawach tego typu rozmawiać w ramach partii. Tylko

problem polega na tym, że ta dyskusja już nie rezonuje. Wspomniana inicjatywa wyborów samorządowych została uwalona przez gen. Janiszewskiego. Przynajmniej, według mojej wiedzy, tak było. Bo generałowie się wystraszyli, że oto im się odbierze kawałek władzy. Do tej pory wojsko miało naczelników gmin, to jak generał ich zwołał, w szeregu ustawił i opierniczył, znaczy, że rządził. A tutaj przyjdzie jakiś człowiek z Solidarności, niedogolony, zarośnięty. Nigdy nie zapomnę, jak gen. Baryła mówił, że on nie może się patrzeć na tych zarośniętych. (śmiej) Punktem zwrotnym, moim zdaniem, jest 1987 r. Premier Messner i słynne referendum: czy chcesz żyć lepiej, czy gorzej... I wygrywa pogląd, że lud chce żyć gorzej! Ja myślę, że wtedy „Jaruzel” rozumiał, że dalej tak już się nie da. Że właściwie jedynym jego celem może być rozwiązanie polityczne, a więc oddanie władzy czy też jej części, bo gospodarczo już nic się nie da zrobić.

Adam Jaśkow, Dominika Rafalska, Paweł Sękowski

FUNDACJA DAJEMY DZIECIOM SIŁĘ

#Biegam Dobrze

Biegaj dobrze i wspieraj podopiecznych Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę!

Zapisz się na **19. Półmaraton Warszawski** albo **New Balance Bieg na Piątkę** i wybierz ścieżkę charytatywną:

rejestracja.maratonwarszawski.com/pl

Fundacja Dajemy Dzieciom Siłę chroni dzieci przed przemocą i dba o bezpieczeństwo dzieci w internecie.

Śledztwa pod presją PiS

Zbigniew Ziobro przekształcił prokuraturę w zorganizowaną grupę przestępczą

Andrzej Sikorski

Opublikowany przez Prokuraturę Krajową i obejmujący 200 spraw pierwszy raport dotyczący postępowań prokuratorskich z lat 2016-2023, w stosunku do których wystąpiło podejrzenie politycznego wpływu na ich przebieg i podejmowane decyzje, jest wstrząsający. Pokazuje mafijny układ, który niczym nowotwór rozrósł się w jednym z najważniejszych urzędów państwowych, powołanym do ścigania przestępstw i stania na straży praworządności.

Biorąc w 2016 r. pod but prokuraturę, Zbigniew Ziobro działał w sposób przemyślany i metodyczny. Przeprowadził niespotykaną wcześniej czystkę kadrową. Usunął doświadczonych prokuratorów ze stanowisk funkcyjnych, a na ich miejsce powołał młodych z krótkim stażem, którzy dali się skorumpować. „W zamian za władzę i pieniądze gotowi byli świadczyć przysługi władzy politycznej i budować nowy, podległy jej ustrój (...). Nowe prawo stworzyło mechanizmy pozwalające na instytucjonalne »przekupstwo« prokuratorów, którzy za stanowiska, apanaże i szereg innych korzyści mieli dbać o oczekiwane funkcjonowanie politycznej prokuratury. Zamiarem było stworzenie nowej elity prokuratorskiej kosztem doświadczonych i przyzwoitych prokuratorów. Wprowadzono cały szereg instrumentów, które miały wzmocnić władzę Prokuratora Generalnego, wyposażając go w cały wachlarz uprawnień pozwalających stosować metodę »kija i marchewki«. To proste rozwiązanie okazało się skuteczne, a wielu prokuratorów w sposób cyniczny stawalo po stronie nowej władzy, pilnując na różnych szczeblach organizacyjnych jej interesów”, napisano w raporcie.

Oczywiście Ziobro nie działał sam. W podporządkowywaniu prokuratury pomagali mu starzy druhowie z czasów pierwszego rządu PiS, m.in. Bogdan Święczkowski, Krzysztof Sierak, Robert Hernand,



Wydział Spraw Wewnętrznych Prokuratury Krajowej prowadzi śledztwo dotyczące nacisków wywieranych na referentów przez Teresę Rutkowską-Szmydyńską, szefową gdańskiej prokuratury regionalnej za czasów Zbigniewa Ziobry.

Michał Ostrowski, Przemysław Funiok czy Tomasz Janeczek. Pano-
wie ci objęli kluczowe stanowiska
w prokuraturze.

Niewielka grupa prokuratorów,
która głośno protestowała przeciw-
ko upolitycznieniu, została spacyfiko-
wana. Osoby te poddano represjom,
delegując je do oddalonych od ich
miejsc zamieszkania jednostek pro-
kuratury, wszczynano wobec nich
postępowania dyscyplinarne i karne.

Polityczny parasol ochronny

Naczelna zasada działania proku-
ratury była taka: chronić za wszelką
cenę osoby związane z PiS, które
dopuszczyły się przestępstw. Z kolei
wobec osób, które uznawano za
wrogów politycznych, wszczyna-
no bezpodstawne i trwające lata-
mi śledztwa bez kierowania aktów
oskarżenia do sądu lub kierowano
akty oskarżenia w celu „udręczenia
osób stawiającym w sądach
i oczekiwaniem przez wiele lat na
ostateczne rozstrzygnięcie”.

Wiele wskazuje na to, że wszyst-
kie te działania były koordynowane
na najwyższym szczeblu partyjnym,
z Jarosławem Kaczyńskim. Bogdan
Świączkowski, który był prokura-
torem krajowym, często pojawiał
się w warszawskiej siedzibie Prawa
i Sprawiedliwości przy ulicy Nowo-
grodzkiej, gdzie m.in. informował
prezesa PiS o przebiegu interesują-
cych go śledztw.

O ścisłej współpracy partii rządzą-
cej i prokuratury świadczą szokujące
działania niczym z filmów o mafii.
W 2016 r. PiS wprowadziło do Ko-
deksu postępowania karnego prze-
pis, na mocy którego prokuratura
wycofała z sądu akt oskarżenia wo-
bec ulubieńca prezesa Kaczyńskiego,
Daniela Obajtka, oskarżonego o ko-
rupcję i oszustwo. Po wycofaniu aktu
oskarżenia śledztwo zostało umorzo-
ne, a były wójt Pcimia oczyszczony
z zarzutów. Mając nad sobą politycz-
ny parasol ochronny, Obajtek, za-
miast odpowiedzieć za popełnione
przestępstwa, robił karierę jako pre-
zes Agencji Restrukturyzacji i Mo-
dernizacji Rolnictwa, prezes grupy
Energa i PKN Orlen. Teraz bryluje
w Parlamencie Europejskim, kreując

się na ofiarę zbrodniczego reżimu
Donalda Tuska.

Upiekło się też Justynie Helcyk
z Obozu Narodowo-Radykalnego.
Kobieta miała odpowiedzieć za na-
woływanie do nienawiści rasowej.
Jednak po interwencji postą PiS
Adama Andruszkiewicza prokuratura
wycofała z sądu akt oskarżenia pod
kłamliwym pretekstem uzupełnienia,
a śledztwo zostało umorzone.

Podobny manewr z wycofaniem
aktu oskarżenia zastosowano w przy-
padku byłego postą PiS Zbigniewa K.,
oskarżonego o wyłudzenie 2 mln zł
z Polskiej Agencji Rozwoju Przed-
sięwzięć. W raporcie napisano,
że prokurator regionalna w Gdań-
sku Teresa Rutkowska-Szmydyńska

Raport Prokuratury Krajowej dotyczący 200 postępowań prokuratorskich z lat 2016-2023 pokazuje mafijny układ.

domagała się zakończenia śledztwa
„nawet z jawnym i oczywistym po-
gwałceniem przepisów prawa, wy-
łącznie w celu jednoczesnej realizacji
własnych partykularnych interesów”,
a decyzję o cofnięciu aktu oskarżenia
podjęto „poza wiedzą i wolą proku-
ratora dotychczasowego referenta
sprawy”.

Ponad prawem

Ta sama prokurator uknęła łeb
sprawie syna Jacka Kurskiego – mło-
dy Kurski został oskarżony przez cór-
kę znajomych jego rodziców o wy-
korzystywanie seksualne. Autorzy
raportu piszą o manipulowaniu do-
wodami, subiektywnej analizie zda-
rzeń i jawnej niechęci do realizowa-
nia ustawowych zadań prokuratury.
Wydział Spraw Wewnętrznych Pro-
kuratury Krajowej prowadzi śledztwo
dotyczące nacisków wywieranych
przez Teresę Rutkowską-Szmydyń-
ską na referentów.

Parasol ochronny upolityczniona
prokuratura rozpięta nad najważniej-
szymi politykami PiS, Jarosława Ka-
czyńskiego nie wyłączając. Naczelnik
Polski oszukał austriackiego biznes-
mena Geralda Birgfellnera, zlecając
mu prace w związku z przygo-
towaniem budowy tzw. dwóch wież.

Prezes PiS nie tylko nie wywiązał się
z obietnicy zapłaty, ale przy okazji
wymusił od Austriaka 50 tys. zł łap-
ówki. Każdy zwykły obywatel za
takie czyny miałby postawione za-
rzuty karne, ale Kaczyński nie został
nawet przesłuchany. Za to prokuratu-
ra wzięła w obroty Birgfellnera, prze-
słuchując go jak potencjalnego prze-
stępcę, a służby skarbowe zaczęły
nękać jego firmy, przeprowadzając
liczne i uciążliwe kontrole.

Zamieciono pod dywan, nie
przeprowadzając wszechstronnego
postępowania wyjaśniającego, bul-
wersując opinię publiczną sprawę
wykorzystywania rządowych samo-
lotów do celów prywatnych przez
marszałków Sejmu i Senatu Marka

Kuchcińskiego i Stanisława Karczew-
skiego. Podobnie było w przypadku
słynnej działki we Wrocławiu, którą
Mateusz Morawiecki kupił w podejr-
zanych okolicznościach od Kościoła.

Upiekło się również Jackowi Sa-
sinowi. Wpływowy polityk PiS złożył
fałszywe oświadczenia majątkowe.
Sasin przyznał się, że w złożonych
oświadczeniach nie wykazał całego
majątku, ale prokuratura, zamiast
postawić mu zarzuty, wyciągnęła po-
mocną dłoń. Akta sprawy trafiły do
Prokuratury Krajowej, a tam jeden
z wysokich rangą prokuratorów spo-
rządził instrukcję dla referenta, aby
tak przesłuchał Sasina, by można
było wykazać, że nieumyślnie podał
nieprawdziwe dane. Tak też się stało.
Śledztwo zostało umorzone, a proku-
rator, który powinien oskarżać, wcie-
lił się w rolę obrońcy dygnitarza.

Fałszywe oświadczenie mająt-
kowe złożył także Zbigniew Ziobro,
zatajając wysokość odprawy, którą
otrzymał w 2014 r. po zakończeniu
kadencji w Parlamencie Europejskim.
4 marca 2016 r. do Prokuratury Kra-
jowej wpłynęło zawiadomienie o po-
dejrzaniu popełnienia przestępstwa
przez Ziobrę. Jeszcze tego samego
dnia minister sprawiedliwości zrobił
korektę oświadczenia, a prokuratura
wydała postanowienie o odmowie ▶

wszczęcia śledztwa. Skandaliczne jest to, że prokurator referent uwiezrzył Ziobrze na słowo i nie wystąpił do Parlamentu Europejskiego o informację o wysokości odpłaty, aby móc ją porównać z tym, co Ziobro zadeklarował poniewczasie.

W tym miejscu warto przypomnieć, że za zatajenie w oświadczeniu majątkowym posiadania zegarka o wartości ok. 10 tys. zł Sławomir Nowak został zlinchowany przez media i opinię publiczną, złożył rezygnację ze stanowiska ministra, a po nieprawomocnym wyroku skazującym rzekł się mandatu posła i wycofał z polityki.

Dęte oskarżenia

Niektóre śledztwa prowadzone na polityczne zamówienie były tak idiotyczne, że na pomysł ich zainicjowania mógł wpaść tylko ktoś wyjątkowo nierozgarnięty, a raczej ogarnięty paranoją jak politycy PiS. Weźmy śledztwo w sprawie rzekomej korupcji

dla rządu PiS. Naczelný „GP” Tomasz Sakiewicz przygotował do pobrania z internetu zawiadomienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa, z odezwą do czytelników, aby ów donos wysyłali do prokuratury. Podjudzeni ludzie rzeczywiście wysyłali te zawiadomienia, nie mając świadomości, że są wpuszczani w maliny. Prokuratura wszczęła postępowanie sprawdzające i szybko ustaliła, że Sakiewicz i jego „Gazeta Polska” zmyślają, bo francuski dziennikarz w ogóle nie napisał ani słowa o korupcji sędziów TSUE.

Za taki numer, fałszywe zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa, pisowscy propagandiści powinni usłyszeć zarzuty. Ale do akcji wkroczył prokurator Arkadiusz Buśkiewicz, naczelnik Wydziału V Śledczego Prokuratury Okręgowej w Warszawie, i nakazał wszczęć śledztwo w sprawie... korupcji sędziów TSUE. Zostało to oczywiście wykorzystane propagandowo przez polityków PiS, którzy podnieśli

się umorzeniem, PiS zaś na stanowiskach prezesów stądnin ulokowało nieudaczników. Menedżerowie ci doprowadzili do ruiny hodowle będące chlubą Polski. Teraz jednak to Bejda, Kamiński i Jurgiel będą mieli problemy. Za popełnione przestępstwo – nadużycie uprawnień i działanie na szkodę interesu publicznego w celu osiągnięcia korzyści osobistej i majątkowej, grozi nawet 10 lat więzienia.

Prowokacją skrojoną na zamówienie polityczne było również fałszywe oskarżenie szefów Służby Kontrwywiadu Wojskowego z czasów rządów PO-PSL o nielegalną współpracę z rosyjską Federalną Służbą Bezpieczeństwa (FSB). Było to wyjątkowo haniebne działanie, gdyż dotyczyło wysokich rangą oficerów Wojska Polskiego, generałów Piotra Pytla i Janusza Noska oraz płk. Krzysztofa Duszy. Podobnie jak w przypadku prezesów stądnin pisowska propaganda urządziła nagonkę na oficerów, zarzucając im zdradę Polski. Zdradę zarzucono także Donaldowi Tuskowi, bo to on miał akceptować przestępczą działalność wojskowych (sic!). Bezczelni ziobryści posunęli się nawet do zatrzymania – bezzasadnego, jak uznał sąd – gen. Pytla.

Śledztwo w sprawie „zdrady” trwało osiem lat i zakończyło się umorzeniem wiosną 2024 r. W raporcie napisano, że „w przedmiotowej sprawie dopuszczono się wielu rażących błędów stanowiących obrazę prawa i nie ustrzeżono się od naruszenia zasady niezależności prokuratora”, a „w przedmiocie działań prokuratorów inicjujących, prowadzących i nadzorujących powyższe postępowanie prowadzone jest obecnie śledztwo” w Wydziale Spraw Wewnętrznych Prokuratury Krajowej.

Zniszczone dowody

Ziobrowi prokuratorzy nie tylko fałszywie stawiali zarzuty i bezzasadnie wszczynali śledztwa, ale też niszczyli niewygodne dowody. Na przykład w sprawie Krzysztofa Brejzy, nielegalnie inwigilowanego Pegasussem, przełamano na pół płytę DVD, na której CBA umieściło zapis danych ściągniętych z telefonu polityka. Płyta znajdowała się w aktach

Biorąc w 2016 r. pod but prokuraturę, Zbigniew Ziobro działał w sposób przemyślany i metodyczny. Przeprowadził niespotykaną wcześniej czystkę kadrową.

sędziów Trybunału Sprawiedliwości UE. „Sensację” tę ujawniła „Gazeta Polska”, powołując się na artykuł Jeana Quatremera zamieszczony na stronie internetowej francuskiego dziennika „Libération”. Quatremer opisał stare i osądzone sprawy, w których przewijał się Karel Pinxten, w latach 2006-2018 członek Europejskiego Trybunału Obrachunkowego (ETO) z ramienia Belgii. Urzędnik ten wykorzystywał służbowe pieniądze i służbowy samochód do celów prywatnych. Już w 2016 r. ETO powiadomił o sprawie Europejski Urząd ds. Zwalczania Nadużyć Finansowych (OLAF). Za sprzeniewierzenie pieniędzy obniżono Pinxtenowi emeryturę. Ot, i cała historia...

Tymczasem tzw. dziennikarze z „Gazety Polskiej” uroili sobie (twierdząc, iż napisał o tym Quatremer), że sędziowie TSUE, którzy znają się z Pinxtenem, mogli działać na szkodę Polski, wydając wyroki niekorzystne

alarm, że sędziowie TSUE są w spisku z Donaldem Tuskiem i pod jego dyktando wydają wyroki. A co zrobiła prokuratura? Dosłownie nic. Nie przeprowadzono żadnych czynności, a w październiku 2024 r., po trzech latach, śledztwo zostało umorzone z powodu „braku danych dostatecznie uzasadniających podejrzenie popełnienia przestępstwa”.

Podobnie było z rzekomą niegospodarnością w stadninach koni w Janowie Podlaskim i Michałowie. W 2016 r. politycy PiS rozpętali nagonkę na Jerzego Białoboka i Marka Trelę. Długoletni prezesi stadnin zostali odwołani i nazwani aferzystami. Do tego celu posłużono się m.in. sfabrykowanymi zarzutami, które przygotowali wspólnie ówczesny szef CBA Ernest Bejda, koordynator służb specjalnych Mariusz Kamiński i minister rolnictwa Krzysztof Jurgiel. Prokuratura wszczęła śledztwo, które trwało osiem lat i zakończyło

Prokuratury Okręgowej w Gdańsku. Prokurator okręgowy Michał Kierski, który za płytę odpowiadał, wyznaczył podległą sobie prokuraturę rejonową, aby zbadała, czy przypadkiem nie dopuścił się przestępstwa, co było kuriozalne. Oczywiście prokurator oczyścił z podejrzeń swojego szefa.

W śledztwie dotyczącym wypadku byłej premier Beaty Szydło zniszczono dwie płyty. Na jednej zarejestrowany był zapis z kamer dokumentujący przejazd kolumny rządowej – ważny dla sprawy, bo pośpiesznie oskarżony o spowodowanie wypadku Sebastian Kościelnik twierdził, że kolumna nie używała sygnałów dźwiękowych, lecz jedynie świetlne. Trzy auta jechały w dużych odstępach i nie zauważył, że poruszają się w kolumnie. Dlatego, skręcając w lewo, przepuścił tylko pierwszy z wyprzedzających go samochodów, potem jego auto zderzyło się z jadącym jako drugie autem Szydło. Sprawę zniszczenia płyt mieli rozwikłać prokuratorzy z Nowego Sącza, którzy utrzymywali relacje towarzyskie z politykami PiS.

Materiał dowodowy (twardy dysk z danymi) został też uszkodzony w śledztwie dotyczącym współpracownika Zbigniewa Ziobry, znanego hejtera, a teraz pośła Dariusza Mateckiego. Prokuratura Rejonowa Warszawa-Praga Północ prowadziła dochodzenie w sprawie zamieszcza-

Prokuratury Okręgowej Warszawa-Praga, gdzie szybko ją umorzono, nie sprawdzając nawet, co Matecki przechowywał na nośnikach. A według moich informacji było tam wiele kompromitujących materiałów świadczących o jego przestępczej działalności.

Oczywiście Ziobro nie działał sam. Pomagali mu m.in. Bogdan Święczkowski, Krzysztof Sierak, Robert Hernand, Michał Ostrowski, Przemysław Funiok czy Tomasz Janeczek.

nia przez Mateckiego w internecie nienawistnych wpisów, szczujących na wyznawców islamu. Postępowanie prowadził wyspecjalizowany w badaniu przestępstw z nienawiści prokurator Maciej Młynarczyk, który nakazał policjantom przeszukanie mieszkania Mateckiego. W październiku 2019 r. stróżę prawa zabezpieczyli komputery i telefony współpracownika Ziobry, ale ten poskarżył się swojemu pryncypałowi. Sprawę wraz z dowodami przekazano do Prokuratury Krajowej, a potem do

Większość umorzonych przedwcześnie spraw zostanie podjęta na nowo, a wobec usłużnych prokuratorów, którzy sprzeniewierzyli się prokuratorskiemu ślubowaniu i przepisom ustaw, już zostały wszczęte (lub wkrótce zostaną) postępowania dyscyplinarne i karne. Oprócz wydalenia z zawodu takim delikwentom będzie grozić nawet więzienie. A czarnych owiec w prokuraturze może być sporo – kilkaset osób.

Andrzej Sikorski

Wystawa „Wyzwolenie Warszawy”

Obiekty ze zbiorów Muzeum Niepodległości w Warszawie

Muzeum X Pawilonu Cytadeli Warszawskiej
– oddział Muzeum Niepodległości

Kurator: Małgorzata Karolina Piekarska
– Kierownik Działu Zbiorów Muzeum Niepodległości



Obraz „Warszawa Wyzwolona” Stanisława Poznańskiego, nr inw. m. 355 (ze zbiorów Muzeum Niepodległości)

Sztuka od zawsze poprzez obraz przekazuje treści, których wyrażenie słowami zajmie tomy. Dobremu artyście wystarczy kilka pociągnięć pędzla lub kilka kresek i już może powstać wizerunek bądź rzeźba, które opowiedzą jakąś historię.

17 stycznia 1945 roku w Warszawie to wiele obrazów i rzeźb pokazujących to, co w okresie PRL zwykło nazywać się wyzwoleniem Warszawy, zaś po 1989 roku rozgorzały dysputy czy na pewno było to wyzwolenie. Jak te wydarzenia przedstawiali artyści? Wystawę zaczynamy od obrazów pokazujących walki o Pragę, upadek Powstania Warszawskiego i wypędzanie mieszkańców z miasta. Potem pokazujemy sceny wyzwolenia, powrotu mieszkańców i odbudowy. Ekspozycję otwiera terakotowa rzeźba Gustawa Zemły Niobe Warszawska. Jest symbolem wszystkich matek oplakujących swoje dzieci, ale też Warszawy płaczącej po swoich mieszkańcach.

Wystawę zamyka druga rzeźba G. Zemły Warszawa IV będąca personifikacją mitologicznej greckiej bogini zwycięstwa, która została przejęta w chrześcijaństwie jako symbol zwycięstwa Jezusa nad śmiercią i szatanem.

Przypadek pewnej Agencji

Krajowa Administracja Skarbowa i prokuratura szukają 4,5 miliarda zł. Podpowiadamy, gdzie i jak upłynniono 222 mln zł w Agencji Badań Medycznych

Grzegorz Rudnik

W połowie stycznia Krajowa Administracja Skarbowa, która jest częścią Ministerstwa Finansów, przeprowadziła audyt obejmujący 110 podmiotów, w tym ministerstwa, fundacje, stowarzyszenia, urzędy, organy centralne, instytuty kultury, instytuty badawcze i inne podmioty, które w latach 2020-2023 korzystały z publicznych pieniędzy. Wykryte nieprawidłowości opiewały na kwotę 4,5 mld zł. Kontrolę nadzorował podsekretarz stanu w resorcie finansów Zbigniew Stawicki, zajmujący się kontrolą skarbową od ponad 30 lat.

Na specjalnie zorganizowanej konferencji prasowej poinformowano, że złożone zostały doniesienia do prokuratury dotyczące byłych ministrów, urzędników oraz władz

została o tym prokuratura. W latach 2016-2024 na czele inspektoratu stał Alvin Gajadhur, dziś społeczny doradca prezydenta Andrzeja Dudy.

Na drugim miejscu pod względem nieprawidłowości znalazła się Agencja Badań Medycznych. Tu kwota sięgnęła 222 mln zł. Zarzuty dotyczyły przyznawania dotacji i grantów na badania firmom powiązanym personalnie z kierownictwem agencji, na czele której stał Radosław Sierpiński, przez złych ludzi nazywany pupilem Szumowskiego (Łukasz Szumowski był ministrem zdrowia w latach 2018-2020 – przyp. GR).

Kto ma pieniądze, ten ma władzę

Przywykliśmy, że za wszystkie nieprawidłowości i plagi dręczące polską służbę zdrowia odpowiada

ministrów w rządzie Mateusza Morawieckiego miał on poważne doświadczenie biznesowe i lepiej niż inni rozumiał siłę pieniądza.

Nim zasiadł w gabinecie w pałacyku przy ulicy Miodowej 15, był współnikiem w co najmniej dziewięciu spółkach z ograniczoną odpowiedzialnością. Dobrze wiedział, że możliwość dzielenia środków umocni jego autorytet i wpływy.

Nie bez znaczenia był także fakt, że prezesem OncoArendi Therapeutics SA, innowacyjnej firmy biotechnologicznej specjalizującej się w poszukiwaniu, rozwoju i komercjalizacji nowych leków, był jego brat Marcin Szumowski. W naszym kraju takie firmy żyją głównie z grantów i dotacji unijnych. Tym też trudniła się spółka OncoArendi. Nowo utworzona Agencja Badań Medycznych byłaby idealnym źródłem finansowania takich

przedsięwzięć. Ważne, by na czele agencji stał ktoś o odpowiednich kwalifikacjach. Bliskich związków z ministrem Szumowskim nie można było z pewnością uznać za wadę. Stosowna ustawa gładko

przeszła na przełomie 2018 i 2019 r. przez Sejm i Senat, a podpis prezydenta Dudy był czystą formalnością.

Dla nikogo nie było również zaskoczeniem, że na czele agencji stanął członek gabinetu politycznego i doradca ministra Szumowskiego, dr Radosław Sierpiński, którego karierę bez cienia przesady można nazwać olśniewającą. Ten absolwent I Wydziału Lekarskiego Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego był zatrudniony w Klinice Zaburzeń Rytmu Serca w Narodowym Instytucie

Do największych nieprawidłowości doszło w Głównym Inspektoracie Transportu Drogowego. Przez jego kierownictwo skarb państwa poniósł dodatkowe koszty w kwocie 1,163 mld zł.

fundacji i podmiotów prywatnych. Zbyt wielu pikantnych szczegółów nie podano. Właściwie mówiono o deliktach, które wcześniej były opisywane, także na łamach „Przeglądu”.

W ocenie kontrolerów do największych nieprawidłowości doszło w Głównym Inspektoracie Transportu Drogowego, którego kierownictwo aktywnie przyczyniło się do wygenerowania 1,163 mld zł dodatkowych kosztów poniesionych przez skarb państwa. Poinformowana

minister zdrowia. Tyle że dysponując budżetem na poziomie ok. 28 mld zł w roku 2024 i 37 mld zł w roku 2025, jest on ubogim krewnym prezesa Narodowego Funduszu Zdrowia, który w 2025 r. będzie miał do dyspozycji 197,8 mld zł.

By poprawić swoją pozycję w wyższych kręgach medycznych, w 2018 r. minister Szumowski wpadł na pomysł utworzenia Agencji Badań Medycznych, która początkowo dysponowałaby budżetem w kwocie 500 mln zł. Jako jeden z nielicznych



Dr Radosław Sierpiński, p.o. prezes Agencji Badań Medycznych, podczas konferencji Cancer Prevention 2020 z udziałem ministra zdrowia Łukasza Szumowskiego. Warszawa, 18 września 2019 r.

Kardiologii oraz w prywatnych jednostkach opieki zdrowotnej w charakterze lekarza oraz dyrektora medycznego. W 2018 r. obronił pracę doktorską, napisaną pod kierunkiem prof. n. med. Łukasza Szumowskiego, a rok później uzyskał tytuł MBA na Uczelni Łazarskiego w Warszawie. Ukończył też Oxford Executive Leadership Programme, organizowany przez Uniwersytet Oksfordzki.

W Agencji Badań Medycznych, która ruszyła 22 marca 2019 r., dr Radosław Sierpiński został p.o. prezesem. I piastował tę funkcję do 30 września 2019 r., kiedy ustąpił gabinet prof. Piotrowi Czaudernie. Ten, choć wygrał konkurs, długo fotela prezesa nie zajmował i po dwóch miesiącach zrezygnował ze stanowiska. Wrócił na nie jako p.o. Sierpiński, który dopiero w czerwcu 2021 r. objął je jako pełnoprawny prezes.

Szczegóły działalności ABM pod kierownictwem Sierpińskiego zostały ujawnione w kwietniu 2023 r. przez inspektorów Najwyższej Izby Kontroli w raporcie „Funkcjonowanie Agencji Badań Medycznych”. W ich ocenie ABM co prawda realizowała zadania ustawowe polegające na wspieraniu działalności

innowacyjnej w systemie ochrony zdrowia, jednak projekty badawcze w większości miały charakter wieloletni, nie uzyskano więc korzyści dla budżetu państwa i systemu ochrony zdrowia. NIK dostrzegła też poważne zagrożenia dla efektywnej działalności agencji, ponieważ nie stworzono w niej w pełni warunków organizacyjnych umożliwiających prawidłowe planowanie i finansowanie działalności badawczej, a dotychczasowa aktywność w prowadzeniu własnych badań naukowych była niewystarczająca. Co gorsza, agencja nie dokonywała ewaluacji finansowanych badań pod względem korzyści dla budżetu państwa oraz systemu ochrony zdrowia. Innymi słowy, wydawano niemałe pieniądze – NIK stwierdziła, że agencja podpisała umowy z beneficjentami na ogółem 1,8 mld zł – efekty zaś były wielką niewiadomą.

Na tym tle za drobiazg należy uznać zastrzeżenia co do rzetelności prowadzonego w 2021 r. przez ministra zdrowia postępowania konkursowego w sprawie wyboru prezesa ABM, czyli dr. Sierpińskiego.

W ocenie NIK ze złożonych przez jedyne kandydata dokumentów nie wynikało jednoznacznie, że

spełniał on ustawowy obowiązek trzyletniego doświadczenia zawodowego w zarządzaniu zasobami ludzkimi. To nie wszystko. Okazało się, że dr Sierpiński uzyskał habilitację na Uniwersytecie Medycznym im. Piastów Śląskich we Wrocławiu 22 kwietnia 2022 r., 11 dni przed ogłoszeniem konkursu na prezesa ABM, który wygrał.

Media czeptały się, że współautorami trzech prac naukowych dr. Sierpińskiego byli prof. Piotr Ponikowski i prof. Ewa Jankowska, osoby pełniące funkcje przewodniczącego i zastępcy przewodniczącego komitetu sterującego w projekcie, który uzyskał wysokie dofinansowanie z Agencji Badań Medycznych. Podejrzewano, że mogło dojść do korupcji.

NIK miała również zastrzeżenia do faktu, że prezes Sierpiński pomimo braku zastępców miał zgodę ministra zdrowia na dodatkowe zatrudnienie w dziesięciu innych podmiotach, w tym w radach nadzorczych spółek skarbu państwa niezwiązanych z systemem ochrony zdrowia. Były to m.in. rady PZU SA, PZU Zdrowie SA i Totalizatora Sportowego. Jego roczne wynagrodzenie tylko z tytułu „radzenia” w PZU oscylowało wokół 200 tys. zł.

Zarobki prezesa ABM także robiły wrażenie – początkowo było to miesięcznie ok. 26 tys. zł brutto, lecz w roku 2022 mógł on liczyć aż na 47 tys. zł brutto miesięcznie. Nic dziwnego, że dr Radosław Sierpiński uchodził za jednego z najlepiej zarabiających menedżerów kojarzonych z Prawem i Sprawiedliwością.

Między nami swojakami

Pod koniec listopada 2021 r. Agencja Badań Medycznych rozstrzygnęła konkurs na rozwój innowacyjnych rozwiązań terapeutycznych z wykorzystaniem technologii RNA. Do podziału przewidziano 350 mln zł. Ostatecznie przyznano beneficjentom 300 mln zł. Celem przedsięwzięcia było wsparcie badań klinicznych i doprowadzenie do uruchomienia produkcji innowacyjnych szczepionek lub leków na terenie Polski. Projekty finansowane w ramach ▶

► konkursu miały pięcioletni horyzont czasowy, który upłynie w 2026 r.

Do przydzielenia grantów rekomendowano ostatecznie pięć firm:

Adamed Pharma SA – 58,5 mln zł,

Acellmed Sp. z o.o. – 18,2 mln zł,

Celon Pharma SA – 83,5 mln zł,

OncoArendi Therapeutics SA – 37 mln zł,

Warszawskie Zakłady Farmaceutyczne Polfa (Grupa Polpharma) SA – 93,9 mln zł.

Media czepiały się, że w 2018 r. całe kierownictwo Ministerstwa Zdrowia z ministrem Łukaszem Szumowskim na czele spędziło weekend w luksusowym hotelu Narvil w Serocku, należącym do Małgorzaty i Macieja Adamkiewiczów, właścicieli Adamedu.

Kiepsko też wyglądała sprawa spółki Acellmed, której głównym udziałowcem była Małgorzata Zembala-John, córka byłego ministra zdrowia, wybitnego kardiochirurga, prof. Mariana Zembała. Z kolei związki OncoArendi Therapeutics z rodziną Szumowskich są oczywiste. Prezesem Celon Pharma jest Maciej Wieczorek, ważna postać ekosystemu polskich biotechów. Zawsze miał poprawne relacje z kolejnymi rządami.

Jakie będą ostateczne wyniki tego konkursu, dowiemy się za rok.

Wcześniej być może znajdzie się on w orbicie zainteresowania prokuratury. Co nic nie znaczy, bo niezbędny byłby prawomocny wyrok. A ten, jeśli zapadnie, to za dziesięć lat. Jestem pewien, że podobnych przypadków w Agencji Badań Medycznych można znaleźć więcej. Jeśli dobrze poszukać.

Chodzi o to, by gonić króliczka

Przeglądając wykaz podmiotów, które poddała audytowi Krajowa Administracja Skarbowa, nie sposób oprzeć się wrażeniu, że większość z nich już została opisana przez media. O nieprawidłowościach w Narodowym Centrum Badań i Rozwoju, Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych, Generalnej Dyrekcji Lasów Państwowych, Sieci Badawczej Łukasiewicz czy Fundacji Lux Veritatis pisano od lat. Prokuratura zapewne jest wręcz zawałona doniesieniami dotyczącymi spraw, którymi ostatnio zainteresowała się KAS. Konferencja prasowa, na której poinformowano media o rzeczonym audycie, wyjaśniła niewiele. Można pomyśleć, że urzędnicy Ministerstwa Finansów gonili króliczka. A sprawy są poważne.

W odniesieniu do Głównego Inspektoratu Transportu Drogowego podnoszona jest kwestia zastąpienia systemu viaToll (do poboru opłat na drogach) systemem e-Toll, który został wdrożony z dwuletnim opóźnieniem, o czym już w styczniu 2022 r. szeroko informowała Najwyższa Izba Kontroli, oraz zakupu 33 samochodów BMW 330i xDrive, które podobno nie były potrzebne. Trochę to mało jak na 1,163 mld zł. Lecz może pracownicy KAS znaleźli coś więcej.

Przypadek Agencji Badań Medycznych jest inny, podobny do przypadku Narodowego Centrum Badań i Rozwoju. Obie te instytucje zajmowały się dzieleniem pieniędzy – alokacją środków lub rozdawnictwem, jak kto woli – dzięki którym

liczne prywatne spółki mogły nieźle żyć. Dla takich spółek jak Mabion, Celon Pharma, OncoArendi Therapeutics, która zmieniła nazwę na Molecule, czy Captor Therapeutics granty i dotacje są ważnym źródłem finansowania. Śmiem twierdzić, że bez pieniędzy pochodzących z dotacji unijnych i rządowych nie mogłyby one funkcjonować. Rzecz w tym, że efekty ich prac są, delikatnie mówiąc, skromne. Moim zdaniem najlepiej wychodzą im komunikaty giełdowe.

Aby polska gospodarka była konkurencyjna, musi być nowoczesna, a nie jest. We wszelkich unijnych rankingach dotyczących badań i rozwoju nasz kraj mimo wydatkowania 70-80 mld euro w latach 2004-2023 tradycyjnie wyprzedza Bułgarię i Rumunię... na końcu stawki.

Audyty i postępowania prokuratorskie, które wcale nie muszą się skończyć postawieniem zarzutów, a następnie prawomocnymi wyrokami, nic nie zmieniają. Konieczne są nowe zasady i inne podejście. Jeśli chcemy uniknąć sytuacji, w których przyszłe kontrole ujawniać będą nieprawidłowości w Agencji Badań Medycznych czy NCBR, należałoby wprowadzić zasadę, wedle której, gdy ktoś bierze dotację i zapewnia, że zrealizuje opisane we wniosku cele, to jeśli nie wywiąże się z obietnic, powinien zwrócić pieniądze. To jedyny sposób, aby uniknąć nieprawidłowości. Firmy, które z dotacji rządowych i unijnych uczyniły stałe źródło dochodu, przestałyby się ubiegać o publiczne pieniądze. Za to pojawiłaby się szansa dla tych, które naprawdę chciałyby zrealizować swoje projekty.

Jest tylko jeden problem. Okazałoby się, że znacznie zmalałaby liczba chętnych, brakowałoby sensownych i możliwych do zrealizowania projektów. I że pieniędzy jest za dużo, zwłaszcza tych unijnych. Lecz czego można się spodziewać po państwie, którego gospodarka od dekad jest oparta na węglu, wieprzowinie i służbach specjalnych? Oczywiście nieprawidłowości i kolejnych audytów.

Grzegorz Rudnik

Z ogromnym żalem i smutkiem
przyjeliśmy wiadomość o śmierci

ANDRZEJA DOBROWOLSKIEGO

naszego przyjaciela, wieloletniego
Prezesa Zarządu Fundacji
im. Jerzego Szmajdzińskiego

**Rodzinie składamy wyrazy
głębokiego współczucia
oraz przekazujemy słowa
wsparcia i otuchy**

*Prezydent Aleksander Kwaśniewski
Przewodniczący Rady Fundacji
im. Jerzego Szmajdzińskiego
oraz Zarząd i członkowie Rady*

Z Galicji



Jan Widacki

Prawdziwy bohater pierwszych dni „złotego wieku” Ameryki

Donald Trump objął urząd prezydenta Stanów Zjednoczonych i zapowiedział początek „złotego wieku” Ameryki.

To smutne, wręcz tragiczne, że na czele największej potęgi demokratycznego świata, państwa uważanego dotąd przez miliony ludzi na całym globie za gwaranta wolności i bezpieczeństwa, stanął niewyobrażalny bufon, arogant i demagog. W dodatku człowiek bezwzględny, o wstecznych poglądach, mający w jawnej pogardzie największe wartości demokratycznego Zachodu: poszanowanie godności ludzkiej, praw człowieka i prawa międzynarodowego. Jego wyrażony w inauguracyjnym przemówieniu stosunek do imigrantów, mniejszości seksualnych, osób niebinarnych i do kary śmierci, przy

To smutne, wręcz tragiczne, że na czele największej potęgi demokratycznego świata stanął niewyobrażalny bufon, arogant i demagog.

równoczesnym przekonaniu, że Ameryce wolno wszystko, że ma prawo do czynienia wszystkiego, co w jego przekonaniu służy interesowi Stanów Zjednoczonych, bez liczenia się z prawami i interesami innych państw i narodów, musi budzić grozę. To imperializm w najczystszej postaci.

Wypowiedzi i gesty Trumpa, obrażanie ludzi, a wkrótce zapewne też działania, będą przedmiotem analiz polityków i komentatorów. Opisy jego wyczynów i projektów na długi czas zajmą czołówki gazet, portali internetowych oraz programów telewizyjnych. Wszyscy to widzą i wszyscy już chyba czują przesyty. Nie będę zatem nic więcej pisał o Trumpie.

Chcę jednak zwrócić uwagę na prawdziwie bohaterską postać tych pierwszych dni „złotego wieku”. Nie jest nią bynajmniej głodny uwagi świata Donald Trump – mimo wysiłków specjalistów od wizerunku, reżyserów telewizyjnych show politycznych i własnych usilnych starań. Bohaterką bez wątpienia jest szczupła, niepozorna, starsza kobieta, reprezentująca inną, mam nadzieję prawdziwą, Amerykę. Nazywa się Mariann Edgar Budde. Jest biskupką Kościoła episkopalnego w USA. Na uroczystym

nabożeństwie w katedrze w Waszyngtonie miała odwagę stanąć w obronie tych wszystkich, których Trump w inauguracyjnym przemówieniu odarł z czci i godności. Zwłaszcza w obronie imigrantów – tych Trump zbiorowo uznał za przestępców i zapowiedział ich masową oraz bezwzględną deportację. Biskupka Budde stanęła też w obronie osób LGBT. Miała odwagę powiedzieć do nadętego, upojonego zwycięstwem prezydenta, w obecności jego żony, wiceprezydenta i setek amerykańskich oficjeli, przed obiektywami kamer: „W imię naszego Boga, proszę pana o miłosierdzie. Są ludzie w naszym kraju, którzy się boją. Są geje, lesbijki, dzieci transseksualne, w rodzinach demokratycznych, republikańskich, niezależnych – niektórzy boją się o swoje życie”. O uchodźcach wojennych i imi-

grantach mówiła: „[To są] ludzie, którzy zbierają nasze plony i sprzątają nasze budynki biurowe, którzy pracują na fermach drobiu i w zakładach mięsnych, którzy zmywają naczynia po naszych posiłkach w restauracjach i pracują na nocnych zmianach w szpitalach – oni mogą nie być obywatelami ani nie mieć

odpowiednich dokumentów, ale zdecydowana większość imigrantów nie jest przestępcami”. Gdy Budde mówiła te słowa, kamera pokazała znudzoną i zniecierpliwioną twarz Trumpa, bezmyślne oblicze pięknej Melanii i kpiący uśmiech wiceprezydenta Vance’a.

Po nabożeństwie Trump skomentował słowa biskupki po swojemu, czyli głupio i po chamsku, obrażając przy tym tę dzielną kobietę.

Mimo woli nasuwa się pytanie, czy któryś z naszych kilkudziesięciu biskupów miałby tyle odwagi, by podobnie ująć się publicznie za uchodźcami czy mniejszościami seksualnymi, na których szczują PiS i Konfederacja. A PSL-owski wicemarszałek Sejmu Piotr Zgorzelski uchodźców na białoruskiej granicy nazwał bydłem. Taki biskup nie musiałby nawet mówić tego rządzącym w twarz, na uroczystym nabożeństwie, ale choćby z ambony w swojej katedrze. Albo napisać list duszpasterski do wierznych w swojej diecezji. A może rzecz nie w braku odwagi, tylko w poglądach, zbieżnych pod tym względem z poglądami PiS i Konfederacji, ale zdecydowanie rozbieżnych z Ewangelią? ■

Serce w pudełku

Rok 2024 był rekordowy dla polskiej transplantologii. Mamy świetnych lekarzy, a polscy naukowcy pracują nad rewolucyjnymi urządzeniami, które ułatwią przeszczepy

Kornel Wawrzyniak

Kardiochirurdzy z Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego dokonali przeszczepu serca u 14-letniej pacjentki. Nie byłoby w tym nic niezwykłego, gdyby nie fakt, że serce zostało przetransportowane aż z Litwy i przez prawie osiem godzin funkcjonowało poza organizmem człowieka. Było to możliwe dzięki urządzeniu OCS (Organ Care System) Heart, pieszczotliwie nazywanemu „sercem w pudełku”. To swoista rewolucja – do tej pory organ do przeszczepu mógł się znajdować poza organizmem przez maksymalnie cztery godziny. To pierwszy zagraniczny transport serca w Polsce.

Niesamowite pudełka

Przeszczepu dokonano w Dziecięcym Szpitalu Klinicznym Uniwersyteckiego Centrum Klinicznego WUM. OCS Heart to niewielkie pudełko, które mieści się w bagażniku samochodu. Urządzenie zapewnia tzw. ciągłą perfuzję. Oznacza to, że serce może pracować nawet przez 12 godzin, w podróży.

– Jest to przełom w polskiej transplantologii. Dostajemy kredyt czasowy na organizację i przewóz narządu. Dzięki temu będziemy mogli przeszczepiać większą liczbę serc. Ten organ w czasie transportu cały czas bije i to jest niesamowite – opowiada mediom Krzysztof Zając, koordynator transplantacyjny z Uniwersyteckiego Szpitala Klinicznego Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego. Przeszczep serca u 14-latki był siódmym zabiegiem na WUM z wykorzystaniem OCS Heart. Koszt pojedynczego



Heart mieści się w bagażniku auta. Urządzenie zapewnia tzw. ciągłą perfuzję, czyli serce nawet przez 12 godzin, w podróży, może pracować.

użycia „serca w pudełku” wynosi 300 tys. zł. Zarówno urządzenie, jak i środki na specjalistyczne jednorazowe wkłady służące do transportu organu pozyskiwane są ze zbiorów prowadzonych przez Fundację dla Transplantacji w akcji #ZostawSerceNaZiem.

– To skok w przyszłość, bo skracamy czas, gdy dany narząd, np. serce, jest niedokrwiony. Niedokrwienie zwiększa ryzyko, że organ nie podejmie funkcji po przeszczepieniu. Rozmawiamy o tym, by w przyszłości wykorzystać metody pozwalające w czasie perfuzji leczyć dany narząd. To jest przyszłość – podkreślał w rozmowie z RMF24 prof. Michał Grąt, transplantolog, konsultant krajowy w dziedzinie transplantologii klinicznej.

Wydłużenie czasu od pobrania do wszczepienia przyczyni się do zauważalnego zwiększenia liczby dostępnych organów. Warto pamiętać, że Polska jest częścią systemu Eurotransplant. Zakłada on pierwszeństwo biorcy w kraju dawcy, jednak gdy biorca się nie znajdzie, uczestnicy systemu dostają informację o dostępności organu. Należy pamiętać, że transplantacja to zawsze walka z czasem. Dlatego koordynatorzy transplantacyjni dyżurują całą dobę. To oni w ciągu kilku minut ustalają, czy transplantacja jest możliwa, i uruchamiają procedurę.

„Serce w pudełku” nie jest jedynym urządzeniem, które może zrewolucjonizować transplantację w kraju i na świecie. Polscy naukowcy prowadzą właśnie testy operacyjne

najnowszego prototypu NanOX Recovery Box. To nowatorski sprzęt do przechowywania i perfuzji organów przeznaczonych do przeszczepów. Testy odbywają się w Instytucie Fizjologii i Żywienia Zwierząt PAN w Jabłonnie. Według twórców urządzenia NanOX Recovery Box to przełom w medycynie transplantacyjnej – umożliwia zaawansowaną kontrolę funkcji życiowych organów w warunkach, które są zbliżone do naturalnych procesów fizjologicznych.

– NanOX Recovery Box to nie tylko urządzenie do przechowywania organów, to system, który monitoruje ich funkcje życiowe w sposób znacznie bardziej zaawansowany niż jakiegokolwiek inne dostępne rozwiązanie – tłumaczy jego rolę prof. dr hab. n. med. Maciej Kosieradzki z Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego. – Dzięki temu możemy zapewnić lepsze warunki przechowywania, co może znacząco zwiększyć pulę organów do przeszczepów, w tym od dawców, którzy dotychczas nie kwalifikowali się do pobrania organów – dodaje specjalista.

Obecnie prowadzone są tzw. mokre testy. Używa się do nich izolowanych świńskich nerek. W kontrolowanych warunkach odtwarzane jest środowisko przeszczepu. NanOX potrafi przez 12 godzin monitorować i regulować kluczowe parametry organu, takie jak temperatura, ciśnienie, pH i natlenienie. Maszyna zapewnia również odpowiedni przepływ płynu perfuzyjnego.

– Kolejnym krokiem rozwojowym będzie opracowanie produkcyjnej wersji urządzenia, przygotowanie pełnej dokumentacji certyfikacyjnej oraz złożenie wniosku o certyfikację i wreszcie komercjalizacja tego rozwiązania – wylicza Przemysław Mazurek, prezes zarządu NanoGroup SA. Firma tworzy też innowacyjny płyn perfuzyjny NanOX oraz zaawansowany model analizy danych i protokołów perfuzji narządu. Przydatność całego systemu potwierdzono wieloma eksperymentami. Ostatni, z 2023 r., zakończył się udaną perfuzją nerki trwającą aż sześć dób.

W lipcu 2024 r. zespół pod kierownictwem prof. Macieja Kosieradzkiego, prezesa Polskiego Towarzystwa

Transplantologicznego, przeprowadził zaś operację autotransplantacji. Prof. Kosieradzki wierzy, że NanOX to przełomowa technologia. – Opracowane przez NanoGroup rozwiązanie to prawdziwa rewolucja. Możliwość utrzymywania przez wiele dni organów w warunkach pozaustrojowych i ich jednoczesnej regeneracji znacznie zwiększyłaby liczbę wykonywanych przeszczepień. To szansa, na którą od lat czekają dziesiątki tysięcy pacjentów na całym świecie – mówi.

Rzeczywiście, coś takiego widywało się do tej pory jedynie w filmach science fiction. Organ nie tylko może wiele dni przebywać poza ludzkim organizmem – w tym czasie można go także leczyć.

Trochę statystyk

Według danych Centrum Organizacyjno-Koordynacyjnego ds. Transplantacji Poltransplant w 2024 r. przeszczepiono w Polsce rekordową liczbę prawie 2197 narządów pozyskanych od zmarłych dawców, które otrzymało 2151 pacjentów. Wykonano m.in. 1132 przeszczepy nerek, 147 transplantacji płuc, 201 przeszczepień serca oraz 640 transplantacji wątroby.

Obok dobrych informacji jest też jednak gorsza. Specjaliści wskazują, że mimo tendencji wzrostowej, jeśli chodzi o przeszczepy od zmarłych dawców, nadal mało kto decyduje się na oddanie nerki najbliższej osobie. W 2024 r. przeszczepiono 82 nerki oraz 24 fragmenty wątroby uzyskane od żywych dawców. Lekarze transplantolodzy zwracają uwagę, że narządy przeszczepione od żywego dawcy zazwyczaj działają w organizmie biorcy dłużej (ok. 15 lat) niż narządy przeszczepione od zmarłych dawców (10 lat).

Kolejki po nowe narządy nadal rosną. Na Krajowej liście oczekujących na przeszczepienie wdniało w grudniu zeszłego roku 1905 osób. Najwięcej pacjentów czeka na przeszczep nerki (1122 osoby). Kolejną najliczniejszą grupą są oczekujący na serce (415 osób), wątrobę (181) i płuca (139). Nefrolog prof. Ryszard Gellert mówi, że choroby nerek są drugim po nadciśnieniu tętniczym

najczęstszym przewlekłym schorzeniem dotyczącym dorosłych Polaków. W Polsce choruje na nie 4,7 mln osób. Zgodnie z danymi niepublicznej sieci dializ DaVita w naszym kraju regularnie dializowanych jest ponad 20 tys. osób. Specjaliści ostrzegają, że problem z brakiem narządów do przeszczepu będzie narastał. Dotyczy on szczególnie osób z przewlekłą chorobą nerek, których z roku na rok na całym świecie przybywa. Prognozy WHO wskazują, że do 2030 r. liczba pacjentów wymagających dializ może się podwoić, a duża część z nich będzie wymagała nowej nerki. Ten fakt wybrzmiewa jeszcze mocniej, jeśli uświadomimy sobie, że obchodzony 26 stycznia Ogólnopolski Dzień Transplantacji wywodzi się ze świętowania pierwszego udanego przeszczepu nerki w Polsce.

Mimo wielu trudności polska transplantologia rozwija się, a jej pozycja w światowej medycynie cały czas rośnie. – Robimy dużo pionierskich operacji w kraju, ale zajmujemy się też procedurami, które są rzadkie w skali Europy czy nawet świata. Czymś takim było jednoczasowe przeszczepienie wątroby i trzustki. To unikatowa procedura, wykonano ich zaledwie kilka na świecie – opowiadał na antenie radiowej Trójki prof. Wojciech Lisik, transplantolog z Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego.

To jeden z wielu sukcesów polskiej transplantologii. W 2014 r. pierwszy w Polsce przeszczep twarzą w celu ratowania życia został uznany za najbardziej udany tego typu zabieg na świecie. Ale polscy transplantolodzy cały czas mówią jedno: trzeba edukować pacjentów w kwestii przeszczepów i roli transplantologii.

– Powinniśmy zwiększać świadomość i doprowadzić do sytuacji, kiedy więcej zmarłych osób jest zgłaszanych jako dawcy narządów. Równocześnie powinniśmy namawiać do tego, żeby osoby żyjące oddawały narząd albo fragment narządu swoim najbliższym – apeluje prof. Lisik.

k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

AUSCHWITZ

wyzwoliła Armia Czerwona

Zamiast słowa wyzwolenie obecnie w mediach, a nawet już w publikacjach naukowych, używa się określenia zajęcie przez Armię Czerwoną lub przez Sowietów

Bohdan Piętka

27 stycznia 1945 r. żołnierze Armii Czerwonej przekroczyli bramę z napisem „Arbeit macht frei” prowadzącą do Konzentrationslager Auschwitz i przynieśli wolność 7 tys. więźniów, głównie chorych, którzy nie zostali ewakuowani przez Niemców w marszu śmierci. Tak dobiegła końca historia KL Auschwitz, rozpoczęta ponad cztery i pół roku wcześniej, kiedy na polecenie Himmlera w pobliżu wcielonego do Rzeszy polskiego miasta Oświęcim utworzony został nowy obóz koncentracyjny. 14 czerwca 1940 r. z więzienia

do Auschwitz prawie przez cały czas jego istnienia. Ostatnie duże transporty Polaków przybyły tu w sierpniu i we wrześniu 1944 r., z objętej powstaniem Warszawy. Ponadto Auschwitz stało się miejscem zagłady kolejno: radzieckich jeńców wojennych, Żydów kierowanych z wielu krajów Europy i Romów. Ogółem życie w obozie i ośrodku zagłady straciło 1,1 mln ofiar, głównie Żydów, ale także ok. 70 tys. Polaków, 21 tys. Romów, 15 tys. jeńców radzieckich i tysiące więźniów innych narodowości (Białorusinów, Czechów, Francuzów, Jugosłowian, Niemców, Rosjan, Ukraińców i innych). Już podczas II wojny światowej słowo Auschwitz

1945 r., przeniesiono ok. 65 tys. więźniów do obozów koncentracyjnych w głębi Rzeszy. Były to: Buchenwald, Dachau, Flossenbürg, Gross-Rosen, Mauthausen, Mittelbau-Dora, Natzweiler-Struthof, Neuengamme, Ravensbrück i Sachsenhausen. Wielu więźniów tam zginęło, zwłaszcza podczas ewakuacyjnych marszów śmierci. Ostatnich ok. 400 więźniów Auschwitz (przeniesionych lub ewakuowanych do innych obozów) zginęło 3 maja 1945 r. w wyniku omyłkowego ataku brytyjskiego lotnictwa na statki „Cap Arcona” i „Thielbek” w Zatoce Lubeckiej. Esesmani zgromadzili na nich ok. 7 tys. więźniów ewakuowanych głównie z KL Neuengamme i uniemożliwili ich kapitanom wywieszenie białych flag, co spowodowało atak brytyjski.

Ostateczna ewakuacja

W połowie stycznia 1945 r. w KL Auschwitz przebywało jeszcze ok. 67 tys. więźniów – ponad 31 tys. w obozie macierzystym KL Auschwitz I oraz w obozie KL Auschwitz II-Birkenau, ponad 35 tys. w podobozach znajdujących się w prowincji górnośląskiej, a ok. 600 w trzech podobozach funkcjonujących na Morawach.

12 stycznia 1945 r. rozpoczęła się zimowa ofensywa Armii Czerwonej. Jej szybkie postępy spowodowały, że wyższy dowódca SS

Ogółem życie w Auschwitz straciło 1,1 mln ofiar, głównie Żydów, ale także ok. 70 tys. Polaków, 21 tys. Romów, 15 tys. jeńców radzieckich i tysiące więźniów innych narodowości.

w Tarnowie przywieziono do niego pierwszy transport 728 więźniów politycznych. Byli to w większości młodzi Polacy zmierzający do wojaka polskiego we Francji, ujęci podczas próby przejścia na Słowację. Do KL Auschwitz przywieziono ich akurat w dniu kapitulacji Paryża, który Francuzi poddali bez walki, a o który Polacy chcieli walczyć.

Polscy więźniowie polityczni – głównie żołnierze podziemia i ofiary terroru niemieckiego – byli kierowani

stało się najbardziej rozpoznawalnym symbolem niemiecko-nazistowskiego barbarzyństwa.

Ostatnim aktem dramatu KL Auschwitz była jego ewakuacja i likwidacja. Pierwsza faza tych działań rozpoczęła się w połowie 1944 r. w związku z letnią ofensywą Armii Czerwonej, która przesunęła linię frontu na odległość ok. 200 km od Oświęcimia. W ramach wstępnej ewakuacji, trwającej od końca czerwca 1944 r. do połowy stycznia



W chwili wyzwolenia obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau było w nim 700 młodocianych więźniów, w tym 500 poniżej 15. roku życia. Styczeń 1945 r.

i policji we Wrocławiu, SS-Obergruppenführer Ernst-Heinrich Schmauser, wydał rozkaz ostatecznej ewakuacji KL Auschwitz. Ogółem w dniach 17-23 stycznia objęto ewakuacją, głównie pieszą, ponad 58 tys. więźniów z obozu macierzystego KL Auschwitz I, obozu Birkenau i 29 podobozów. W dwóch głównych obozach oświęcimskich i kilku podobozach pozostało niecałe 9 tys. więźniów, przeważnie krańcowo wyczerpanych fizycznie oraz ciężko chorych, a także członków więźniarskiego personelu szpitali obozowych.

Ostateczna ewakuacja więźniów stanowiła jeden z najtragiczniejszych rozdziałów historii KL Auschwitz. Przemarsze kolumn ewakuacyjnych przez Górny i Dolny Śląsk nazwano marszami śmierci. Zaśnieżone i oblodzone drogi zostały ustraszone zwłokami zmarłych z wyczerpania i na skutek przemarznięcia, a w jeszcze większej liczbie zastrzelonych przez esesmanów konwojujących więźniów. Większość pędzonych ludzi skierowano dwiema głównymi trasami. Pierwsza, 63-kilometrowa, wiodła z Oświęcimia do Wodzisławia Śląskiego.

Ewakuowano nią ok. 25 tys. więźniów. Druga – o długości 55 km – prowadziła z Oświęcimia przez Mikołów do Gliwic. Przeszło nią co najmniej 17 tys. więźniów. Ci, którzy dotarli do Wodzisławia Śląskiego i Gliwic, zostali odprawieni transportami kolejowymi do obozów koncentracyjnych w głębi Rzeszy. Jedną z najdłuższych tras, 250-kilometrową, przebyło 3,2 tys. więźniów z podobozu oświęcimskiego Neu-Dachs w Jaworznie, których przeprowadzono w pieszym marszu do KL Gross-Rosen na Dolnym Śląsku. Ogółem ewakuacja KL Auschwitz w styczniu 1945 r. pochłonęła życie od 9 tys. do 15 tys. więźniów.

20 stycznia 1945 r. esesmani wysadzili w powietrze budynki krematoriów II i III, natomiast 26 stycznia krematorium V, próbując w ten sposób zatrzeć ślady popełnionego tam ludobójstwa na Żydach i Romach. Do 20 bądź 21 stycznia teren obozu macierzystego KL Auschwitz I oraz obozu Birkenau był strzeżony przez stałe posterunki SS. Wtedy pełniący jeszcze służbę na obozowych wieżach strażniczych esesmani w większości opuścili obóz. Jednak teren nadal patrolowały lotne oddziały SS. Przejeżdżały tamtędy również oddziały Wehrmachtu. Ponad 8,5 tys. więźniów, w większości chorych i wyczerpanych, do końca znajdowało się w niepewnej sytuacji. SS-Obergruppenführer Schmauser wydał rozkaz zabicia tych, którzy nie zostali objęci ewakuacją. Rozkaz nie został wykonany prawdopodobnie tylko z powodu pośpiesznej ucieczki esesmanów. Doszło jednak do kilku masakr na pozostałych w KL Auschwitz więźniach.

W dniach 20 lub 21 oraz 25 stycznia 1945 r. w obozie Birkenau zostało zamordowanych od 300 do 400 żydowskich więźniów i więźniarek. Dokonały tego specjalnie przybyłe w tym celu, bliżej nierozpoznane oddziały SS i funkcjonariuszy służby bezpieczeństwa (SD). Masakr dokonano też w dniach 19-27 stycznia 1945 r. na ok. 400 więźniach podobozów oświęcimskich w Blachowni Śląskiej, Czechowicach, Gliwicach, Rydułtowach i Wesolej.

► Historia według Schetyny

Wojska radzieckie otrzymały bliższe informacje o KL Auschwitz dopiero po wyzwoleniu Krakowa, 18 stycznia 1945 r. rozkaz oskrzydlenia Oświęcimia wydano trzem dywizjom 60. Armii 1. Frontu Ukraińskiego. Najszybsza była 100. Lwowska Dywizja Strzelecka. W sobotę, 27 stycznia, przed południem pierwsi zwiadowcy z 454. pułku tej dywizji dotarli do podobozu Monowitz. Następnie żołnierze 100. dywizji skierowali się do centrum Oświęcimia – tylko tam napotkali opór cofających się

ówczesny minister spraw zagranicznych Polski Grzegorz Schetyna ogłosił, że KL Auschwitz wyzwolili Ukraińcy. Z faktu, że dywizja miała w nazwie przymiotnik lwowska i że działała w ramach 1. Frontu Ukraińskiego, minister wyciągnął wniosek, że służyli w niej głównie Ukraińcy. Jednak owo lwowska było jedynie oficjalnym wyróżnieniem za udział w operacji lwowsko-sandomierskiej latem 1944 r., natomiast nazwa frontu była związana wyłącznie z kierunkiem operacyjnym jego działania, a nie z narodowością żołnierzy.

W dniach 17-23 stycznia 1945 r. ewakuacją, głównie pieszą, objęto ponad 58 tys. więźniów z obozu macierzystego KL Auschwitz I, obozu Birkenau i 29 podobozów.

oddziałów niemieckich – obozu macierzystego i obozu Birkenau. Oba obozy zajęli około godz. 15.

W bezpośrednich walkach o wyzwolenie podobozu Monowitz, obozu macierzystego, Birkenau oraz Oświęcimia i okolicy poległo 231 żołnierzy radzieckich, z których 60-70 zginęło w walkach w strefie obozowej. Znajdowali się wśród nich m.in. podporucznik narodowości tatarskiej Gilmudin Badryjewicz Baszirow i dowódca 472. pułku piechoty, płk Siemen Lwowicz Biesprozwannyj. W większości spoczywają oni na cmentarzu miejskim w Oświęcimiu. W obozie macierzystym, Birkenau i Monowitz wyzwolenia doczekało ok. 7 tys. więźniów, w tym ponad 400 dzieci w wieku od kilku dni do 15 lat. Około 500 więźniów zostało wyzwolonych przed 27 stycznia w podobozach oświęcimskich w Blachowni Śląskiej, Jawiszowicach, Jaworznie, Libiążu, Starej Kuźni, Świętochłowicach i Wesolej. Na terenie obozowym w Oświęcimiu i Brzezince żołnierze radzieccy znaleźli ok. 600 ciał więźniów zastrzelonych przez esesmanów w trakcie wycofywania się z Oświęcimia oraz zmarłych z wycieńczenia.

100. Lwowska Dywizja Strzelecka stała się bohaterką światowych mediów 27 stycznia 2015 r., kiedy

Żołnierze służący w dywizji byli różnych narodowości, a ok. 60% stanowili Rosjanie. Sformowana została wiosną 1942 r. w Wołogdzie na północy Rosji. Ukraińców wcielano w jej szeregi dopiero wtedy, gdy weszła do walk na Ukrainie. Szlak bojowy 100. dywizji prowadził od Woroneża, przez tereny Ukrainy, do Lwowa, następnie przez Kraków, Oświęcim, Racibórz, Śląsk Opawski i Morawy do Pragi.

Jej trzej kolejni dowódcy byli Rosjanami. Trzecim w styczniu 1944 r. został Fiodor Michajłowicz Krasawin (1896-1948), wtedy jeszcze pułkownik, wkrótce

Służący w 100. dywizji byli różnych narodowości, a ok. 60% stanowili Rosjanie.

awansowany na generała majora. W 1938 r. Krasawin stał się ofiarą stalinowskiej czystki w Armii Czerwonej. Trybunał wojskowy skazał go w 1939 r. na 12 lat obozu pracy ze słynnego art. 58 Kodeksu karnego RFSRR (zdrada ZSRR, szpiegostwo i działalność kontrrewolucyjna), z którego skazano większość ofiar wielkiego terroru. Zwolniono go z łagru w lutym 1942 r. i wysłano na front. Zrehabilitowany został pośmiertnie, w 1968 r. Co ciekawe,

członkiem partii bolszewickiej Krasawin został dopiero w 1944 r.

Część wyzwolonych więźniów oświęcimskich, ci we względnie dobrym stanie fizycznym, niezwłocznie opuściła były obóz i udała się do swoich miejscowości rodzinnych. Większość wymagała jednak natychmiastowej pomocy medycznej. Pośpieszyły z nią radziecka wojskowa służba medyczna oraz społeczeństwo polskie. Szczególną rolę odegrał przy tym aktyw Polskiego Czerwonego Krzyża z Oświęcimia, Brzeszcza i Krakowa. Z tego ostatniego na teren byłego KL Auschwitz przybyła najliczniejsza grupa ochotników PCK, wśród których znaleźli się uczestnicy powstania warszawskiego. Dzięki nim na terenie byłego obozu obok radzieckich szpitali wojskowych powstał Szpital Obozowy PCK. Jego kierownictwo objął dr Józef Bellert (1887-1970), wybitny lekarz, działacz niepodległościowy, legionista i piłsudczyk, który zasłużył się także, kierując podczas powstania warszawskiego szpitalem powstańczym przy Jaworzyńskiej 2.

Wieloma chorymi więźniami opiekowały się też siostry zakonne serafitki w Oświęcimiu, przyjmując ich do swojego zakładu. Pod opieką tych szpitali znalazło się ponad 4,5 tys. chorych byłych więźniów z ponad 20 państw, wśród nich ok. 960 obywateli polskich. Dużą grupę, 160-170 osób, tworzyły Polki deportowane do KL Auschwitz

podczas powstania warszawskiego. Wycieńczonych głodem pacjentów stopniowo przyzwyczajano do jedzenia, dawkując im posiłki niemal jak leki, np. supę z przecieranych ziemniaków w ilości trzy razy dziennie po łyżce, a po pewnym czasie po kilka łyżek. Przez wiele tygodni po wyzwoleniu pielęgniarki znajdowały pod siennikami i materacami chleb. Niektórzy chorzy obozowym zwyczajem chowali go na następny dzień, nie dowierzając, że niebawem

otrzymają nowe porcje. Niestety, nie wszystkim udało się uratować.

Niewygodne wyzwolenie

Większość ocalonych więźniów opuściła radzieckie szpitale i Szpital Obozowy PCK w ciągu trzech-czterech miesięcy po wyzwoleniu. Setki osób, które pochodziły spoza Polski, przewieziono do repatriacyjnych punktów zbiorczych i sanitarnych przygotowanych przez polskie instytucje społeczne w Bielsku, Katowicach i Krakowie. Zanim byli więźniowie udali się do swoich miejsc zamieszkania, zwrócili się do światowej opinii publicznej z kilkoma rezolucjami, w których piętnowali zbrodnie hitlerowskie i ostrzegali przed niebezpieczeństwem ich powtórzenia, wzywając do przeciwdziałania temu niebezpieczeństwu. W jednej z takich rezolucji, podpisaną przez 27 osób reprezentujących inteligencję różnych krajów, czytamy w zakończeniu: „Jako wyzwoleni więźniowie zawdzięczamy życie bohaterskiej Armii Czerwonej i prosimy międzynarodową społeczność i wszystkie rządy o przyjęcie tego do wiadomości i wyrażenie wdzięczności w naszym imieniu”.

Fakt ten jest współcześnie pomniejszany lub nawet negowany przez niektórych polityków i prawniczą publicystykę historyczną, która chciałaby widzieć historię czarno-białą. Zamiast słowa wyzwolenie używa się obecnie w mediach, a nawet już w publikacjach naukowych, określenia zajęcie przez Armię Czerwoną (lub Sowietów) – w odniesieniu nie tylko do Auschwitz, ale i do wyzwolenia Polski spod krwawej i niszczycielskiej okupacji niemieckiej. Historia jednak nie jest czarno-biała. Wyzwolenie Auschwitz przez Armię Czerwoną jest faktem, którego nie pomniejsza sprawa funkcjonowania na terenie byłego KL Auschwitz dwóch obozów NKWD. Tak jak faktami są wyzwolenie naszego kraju spod okupacji niemieckiej przez czerwonoarmistów i równoczesne narzucenie Polsce rządu zależnego od ZSRR, co było połączone z represjami wobec żołnierzy AK (w tym z obławą augustowską i skandalicznym

procesem w Moskwie 16 przywódców Polski Podziemnej). Trzeba po prostu widzieć całość – jedno nie unieważnia drugiego.

Pierwszy ze wspomnianych obozów NKWD – określany jako łagier nr 22 – istniał w byłym obozie macierzystym KL Auschwitz I od wiosny do jesieni 1945 r. i przetrzymywano w nim wyłącznie jeńców niemieckich. Drugi obóz – formalnie też jeniecki, określany jako łagier nr 78 – został założony w obrębie byłego

przez niego informacji – potajemnie wysłanej przez internowanych – że w obozach NKWD w Oświęcimiu przebywa 12 tys. Polaków z Górnego Śląska, zarówno osób cywilnych, jak i jeńców byłej armii niemieckiej.

KL Auschwitz nie był jedynym niemieckim obozem koncentracyjnym wyzwolonym przez czerwonoarmistów. Przekroczyli oni także bramy Majdanka (KL Lublin), KL Gross-Rosen, KL Stutthof, KL Ravensbrück i KL Sachsenhausen. Podobnie jak

Większość ocalonych więźniów opuściła radzieckie szpitale i Szpital Obozowy PCK w ciągu trzech-czterech miesięcy po wyzwoleniu.

obozu kobiecego w Birkenau na odciśnięciach B1a i B1b. Istniał od wiosny 1945 r. do wiosny 1946 r. W obozach tych przebywało łącznie nie mniej niż 25 tys. osób, z których część deportowano w głąb ZSRR. Około 10 tys. osób internowanych przez NKWD na terenie byłego KL Auschwitz – głównie cywilów pochodzących z Górnego Śląska i Podbeskidzia – zostało zwolnionych w drugiej połowie sierpnia i we wrześniu 1945 r. w rezultacie interwencji wojewody śląskiego, gen. Aleksandra Zawadzkiego. Nastąpiła ona po otrzymaniu

w Auschwitz w obozach tych wyzwolono grupy więźniów niezdolnych do ewakuacji. W KL Lublin ok. 1 tys. osób, w KL Stutthof ponad 100, w KL Ravensbrück ponad 3 tys. W obozie głównym KL Gross-Rosen w ogóle nie zastano już więźniów, ewakuowanych wcześniej w marszu śmierci. Natomiast ok. 3 tys. więźniów pozostałych w KL Sachsenhausen wyzwoliła 22 kwietnia 1945 r. dywizja piechoty z walczącej na froncie wschodnim 1. Armii Wojska Polskiego.

Bohdan Piętka



Wiwaty i protesty

**Zawieszenie broni między Hamasem a Izraelem
nie zwiastuje trwałego pokoju w regionie**



Jakub Katulski

Po 15 miesiącach konfliktu i wielu rundach negocjacji rząd Izraela porozumiał się z Hamasem. 19 stycznia weszło w życie zawieszenie broni, choć nie obyło się bez napięć między walczącymi stronami ani w samym środowisku władz izraelskich. Dzisiaj jednak mieszkańcy Gazy żyją obietnicą tego, że nie będzie ona miejscem walk przynajmniej przez kilka tygodni. Mocno już podzielone izraelskie społeczeństwo dostało natomiast kolejne powody do pogłębienia polaryzacji.

Sytuacja wcale się nie uspokoiła – wciąż wrze na Zachodnim Brzegu. Jedynie bliscy zakładników wracających z Gazy do domu i Palestyńczyków zwolnionych z izraelskich więzień mogą odetchnąć z ulgą, co media uwieczniły na licznych fotografiach

i nagraniach przedstawiających ich wzruszone twarze. Jednak nawet oni stają się przedmiotem sporów, zwłaszcza że podczas ostatnich kilkunastu miesięcy osią podziału w izraelskim społeczeństwie były oczekiwania co do realizacji przez rząd głównego deklarowanego celu wojny – uwolnienia zakładników uprowadzonych 7 października przez bojowników Hamasu do Strefy Gazy.

Choć krótko po brutalnym ataku zdawało się, że tragedia izraelskich cywilów będzie czynnikiem jednoczącym podzielone społeczeństwo, na ulicach miast szybko pojawiły się demonstracje. Forum Rodzin Zakładników i Zaginionych naciskało na rząd Beniamina Netanjahu, by ich bliskich wyciągnął z Gazy metodami dyplomatycznymi, nawet kosztem porozumienia się z Hamasem i przeknięcia porażki izraelskiej strategii

bezpieczeństwa. Nie wszyscy w kraju zgadzali się z takim podejściem – na ulice wyszli też członkowie Forum Gwury (hebr. bohaterstwo), którzy naciskali na wykorzystanie siły militarnej do odzyskania zakładników, a także na całkowite zniszczenie Hamasu, zgodnie z deklarowanymi przez Beniamina Netanjahu celami trwającej wojny.

•
Wojskowa operacja w Gazie wcale jednak nie przynosiła spektakularnych sukcesów w kwestii uwalniania porwanych – w przeciwieństwie do starań dyplomatycznych. Jeszcze w listopadzie 2023 r., gdy udało się wypracować tygodniowe zawieszenie broni, do Izraela wróciło 105 osób, w tym 24 obcokrajowców, którzy również zostali porwani 7 października. Kolejny taki sukces już się nie powtórzył. W grudniu 2023 r. żołnierze Sił Obronnych Izraela podczas bitwy

o dzielnicę Szudżajja „omyłkowo za zagrożenie” uznali trzech zakładników i zabili ich na miejscu. Posypały się oskarżenia o to, że rządowi Netanjahu tak naprawdę wcale nie zależy na zakładnikach, a wyłącznie na eskalacji mieszkańców Gazy. Sytuacji nie poprawia fakt, że do dzisiaj izraelskiemu wojsku udało się odbić jedynie ośmiu zakładników, a w Gazie pozostaje ich niemal setka.

W tej chwili pojawiły się jednak widoki na uwolnienie reszty, choć etapowo i za cenę zwolnienia

zdaniem był niesprawiedliwy i miał na celu ucieszenie palestyńskiego oporu. Już w 2004 r. zapowiedział, że ma zamiar ubiegać się o stanowisko prezydenta Autonomii Palestyńskiej. Według licznych sondaży jest obecnie najpopularniejszym kandydatem na następcę Mahmuda Abbasa.

Jeszcze dzień przed wejściem w życie zawieszenia broni przeciwnicy porozumienia z Hamasem starli się w Jerozolimie z policją, blokując

że strategia bezpieczeństwa wobec bliskowschodnich rywali jest kluczowym punktem każdej kampanii wyborczej. To na obietnicach zabezpieczenia granic zbudowali swoje kariery tacy politycy jak Netanjahu, Beni Ganc czy Naftali Bennett, a nawet Itamar Ben-Gewir. Ten ostatni to kontrowersyjny przywódca skrajnie prawicowej partii Ocma Jehudit (hebr. Żydowska Siła), który w odpowiedzi na wejście w życie zawieszenia broni opuścił koalicję rządową.

Ben-Gewir był trudnym partnerem dla Netanjahu przez cały okres eskalacji konfliktu, popychając premiera do przyjmowania twardego kursu wobec Gazy, m.in. groźbami wyjścia z koalicji. Być może właśnie w tym należy dopatrywać się przyczyn porażek poprzednich negocjacji, podczas których Hamas i izraelscy negocjatorzy oskarżali się wzajemnie o torpedowanie porozumienia poprzez ciągłe zmiany jego warunków. Sam Ben-Gewir przekonywał o tym jeszcze w poniedziałek, 13 stycznia, zaznaczając, że osobiście jako minister bezpieczeństwa publicznego zablokował liczne porozumienia w sprawie zawieszenia broni i uwolnienia zakładników, czym ściągnął na siebie krytykę ze strony środowiska Forum Rodzin. Porozumienie

Demonstracje w Izraelu podsycane były euforycznymi celebracjami Palestyńczyków, świętujących nie zawieszenie broni, lecz zwycięstwo.

także palestyńskich więźniów. Już 19 stycznia do Izraela wróciły trzy kobiety, a z izraelskich więzień wypuszczono 90 Palestyńczyków, w tym od 61 do 69 kobiet (w zależności od źródeł). Zwolnienia Palestyńczyków, których docelowo z więzień ma wyjść prawie 2 tys., wywołują liczne kontrowersje i protesty środowiska Forum Gewura oraz izraelskiej prawicy. Wśród uwolnionych znalazły się bowiem nie tylko osoby przetrzymywane na mocy tzw. aresztów administracyjnych, czyli bez wyroków i zarzutów. Wolność mają odzyskać też osoby skazane na dożywocie, w tym Zakaria Zubeidi, były dowódca Brygad Męczenników Al-Aksa z Dżaninu, palestyńskiej milicji powiązanej do 2007 r. z nominalnie władającym Autonomią Palestyńską Fatahem.

Władze Izraela przekonują jednak, że wśród zwolnionych nie będzie osób skazanych za zabójstwo. Jest to o tyle istotne, że zarówno Hamas, jak i mediatorzy z Egiptu i Kataru naciskają na zwolnienie Marwana Bargutiego. Barguti, podczas drugiej intifady kluczowy dowódca Tanzimu, innej powiązanej z Fatahem milicji, od ponad 20 lat przebywa w izraelskim więzieniu skazany na pięciokrotne dożywocie za zabójstwo pięciu osób. Oskarżony nie przyznał się do zarzutów, zaznaczając, że potępiał ataki na izraelskich cywilów nawet w czasie intifady, a sam proces jego

ulice i wykrzykując, że Jahja Sinwar, zabity kilka miesięcy temu przywódca Hamasu, któremu przypisuje się wymyślenie ataku z 7 października, także został zwolniony na mocy porozumienia. Miało to miejsce w 2011 r., podczas wymiany 1 tys. palestyńskich więźniów za kpr. Gilada Szalita, który w Gazie przebywał pięć lat.

Demonstracje w Izraelu podsycane były też przez euforyczne celebracje po drugiej stronie muru, gdzie

Świadomość porażki w Izraelu trudno przełknąć, bo strategia bezpieczeństwa wobec bliskowschodnich rywali jest kluczowym punktem każdej kampanii wyborczej.

Palestyńczycy świętowali nie tyle zawieszenie broni, ile zwycięstwo. W ich oczach to, że Izraelowi nie udało się osiągnąć deklarowanych celów operacji i musiał pójść na ugodę, jest w istocie porażką, choć po palestyńskiej stronie liczba ofiar śmiertelnych sięgnęła aż 46 tys. (dane Palestyńskiego Ministerstwa Zdrowia; Izraelczycy podważają tę liczbę jako niewiarygodną, natomiast Rada Praw Człowieka ONZ uważa, że jest ona prawdopodobnie niedoszacowana), a Strefa Gazy jest praktycznie zrównana z ziemią.

W Izraelu świadomość porażki jest trudna do przełknięcia, szczególnie

z Hamasem nazywa nie tylko kapitulacją, ale również „obrazą narodową”, i domaga się natychmiastowego wznowienia walki. Wśród jego zwolenników słychać głosy, że zawieszenie broni jest napluciem w twarz żołnierzom.

W akcie protestu na Zachodnim Brzegu doszło do ataków żydowskich osadników na palestyńskie wioski, podczas których podpalano domy i pojazdy, a także raniono Palestyńczyków. Ale to jedynie najnowsza odsłona osadniczej przemocy na Zachodnim Brzegu. Na początku roku Biuro Narodów Zjednoczonych ▶

► ds. Koordynacji Pomocy Humanitarnej obliczyło, że w ciągu całego 2024 r. na Zachodnim Brzegu i w Jerozolimie Wschodniej doszło do 1,4 tys. przypadków przemocy z udziałem osadników, w tym do podpałów, fizycznych ataków, rajdów na palestyńskie wioski i niszczenia drzew owocowych ważnych dla miejscowych rolników, zwłaszcza drzewek oliwnych. Przeciętnie zdarzały się cztery incydenty dziennie. Od początku konfliktu izraelskie służby bezpieczeństwa lub uzbrojeni osadnicy zabili co najmniej 800 Palestyńczyków z Zachodniego Brzegu.

Sytuacji zapewne nie poprawi fakt, że Siły Obronne Izraela we współpracy z Autonomią Palestyńską, zależną

od izraelskiego rządu, rozpoczęły w okolicach Dżaninu w północnej części Zachodniego Brzegu operację „Żelazna Ściana”, co ułatwia im stopniowe wycofywanie sił ze Strefy Gazy. Z kolei siły bezpieczeństwa Autonomii Palestyńskiej co najmniej od grudnia ub.r. walczyły tam przeciwko Brygadam Dżaninu, palestyńskiej milicji powiązanej z Hamasem, Palestyńskim Islamskim Dżihadem i Brygadami Męczenników Al-Aksa. Portal The Jerusalem Post przekazał, powołując się na źródła w Siłach Obronnych Izraela, że wojskowi uznali palestyńską operację za niewystarczającą do ograniczenia wpływów Iranu na Zachodnim Brzegu, wobec czego podjęta została decyzja o rozpoczęciu działań wojskowych na większą skalę.

To, wraz z jasnym sygnałem wysłanym osadnikom przez Donalda Trumpa w pierwszym dniu jego drugiej prezydentury, że zdjęcie on amerykańskie sankcje z ich środowisk, ośmieli skrajną prawicę i przyczyni się do dalszego destabilizowania sytuacji na Zachodnim Brzegu. Tym bardziej że już dzisiaj izraelska policja i wojsko są oskarżane o to, że na przemoc ze strony osadników reagują za późno lub wcale, zamiast tego chroniąc ich podczas palenia palestyńskich wiosek. To jednak też nie jest niczym nowym – już w lutym 2023 r., po powstaniu koalicji z udziałem skrajnej prawicy, ale jeszcze długo przed październikowym atakiem terrorystycznym Hamasu, osadnicy dokonali pogromu w wiosce Huwara na Zachodnim Brzegu, paląc domy i pojazdy, raniąc 100 osób, a jedną zabijając. Już wówczas wojsko jedynie otoczyło wioskę kordonem, nie interweniując przeciwko przemocy, a właściwie dając zielone światło osadnikom.

Cykl przemocy nie zaczął się więc 15 miesięcy temu. Trwa znacznie dłużej i staje się coraz bardziej brutalny. Część zakładników, jeśli nie wszyscy, wróci do domów, Gaza dostanie chwilę oddechu, ale na pewno nie można mówić o powrocie choćby względnego spokoju. Ci, którym marzy się trwały pokój w regionie, długo jeszcze go nie dostaną. Pogłębiające się podziały, nie tylko między Palestyńczykami a Izraelczykami, ale także w społeczeństwie izraelskim, zwiastują raczej dalszą destabilizację.

Okno Overtona przesunęło się jednak w taki sposób, że dzisiaj marzenia o pokojowym rozwiązaniu konfliktu, koegzystencji czy dwóch niepodległych państwach żyjących obok siebie są traktowane jak polityczny ekstremizm, podczas gdy dyskusje o wysiedleniach, zemście i kordonach sanitarnych są uważane za przejaw racjonalnej i zrównoważonej polityki bezpieczeństwa.

W takich warunkach trudno się spodziewać, że kolejne pokolenia, po którejkolwiek stronie tego konfliktu, będą mniej radykalizowane.

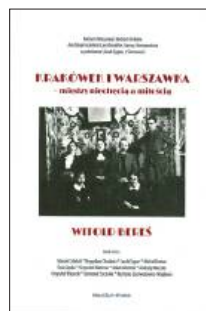
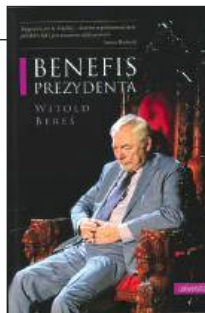
KSIĄŻKI

Witold Bereś

Benefis Prezydenta

Universitas, Kraków 2024

Tytułowy benefis prof. Jacka Majchrowskiego, prezydenta Krakowa, odbył się w listopadowy wieczór 2022 r. w Teatrze STU. Jednak niemal wszystkie okoliczności, zdarzenia i słowa spisane przez autora są zmyśnione. Nieprawdziwi są też bohaterowie – tworzą zbiorowy portret „krakówka”. Prawdziwy jest prezydent Jacek Majchrowski, który władał miastem 20 lat i dzięki jego decyzjom Kraków zmienił się nie do poznania. I kiedy wydawało się, że mieszkańcy wystawią na Rynku złoty pomnik prezydenta na tronie, coś się załamało. Tak jak był kochany przez dwie dekady bez zastrzeżeń, nagle okazało się, że jest źle, że zmiana jest konieczna. I dlatego planowana opowieść o prezydencie Krakowa przekształciła się w opowieść o małości wpisanej w geny narodowe. W książkowym benefisie prezydenta Majchrowskiego między zmyślonymi scenami pomieszczone zostały prawdziwe rozmowy z bohaterem: o wielkiej polityce, o PRL, o życiu prywatnym, o mentalu narodowym, niepodległości, polityce przestrzennej, o prezydenckich porażkach i kłopotach z zarządzaniem miastem. „Kraków liczy sobie ponad tysiąc lat – mówi prezydent – i co najmniej jeszcze tysiąc lat przed nim – niezależnie od tego, kto nim będzie zarządzał”.



Witold Bereś

Kraków i Warszawa – między niechęcią a miłością

Panaceum Studio, Kraków 2024

Częste są przekomarzania mieszkańców obu miast: „Czy Kraków mądrzejszy, czy Warszawa odważniejsza?”. Mają one historyczne podwaliny, o których tu również przeczytamy. Ale interesują nas także współczesne odmienności. Czy antagonizm krakowsko-warszawski, a przynajmniej różnice kulturowe między Krakowem a Warszawą rzeczywiście istnieją? Czy „krakówek” nadal trwa? Wypowiadają się na ten temat celebryci, artyści i twórcy z obu miast. I nie chodzi tu o rozstrzygnięcie pytania, ale o ciągły dialog między dwoma miastami, które – choć różne – nie mogą bez siebie żyć.

(es)

Jakub Katulski

Nawiasem mówiąc



Stanisław Filipowicz

Wysokie obcasy

Republika to słowo otoczone blaskiem, używając go, stajemy na wysokich obcasach. Przez moment, jak pamiętamy, istniała u nas Partia Republikańska. Początkowo przybrała postać politycznej kanapy, w fazie schyłkowej bez trudu udałoby się ją posadzić na kuchennym taborecie, a wreszcie przestała istnieć. Jej główną ambicją była dystrybucja środków NCBR w gronie dobrych znajomych. Na pewien czas ogniskiem światła stał się pisowski Instytut De Republica, ale on też przestał istnieć. No tak, była jeszcze Liga Republikańska, która we wrogów uderzała jajkami. Republikańskie dostojeństwo, jak widzimy, wykuwa się w walce.

Ambicje „republikańców” sięgały zawsze wysoko. Mówiono nawet (i u nas, i na świecie) o „uszlachetnianiu demokracji”, co miało oznaczać podporządkowanie indywidualnych interesów zasadzie dobra wspólnego. W ten sposób cnota miała stanąć do walki z zepsuciem, które szerzyli liberałowie, otaczając kultem samolubne ego.

Zostawmy szcudła, zejźmy na ziemię. Popatrzmy, jak to wyglądało u źródeł, w Rzymie, w bajecznych czasach początku. Salustiusz, jeden z ważnych świadków epoki, opisując w „Sprzysiężeniu Katyliny” zepsucie skrywające się za fasadą wzniosłych frazesów, informował: „Zamiast wstydu, zamiast bezinteresowności, zamiast cnoty – panowały zuchwałość, rozrzutność, chciwość”. Jak zatem widzimy, nasi krajowi szermierze cnoty nie odstają od wzorca. Sam Katyliną, spiskowicem, którym kierowało nienasycone pragnienie władzy, odznaczał się „charakterem złym i przewrotnym”, „od młodości miłe były mu wojny domowe, rzezie, rabunki, waśń wewnętrzna”. Brytyjska autorka Mary Beard, opisując nasilający się zamęt, podkreśla, że od pewnego momentu przemoc odgrywa w republikańskim Rzymie pierwszorzędną rolę: „Rzymscy historycy ubolewali nad stopniową destrukcją pokojowej polityki”.

Przemoc mogła być bardzo okrutna. Spójrzmy na zabójstwo braci Grakchów, przywódców stronnictwa ludowego. W 133 r. p.n.e. z podszeptu grupy senatorów zamordowano trybuna ludowego Tyberiusza Grakchusa, forsującego plan rozdziału ziemi pomiędzy ubogich. Gwałt pochłonął setki ofiar, ich ciała wrzucono do Tybru. W 121 r. p.n.e. zginął brat Tyberiusza, Gajusz. Ten sam los spotkał tysiące jego zwolenników, tym razem ciała pomordowanych zatamowały przepływ wody w Tybrze.

Czego uczy nas historia Rzymu? Chciwość, kłamstwo i obsesja władzy to kwintesencja polityki. Spójrzmy na Amerykę, na poczynania Donalda Trumpa. Czy

nie dostrzegamy znaków czasu? Lamenty przyzwoitek piętnujących grzechy populizmu niewiele nam pomogą. Słyszymy groźne pomruki historii. Max Weber tłumaczył: nowoczesna demokracja jest demokracją cezarystyczną. Cezarów wyniosła na tron republika.

No dobrze, ale dlaczego o tym piszę? Otóż dlatego, że w naszym kraju zaczynają się dziać rzeczy niepokojące. PiS marzące o powrocie do władzy pragnie krwi wrogów – z cienia wychynęło widmo Katyliny, przynosząc zachętę do gwałtu. Czy „uśmiechnięta koalicja” tego nie rozumie? Czy nasi luminarze świata bajek, którym sprawowanie władzy pomyliło się z Dniem Dziecka w Sejmie, nie widzą, co się dzieje?

Pełnym głosem przemawia żądza władzy. Bojówkarskie skłonności PiS ma w swojej naturze. Kaczyński zawsze najlepiej czuł się na ulicy, profanując kukły wrogów. Jego specjalność to podburzanie tłumów. Dziś też marzy o zamieszkach. Niewesoło, pamiętamy hasło: „Donald, matole, twój rząd obalą kibole”.

Klimat przemocy gęstnieje. Na Jasnej Górze usłyszeliśmy chrześcijański apel miłości:

„Raz sierpem, raz młotem czerwoną hołotę”. Kandydat „obywatelski”, wielce poruszony, skłonił czoło. Zastanówmy się, jakie intencje stoją za jego namaszczeniem.

Żyjemy w czasach pełzającej anarchii. Pisowscy krzykacze (i ich kumotrowie z formacji Ziobry) zawsze byli bojówką światopoglądową. Dziś bojówkarski temperament rwie się do czynu: „patrioci” oznajmili, że legalność jest nielegalna. Czego więcej trzeba, by z piedestału wystowienia zejść na bruk i sięgnąć po pałki i kastety?

Jasna Góra stała się świątynią gróźb. Komentarze? Postanka PiS, zapytana przez dziennikarza prowadzącego rozmowę w radiu: „A dzisiaj ta hołota to kto?”, nie popadła w zakłopotanie. Odpowiedziała: „No, koalicja 13 grudnia”. Wyjaśniła też, że w całym zdarzeniu nie ma nic niepokojącego, gdyż jasnogórskie hasło to dawny okrzyk bojowy NZS. Łączy on – tak to chyba trzeba rozumieć – niebo i ziemię, jest nośnikiem niepokalanej mocy, która obaliła „komunę”. Czyli wszystko wolno. To musi być wielka ulga uwolnić się jednocześnie od poczucia przyzwoitości i potrzeby myślenia.

W tle chichot historii. Sierp i młot znów są symbolem walki o prawdę i sprawiedliwość. Wysokie obcasy potąmały się. Republikańska muza występuje dziś w kaloszach. Tak jest chyba lepiej. Na bruku eleganckie obuwie mogłoby tylko przeszkadzać.

Pechowy wizjoner

Czy historia oceni Bidena lepiej niż jego współcześni?



Biden żył w świecie własnych wyobrażeń o tym, jak ludzie odbierali jego rządy. Nz. z Opal Lee, która walczyła o ustanowienie 19 czerwca świętem narodowym zakończenia niewolnictwa. Białe Dom, 17 czerwca 2021 r.

Eliza Sarnacka-Mahoney Korespondencja z USA

Teraźniejszość jest dla Joego Bidena wyjątkowa niefaskawa, by nie rzec okrutna. Odchodzi z Białego Domu bez oklasków, a większość Amerykanów uważa go za przegrywa. Jeżeli dopisze mu szczęście, doczeka się bardziej sprawiedliwej oceny swoich rządów, ale tylko jeśli kolejna prezydentura Trumpa okaże się katastrofą.

W szkolnych latach moich córek udzielałam się czasami jako rodzic

pomocnik podczas lekcji, nadzorując pracę dzieci w mniejszych grupach. W Stanach Zjednoczonych to powszechna praktyka, tego typu odwiedzin rodziców uważane są za dodatkową motywację dla dziecka do nauki, a w realiach przepięknych klas (efekt od lat niedoinwestowanej edukacji publicznej) za działania o realnym przełożeniu na jakość edukacji. Bywało, że przerabiałam z dziećmi historię. W młodszych klasach ogranicza się ona naturalnie do podstawowych faktów z dziejów kraju, a Białe Dom i urząd prezydenta odgrywają w niej główne role. Gdy po lekturze książeczek lub czytanek

słyszałam od dzieci, że same planują zostać prezydentem lub prezydentką Ameryki, biłam im brawo i chwaliłam, że mierzą tak wysoko, aspirując do tego, co najlepsze. Niekiedy do pracy w Gabinetcie Ovalnym szły cała klasa bez wyjątku.

Od tamtych lat minęło już trochę czasu, ale przypominałam sobie te lekcje, oglądając transmisję z zaprzysiężenia Donalda Trumpa na 47. prezydenta USA. Czy któreś z tych dzieci wciąż pielęgnuje w sobie marzenie o prezydenturze? Moich córek od dawna w tym gronie nie ma i nie znam żadnego 20-latką, który do urzędu prezydenta odnosiłby

się z tą samą fascynacją i rewerencją jak na początku szkolnej kariery. Od znanych nauczycieli i rodziców młodszych dzieci wiem za to, że do takich rozmów, jakie prowadziłam w szkołach, dziś już nie dochodzi, bo są niczym pole minowe, nawet

Biden opuścił Białą Dom jako jeden z najmniej lubianych prezydentów ostatnich dekad.

w najmłodszych klasach. Polityka dla większości dzisiejszych uczniów stała się częścią ich dzieciństwa, tematem domowych rozmów, w których uczestniczą lub przynajmniej są ich świadkami.

Nie chciałam być na miejscu nauczyciela czy rodzica, który staje przed zadaniem wyjaśnienia dziecku, dlaczego do Białego Domu, symbolu tego, co najlepsze, już po raz drugi wprowadza się oszust i kryminalista, osoba, której w żadnym wypadku nie powinny naśladować – rozmyślałam wpatrzona w ekran telewizora.

Ale nie chciałam też być w skórze tych młodych, którym marzenie o prezydenturze wciąż nie wywieńtrzało z głowy – uznałam, patrząc na scenę po prostu skandaliczną. Tym, którzy nie oglądali transmisji z zaprzysiężenia, wyjaśniam, że Trump zamienił swoją mowę inauguracyjną w kolejną wyborczą agitkę, w której upokarzał stojącego ledwie kilka kroków od niego Bidena, powtarzając kłamstwa o stanie państwa. Zerwał tym samym z uświęconą tradycją – choć zrobił to także osiem lat temu – że przejmujący władzę prezydent wychodzi do narodu z pozytywnym przesłaniem o jedności i przyszłości kraju.

Po ceremonii na Kapitolu naszła mnie jeszcze jedna myśl. Podsumowując kadencję Bidena, aspirujący do stanowiska prezydenta musieli się zmierzyć z dodatkową refleksją: jak przewrotny i niesprawiedliwy bywa los osoby piastującej ten urząd, nawet jeśli ma najwyższe kompetencje i jest skuteczna w działaniu. Mimo półwiecza kariery w polityce i statusu męża stanu, który pozostawił po sobie w życiu publicznym wiele istotnych śladów, w ostatnim

dniu prezydentury Joe Biden stanął przed nami tragicznie umniejszony. Niespełniony prezydent zaledwie jednej kadencji, do tego z listą dokonań, których nie będzie można ocenić bez zestawienia z poczynaniami następcy. Jeśli zaś temu następcy

uda się je zniweczyć czy anulować, możliwe, że sprawiedliwej oceny Biden nie doczeka się nigdy. Jego przypadek pozostanie wtedy na zawsze przykładem życia oddanego służbie, która okazuje się najniezdziękniejszym z dłużników. Niczego nie zwraca i jeszcze kopie leżącego.

Niepopularny

Dla nikogo nie jest tajemnicą, że Biden opuścił Białą Dom jako jeden z najmniej lubianych prezydentów ostatnich dekad. Jego popularność na koniec wynosiła zaledwie 37%. Ale takie notowania z niewielkimi wahnięciami utrzymywały się już od połowy 2021 r., czyli od fatalnej akcji wycofywania się amerykańskich wojsk z Afganistanu. Oczywiście kompromitacja w Afganistanie nie była dla Amerykanów jedynym ani

nawet głównym powodem wystawienia Bidenowi tak złej oceny. Panowało przecież przekonanie, że to bidenomika ściągnęła na Amerykę rekordową inflację (9% w 2022 r., choć w niektórych obszarach była nawet dwukrotnie wyższa), a zamierzona prezydencka indolencja wywołała kryzys migracyjny na południowej granicy.

Dla rzeszy wyborców, szczególnie młodszych, Biden stał się dzieciobójcą w związku z jego odpowiedzią na wojnę w strefie Gazy. Udzielił bowiem Izraelowi bezwarunkowego wsparcia i nie cofnął go nawet wtedy, gdy amerykańskie rakiety Izrael zaczął wykorzystywać do rzezi palestyńskich cywilów. Oliwy do ognia dołączył fakt, że ostatni rok prezydentury, dla jej całokształtowej oceny krytyczny, upłynął Bidenowi w gęstniejącej atmosferze kontrowersji, do których nie musiało dojść.

Taką kontrowersją była przede wszystkim decyzja, by mimo postępujących i coraz trudniejszych do ukrycia ograniczeń sprawności fizycznej i umysłowej ubiegać się o reelekcję. Skutki były druzgocące. Biden odebrał w ten sposób demokratom szansę na wystawienie przeciwko Trumpowi kogoś nowego, gdy był na to właściwy czas, co gorsza, spadek jego popularności pociągnął w dół całą partię. W efekcie przegrała ▶



**Pierwsza książka w Polsce
wydana po wyborach**

Porozrywane Stany
Błyskotliwa analiza
„amerykańskiej duszy”
i politycznych wyborów

Eliza Sarnacka-Mahoney,
dziennikarka i pisarka
związana z Polską i USA



58 zł

Zamów na sklep.tygodnikprzeglad.pl lub wpłać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Poczta Polska.



► ona nie tylko prezydenturę, ale i Kongres.

Kolejnym aktem prezydenckiej autodestrukcji stała się afera wokół tajnych dokumentów, które w 2022 r. być może nieprawnie zawędrowały na biurko w Gabinetie Ovalnym. Biały Dom nigdy nie wyjaśnił sprawy do końca, a ponieważ Trumpowi za podobny występki wytoczono proces, Biden wyszedł na hipokrytę.

Czarę goryczy przelał akt łaski dla syna, Huntera Bidena, któremu groziło więzienie za udowodnione przestępstwa. Choć Bidenem kierowały pobudki zrozumiałe dla każdego, kto sam jest rodzicem, był to niezaprzeczalnie akt nepotyzmu i nadużycia, który pozostawił niesmak i rozczarowanie. Tym większe, że przez całą karierę Biden kreował się na bezkompromisowego obrońcę wartości demokratycznych, a w 2020 r. uczynił z tego główne przesłanie swojej kampanii i dzięki temu wygrał prezydenturę.

Dla demokratów, i tak już brutalnie rozniesionych w wyborach, postawa Bidena w jego ostatnich tygodniach w Białym Domu była niczym dociskanie kolanem do gleby. I kto wie, czy również nie główną przyczyną tego, że u progu drugiej prezydentury Trumpa partia przeżywa totalny

kryzys. Sparaliżowana, zdezorientowana i mimo upływu czasu wciąż niezdolna do działania jest jak zombie po nadejściu apokalipsy.

Krzywdzące oceny

Ale najbardziej wymowną i niezaprzeczalnie najsmutniejszą ilustracją odbioru prezydentury Bidena przez Amerykanów w chwili jego ustępowania ze stanowiska stał się sondaż uliczny przeprowadzony w trzeci weekend stycznia 2025 r. przez ośrodek JL Partners z Waszyngtonu.

Partia Demokratyczna przeżywa totalny kryzys. Sparaliżowana, zdezorientowana i niezdolna do działania przypomina zombie po nadejściu apokalipsy.

Więcej niż co trzeci pytany (37%), bez względu na to, kogo popart w wyborach, nie potrafił wskazać ani jednego sukcesu 46. prezydenta.

Czytelnikom, którzy byli ze mną na tych łamach przez ostatnie cztery lata, nie muszę wyjaśniać, dlaczego ta ocena jest nie tylko bardzo niesprawiedliwa, ale i z gruntu błędna.

Biden był przywódcą, na którego spadł obowiązek wyprowadzenia Ameryki z pandemii i udało mu się tego dokonać o wiele sprawniej niż reszcie wysokorozwiniętego świata. Ameryka jako pierwsza, bo już na początku 2024 r., powróciła do wyników gospodarczych sprzed pandemii, a następnie je pobiła, i to mimo wybuchu wojny w Ukrainie oraz wszystkich jej ekonomicznych reperkusji.

Legislacyjny sukces Bidena też jest imponujący. Pod jego rządami Kongres przegłosował trzy wielkie ustawy obliczone na ożywienie, a jednocześnie ochronę gospodarki Stanów Zjednoczonych.

Ustawa z 2021 r., o inwestycjach w infrastrukturę, ma za zadanie naprawić i zrewitalizować sypiącą się amerykańską infrastrukturę – przedsięwzięcie, które mimo solennych obietnic nie udało się przed Bidenem żadnemu urzędującemu od początku tego wieku prezydentowi.

Rok później przyszedł czas na ustawę o redukcji inflacji, której

częścią są m.in. historyczne inwestycje w zieloną energię, a wraz z nią miliony nowych miejsc pracy.

Trzecia wreszcie, nazwana ustawą o inwestycjach w badania i półprzewodniki, podpisana w sierpniu 2024 r., ma na celu rozpięcie nad amerykańską branżą innowacji technologicznych parasola ochronnego oraz sprowadzenie produkcji z powrotem do kraju. Biden uznał to za sprawę kluczową dla dalszego rozwoju, ale i bezpieczeństwa USA. Zresztą podobne posunięcie obiecywali Amerykanom jego poprzednicy,

lecz żadnemu się nie udało. Chińskim złodziejom kradnącym Ameryce własność intelektualną szczególnie głośno groził Donald Trump, a utarcie im nosa i sprowadzenie do domu fabryk półprzewodników uważał za ważny cel swojej polityki pod hasłem Make America Great Again.

Prócz tego było wiele pomniejszych osiągnięć, choćby ukrócenie procedury ściągania z klientów nieuzasadnionych dodatkowych opłat, plaga zwłaszcza w branży pośrednictwa w zakupie wszelkiego rodzaju biletów i rezerwacji hotelowych, czy obniżenie cen leków ratujących życie, w tym stosowanych przez cukrzyków. Przypomnijmy, że Amerykanie płacą za swoje leki kilkakrotnie więcej niż mieszkańcy reszty świata, niestety na wojnę z koncernami farmaceutycznymi decydują się tylko nieliczni, najodważniejsi politycy. Ta branża ma bowiem jedno z najsilniejszych lobby, a przede wszystkim jest hojnym sponsorem kampanii politycznych.

Kłamstwa i dezinformacja

Choć dramat w Kabulu i wojna w Gazie pomniejszają dorobek Bidena w polityce międzynarodowej, to i tu bilans nie wygląda najgorzej. To przecież Biden zmontował i poprowadził zachodnią koalicję państw



wspierających Ukrainę, uniemożliwiając tym Rosji realizację jej grabieżczych zamiarów. Po dwóch latach wojny Rosja została znacząco osłabiona i nie wiadomo, czy i kiedy dojdzie teraz do uformowania nowego bieguna światowej siły, jakim miała być militarna i ekonomiczna wspólnota Chin i Rosji.

Biorąc wszystko to pod uwagę, ci, którzy uważnie śledzili rządy Bidena, już po pierwszych dwóch latach jego prezydentury zaczęli go przyrównywać do innego wielkiego reformatora Ameryki – Franklina Delano Roosevelta. Wprowadzając program odważnych i głębokich reform społecznych i ekonomicznych nazwanych Nowym Ładem, Roosevelt nie tylko wyciągnął Amerykę z zapaści po wielkiej depresji, ale też pchnął ją na ścieżkę rozwoju, dzięki czemu w dekadach powojennych przekształciła się w największe światowe mocarstwo.

Za szokująco niską oceną wystawianą Bidenowi przez Amerykanów oczywiście w dużej mierze stoi Trump z jego miażdżącą machiną kłamstw, która w ostatniej kampanii prezydenckiej wspierała się na wyżynach dezinformacji. Im dalej od wyborów, tym więcej dociera do nas informacji, że odegrała ona kluczową rolę, przesądzając wręcz o wyniku elekcji. Wprawdzie Biden nie byłby w stanie zmienić cen jedzenia czy środków czystości, które przypominają ludziom o tym, że wzrosły koszty życia, lecz gdyby wyborcy nie słyszeli na każdym kroku kłamstw o tym, że kraj stoi nad ekonomiczną przepaścią, może dopuściliby do siebie myśl, że coś tu nie gra, i przeprosili się z bidenomiką. Wyższe zarobki, rekordowo niskie bezrobocie, a w wielu miejscach również wydatna poprawa warunków pracy, były przecież w dużej części właśnie jej zasługą.

Ale jest i coś innego. Dużą część winy za wizerunkową porażkę Bidena – i stanowi to wielki paradoks! – ponosi to samo wizjonerstwo, za które historia, miejmy nadzieję, spojrzysz na niego o wiele przychylniej niż rodacy na początku 2025 r.

– Biden sterował okrętem gospodarki na poziomie makroekonomii, kierując go ku atrakcyjnemu, ale

odległemu lądowi. Niestety, na poziomie mikroekonomii nikt tego łądu nie był w stanie dostrzec, za to odczuwał niedogodności związane ze zmianą kursu okrętu: wyższe podatki i wzrost inflacji – tłumaczy ten fenomen Mo Elleithee, szef Instytutu Politologii i Administracji Publicznej przy Uniwersytecie Georgetown w Waszyngtonie. – Z kolei po dekadach wojen, które kosztowały Amerykanów niewyobrażalne sumy, a nie zakończyły się sukcesem, panuje przekonanie, że od cudzych konfliktów powinniśmy trzymać się z daleka. Trump zaś po mistrzowsku te nastroje wykorzystał i rozegrał – dodaje Elleithee.

I wreszcie kwestia komunikacji ze społeczeństwem – front, którego Biden nie doszacował, a może po prostu nie rozumiał jako polityk starszej daty, w dodatku przekonany, że po dekadach wiernej służby publicznej ma w narodzie tak wysoki kredyt

włączając w to skalę ich zmanipulowania przez dezinformację.

Sarah Isgur, redaktorka naczelna prawicowego magazynu „The Dispatch” i była konsultantka prawną republikańskiego kandydata na prezydenta z 2012 r., Mitta Romneya, uważa „niekomunikacyjność” Bidena za jedną z jego największych wad: – Trzeba to powiedzieć jasno. Biden żył w świecie własnych wyobrażeń o tym, jak ludzie odbierali jego rządy. Skala tej porażki jest niewyobrażalna. Nie wiem, czy do dziś nie uważa, że powinien być pozostać w wyścigu, bo mógł go jednak wygrać...

Młyny sprawiedliwości

Nie brakuje ekspertów, którzy nie tracą nadziei, że historia potraktuje Bidena sprawiedliwie. Jest wśród nich James Carville, doradca prezydentów, dziś znany komentator polityczny. – Historia Bidena

Pod rządami Bidena Kongres przegłosował trzy wielkie ustawy obliczone na ożywienie i ochronę amerykańskiej gospodarki.

zaufania, że nie musi ze wszystkiego w szczegółach się tłumaczyć. W czasach więc, gdy ludzie czerpią informacje z takich źródeł jak media społecznościowe, przekazy influencerów i podcasty, Biały Dom Bidena o swoich poczynaniach i sukcesach zawiadamiał metodą tradycyjnych komunikatów oraz konferencji prasowych, które potem odbijały się echem co najwyżej w mainstreamowych mediach.

Ze względu na wiek i przyzwyczajenia Biden nie był też osobiście fanem wspomnianych źródeł informacji i skupionych wokół nich społeczności. Przytkany kanał komunikacji wyrządzał zatem podwójne szkody. Z jednej strony, utrudniał docieranie do Amerykanów z wiadomościami o sukcesach Bidena (o jego porażkach prawica, korzystająca z nowych mediów dużo sprawniej, informowała natychmiast), z drugiej – nie zapewniał Bidenowi rozeznania w prawdziwych nastrojach i oczekiwaniach Amerykanów,

to jedna z największych tragedii w amerykańskiej polityce – przyznaje. – To człowiek, który zgromadził na koncie mnóstwo sukcesów, niestety, świat ma tendencję do zapamiętywania tylko naszych ostatnich chwil. W tym momencie pamięta go jako faceta, który przeczekał termin swojej przydatności do pracy. Trudno mi jednak uwierzyć, że polityk jego formatu i wizji nie doczeka się zasłużonego uznania i rozpoznania. Zwłaszcza jeśli druga prezydentura Trumpa też okaże się chaosem, a reformy zainicjowane przez Bidena – kołem ratunkowym, które nie pozwoli nam zatonać.

Sam Biden również pozostaje optymistą. – Cierpliwości, potrzeba czasu, byśmy odczuli efekty tego, co razem zbudowaliśmy. Bo ziarna zostały zasiane i z czasem puszcza pędy, a rośliny, które z nich wyrosną, będą kwitły i owocowały przez dekady – zapewniał w pożegnalnej przemowie trzy dni przed ustąpieniem ze stanowiska.

Eliza Sarnacka-Mahoney

Mario, dokąd ty tak gnałaś?

**Konopnicka urodziła się wiek za wcześnie:
krytykowała Kościół, odeszła od męża,
miała partnerkę i prowadziła gazetę dla kobiet**

MAGDALENA GRZEBĄŁKOWSKA

– pisarka i reporterka

Magdalena Grzebałkowska – dwukrotnie nominowana do Nagrody Literackiej Nike za książki „1945. Wojna i pokój” (2015) oraz „Wojenka. O dzieciach, które dorosły bez ostrzeżenia” (2021). Autorka biografii ks. Jana Twardowskiego. Jej biograficzny reportaż „Beksińscy. Portret podwójny” (2014) został nominowany przez „Gazetę Wyborczą” w plebiscycie „Książka 25-lecia”. Pod koniec zeszłego roku premierę miały „Dezorientacje”.



Rozmawia Jan Tracz

Kiedy słyszy pani nazwisko Konopnicka, co pani sobie myśli? Jakie słowa same się nasuwają?

– Przed rozpoczęciem pracy nad „Dezorientacjami” myślałam, że to totalna nuda. Konopnicka była dla mnie katorgą szkolną i rozprawką z „Naszej szkapki”. Dziś natomiast poetka kojarzy mi się głównie z odwagą. Wyprzedzała swoje czasy o wiek. Nagle okazało się, że Polacy zupełnie jej nie znali. Pomnik, który jej postawiono, trzymał w środku zupełnie kogoś innego, niż myśleliśmy. **Napisano już stosunkowo dużo biografii Konopnickiej. Nawet w 2014 r.**

ukazała się pozycja Iwony Kienzler. Skąd ta potrzeba opowiedzenia jej historii jeszcze raz?

– Nie tyle potrzeba, ile fakt, że do świata mainstreamowego zaczęły się przebijać różne informacje o Konopnickiej. Choćby Lena Magnone napisała doktorat o naszej narodowej wieszczce, do tego zaczęły się pojawiać różne publikacje – nawet w formie artykułów. Wówczas założyłam, że powoli rozwija się świadomość Polaków na temat „herstorii”. Ludzie zaczęli dojrzywać do tego, że kobietom także należy dać miejsce i pozwolić, aby ich historie wreszcie wybrzmiały i ujrzały światło dzienne. O Konopnickiej napisano sporo pozycji i już wtedy ich autorzy

wiedzieli o pisarce więcej, niż zradzali w biografiach, które nie były całościowe.

Czasy jednak się zmieniają i z dzisiejszej perspektywy możemy sobie pozwolić na tzw. pisanie w stylu anglosaskim. To znaczy, że piszemy samą prawdę, polegając rzecz jasna na dobrym smaku i fact-checkingu. No i nie ukrywamy mniej lub bardziej osobistych – a zarazem kontrowersyjnych – tematów. Pewnie można by napisać tego typu książkę w latach 70., ale pytanie, kto chciałby wydać „Dezorientacje” w takiej formie w czasach cenzury i zupełnie innej mentalności. Parę lat temu pomyślałam sobie, że to może pora na odczarowanie Konopnickiej.

Albo przynajmniej odbrażowanie. Zaczęłam mówić różnym ludziom, że to naprawdę interesujący temat: czytelnicy reagowali entuzjastycznie, ale znajomi z kręgów pisarskich – pisarze, redaktorzy – odradzali mi konfrontację z Konopnicką. Mówili: „koszmar”, choć w głębi duszy czułam, że to ma szansę się udać. Tylko w ogóle nie chciałam czegoś takiego pisać.

Dlaczego?

– Jestem reporterką, więc moim pokarmem są rozmowy z ludźmi. Z tymi, którzy pamiętają bohaterów i bohaterki pisanych przeze mnie tytułów. A Marii Konopnickiej nikt nie ma prawa pamiętać; zmarła ponad 114 lat temu. Nie miałam pojęcia, jak do tego się zabrać, ale kiedy szukałam tematu do nowej książki, pomyślałam, że przynajmniej warto spróbować (śmiech). I tak się zaczęło.

Czy w trakcie researchu był jakiś moment przełomowy, wywołujący ciarki? Coś, co pokazało pani, że ta praca ma sens i warto było ją realizować?

– Kiedy filmowcy zaczynają pracę nad nowym projektem, najpierw jadą na dokumentację i sprawdzają, czy w ogóle warto dany temat kontynuować. My, piszący, niestety nie mamy takiego komfortu. Od razu rzuca się w wir pracy i możemy jedynie liczyć na to, że nasza intuicja okazała się wystarczająco słuszną. Na całe szczęście mam w tym zawodzie całkiem spore doświadczenie i zorientowałam się, że będzie to wdziałny temat. Książka z książką, listy za listami, rzecz za rzeczą okazywało się, jak wiele ciekawych materiałów wciąż czekało na „odkrycie”. Znaczący, że nie były do końca odkryte – te rzeczy były powszechnie dostępne, tyle że nikt nie zechciał spojrzeć na nie z tej „uśpóćcześnieonej” perspektywy. Dreszcze miałam, kiedy odnalazłam fragmenty listów dzieci Marii Konopnickiej do matki. Ktoś pomyśli, że to nic wielkiego, ale w tym przypadku to był przełom. Listy nie były znane i powojenni biografowie twierdzili, że nie istnieją. Natura nie znosi próżni, więc jak czegoś nie było, to wymyślono, że Konopnicka prawdopodobnie darła te listy, często bowiem podróżowała

po Europie. Ktoś wpadł na taką koncepcję, a druga osoba ją spisała, nie racząc nawet sprawdzić, czy to w ogóle prawda.

Jaka historia stoi za znalezieniem tych listów?

– Któregoś dnia wybrałam się do Biblioteki Narodowej, aby rozpocząć kolejny proces researchu. Musiałam przejrzyć dosłownie wszystko, co napisano na temat Konopnickiej: od artykułów i biografii po nawet najmniejsze wzmianki w niepowiązanych źródłach, czyli np. w czyichś dziennikach lub pamiętnikach. Ogromnym źródłem informacji były dla mnie gazety z tamtego okresu – było ich multum, każdy zabór bowiem wydawał masę tygodników,

Konopnicka wydała mi się fajna, bo ludzka.



miesięczników czy innych form drukowanych. To wszystko warto też było czytać m.in. w celu poznania rzeczywistości, która otaczała Konopnicką. Następnie przesyłano mi skany wybranych przeze mnie źródeł – za wcale niemałe pieniądze – i po kolei musiałam przebiegać się przez pliki. Korzystałam również z mikrofilmów, ale zazwyczaj ta praca była dla mnie horrorem. Raz oddałam jedną maszynę do mikrofilmów w formie części i sprzężnek. To niebywałe, że ta pięknie odnowiona biblioteka po remoncie nadal polega na tak przestarzałym sprzęcie.

Skorzystałam także z czytelni rękopisów (miejsce z rzeczami, które nie są jeszcze scyfrizowane) i pewnego razu wzięłam teczkę nieznaną mi Zofii Niesiołowskiej-Rotherkowej, badaczki literatury zmarłej przedwcześnie po wojnie. Kiedy ją otworzyłam, okazało się, że były to notatki Zofii do biografii Konopnickiej, której nigdy nie udało się jej napisać. Jeden z rozdziałów nosił tytuł: „Listy od dzieci”. Okazało się, że listy od dzieci Konopnickiej istniały jeszcze przed wojną i Niesiołowskiej-Rotherkowej udało się do nich dotrzeć, ale spisywała je tylko we fragmentach. Jednak na bezrybiu i rak ryba – nie mamy całych listów, aczkolwiek to dowód, że te istniały. Bezcenne zaś

okazały się te niuanse wyczytane w poszczególnych zdaniach. Przy sięgam, poczułam się wtedy jak taki Indiana Jones, który odkrył coś wyjątkowego. (Śmiech)

Do konserwatywnego image'u Konopnickiej wieszczki przyczyniła się choćby jej ukochana córka Zofia. W „Dezorientacjach” czytamy, że to ona spycha Marię Dulębiankę (malarzkę, pisarkę oraz partnerkę poetki – przyp. red.) „do roli opiekunki i damy towarzystwa”. Skąd tak radykalna decyzja rodziny?

– To prawda, zazwyczaj pisano, że były one znajomymi, ewentualnie przyjaciółkami. Dziś możemy jedynie spekulować o źródle takiej narracji. Prawdopodobnie niektórzy chcieli widzieć w Konopnickiej wieszczkę, więc trzeba było jej przykleić katolicką łatkę. A przecież ona była liberałką, nienawidziła księży i papieża, a w wierszach uwzględniała antykatolickie fragmenty. Życie pisze jednak różne scenariusze. Gdy ktoś umiera, zapominamy o wielu rzeczach, które mogą nie pasować do pośmiertnej ekspozycji. Szczególnie w międzywojniu wyczyszczono ją z Dulębianki, choroby córki czy nienawiści wobec Kościoła. W teorii mogło również chodzić o aspekt merkantylny, czyli sprzedaż dzieł Konopnickiej i związane z nimi tantiemy. Zofia mogła postanowić, że o niektórych rzeczach

► nie należy mówić na głos, bo matka zacznie źle się sprzedawać. Wiemy też, że nawet druga córka, Laura, próbowała wybielić sposób, w jaki pisano o jej rodzinie. Warto pamiętać, że teraz możemy co najwyżej głośno się zastanawiać, a i tak nie dowiemy się całej prawdy. W tamtych czasach Polska szła pod rękę z Bogiem i coraz mocniej skręcała w prawą stronę. Wizja Konopnickiej jako kobiety wyzwolonej nie do końca korespondowała z wkładaniem jej w dłoń krzyża. W końcu „Rotę” śpiewano głównie w kościołach, a rozmawiamy o kobiecie, którą jakiś czas wcześniej nazywano wrogiem Kościoła.

Kim dla Konopnickiej była zatem Dulebiana? Jakie uczucie je łączyło i co to była za relacja?

– Moim zdaniem to była miłość. I chyba po latach udało nam się z tym faktem pogodzić. Nie ma już żadnej awantury o to, że Konopnicka przez życie szła z drugą kobietą. Razem podróżowały, pisały do siebie listy (spalone przez rodzinę po śmierci Konopnickiej, aby nie było



(na dobrą sprawę Konopnicka się jej wyrzekła, chociaż Helena też nieźle jej dała w kość), a inaczej z zięciem, którego darzono miłością aż do śmierci. Wydaje mi się, że nie powinniśmy oceniać Konopnickiej z dzisiejszej perspektywy, bo nie da się jej obronić. Kiedy Helena jej potrzebowała, matka urwała z nią jakiegokolwiek kontakt.

Maria wstydziła się Heleny czy po prostu czuła się bezradna? Pisała nawet, że byłoby „lepiej, by ją śmierć zabrała”.

– Zachowanie Heleny – fakt, okropne, potrafiła np. przyjść do mieszkania z bronią – przerodziła Konopnicką. Całkowicie opuściła córkę, a dziś to przecież rzecz niewyobrażalna. Aczkolwiek wciąż powtarzam: nie można patrzeć z perspektywy ahistorycznej, więc pisząc „Dezorientacje”, starałam się zrozumieć, jak to było być osobą chorą w XIX w. i czy w ogóle istniały jakieś środki, aby jej pomóc. Jak się okazuje, Konopnicka nie wypada źle na tle innych przypadków. Możemy wręcz powiedzieć, że jej zachowanie było normalne. Na przykład w Londynie kobiety zmagające się z histerią... poddawano obrzezaniu. W niektórych podręcznikach zaś pisano, że należy oddzielić bliskiego od rodziny – wtedy ta osoba albo się wyleczy, albo umrze. Co więc zrobiła Konopnicka, która była pozytywistką? Posłuchała tego, co pisali w książkach. I tym sposobem zakończyła relację z córką.

A może niektóre (i zarazem skrajne) zachowania Heleny wynikały z faktu, że do końca życia szukała miłości u matki?

– To także całkiem realny scenariusz. Ale nie mogę tego powiedzieć z całą pewnością. Chwilami wydawało mi się, że Helena popadała w obłąd właśnie przez niezrozumiałe decyzje Konopnickiej. Tego, że matka życzy własnej córce śmierci, nie potrafię tłumaczyć nawet wiekiem XIX. To wstrząsający cytat, ale może wtedy tak się mówiło? Może pisała to z litości nad dzieckiem? Współczuła jej? Konopnicka była wymagająca wobec swoich dzieci, ale ogromnie

Okazało się, że Polacy zupełnie jej nie znali. Pomnik, który jej postawiono, trzymał w środku zupełnie kogoś innego, niż myśleliśmy.

skandalu), utrzymywały kontakt i były ze sobą naprawdę blisko. Dlatego zdecydowałam, by w książce nie rozprawać nad ich relacją i nie rozkładać na czynniki pierwsze faktu, czy były lesbijkami, czy może przyjaciółkami. Kogo to obchodzi, że ze sobą sypiały? Czy zastanawiamy się nad tym, czy Sienkiewicz chodził do łóżka z każdą ze swoich żon? Może warto skupić się na tym, że przetrwały w jednej relacji ponad 20 lat, co z perspektywy dzisiejszych czasów nie jest takie oczywiste. Chciałabym żyć w kraju, w którym nikogo nie interesuje, czy dwie osoby tej samej płci sypiają ze sobą, czy nie.

Sama historia rodziny Konopnickiej nie była usłana różami. Jej córka Helena od początku była niestabilna, a zięcia Marii choroba psychiczna dopadła z nienacką. Zachowanie męża, którego Konopnicka zosta-

wiła, również miało w sobie jakieś odstępstwo od normy. Biorę to w cudzysłów, ale czytając o losach tych ludzi, miałam wrażenie, że towarzyszyło im jakieś fatum. Myślała pani o tym?

– Losy tej rodziny są w teorii zwyczajne, bo wśród tak wielu krewnych i bliskich każdemu coś może się przytrafić. W dzisiejszych czasach na schizofrenię znajdziemy sporo lekarstw, antydepresantów albo programów w szpitalach psychiatrycznych. Wówczas tego typu zachowania (jak w przypadku wspomnianej Heleny) wiązały się ze stygmatyzacją społeczną. No i tamte szpitale oraz sposoby leczenia często były bardzo, ale to bardzo niehumanitarne. Niby zalecano jakieś terapie, jednak to w ogóle nie pomagało. W tej rodzinie zupełnie inaczej postąpiono z córką

je kochała. Trudno powiedzieć, skąd ta nagła zmiana.

Z jednej strony, Konopnicka jawi się jako taka „modern woman”, z drugiej – poznajemy ją jako antysemitkę albo przynajmniej osobę stosunkowo negatywnie nastawioną do Żydów. Kiedy spędza czas w Jaworzu, w jednym z jej listów czytamy: „Ślicznie położone, ale Żydy aż się roją”.

– Nie mogłam przeboleć tego cytatu, kiedy przeczytałam go po raz

Pierwsza – odniosłem wrażenie, że świat dziennikarski wcale nie różnił się od tego, co mamy aktualnie. Dziś koryfeusze z YouTube’a wynajdują coraz to nowe cele. Z „Dezorientacji” dowiadujemy się, że Konopnicką również otaczali dyletanci i populiści. Często drwili z niej tylko dlatego, że była kobietą lub prezentowała inne zdanie, wychodząc przed szereg.

– Zgadza się, wciąż jest tak samo. Jako Polacy mentalnie nie

Była liberałką, nienawidziła księży i papieża, a w wierszach uwzględniała antyklerykalne fragmenty.

pierwszy. Niemniej wciąż uważam, że urodziła się 100 lat za wcześnie: krytykowała Kościół, odeszła od męża, miała partnerkę, prowadziła gazetę dla kobiet, w której w pierwszym numerze pisano o studiujących dziewczynach. Nam takie rzeczy wydają się trywialne, ale wtedy ich siła rezonowania była zupełnie inna. Zarazem musimy pamiętać, że Konopnicka wciąż była dzieckiem XIX w. i pewne naleciałości po prostu zostały. Nie zamierzałam ukrywać jej antysemityzmu – dla mnie to rzecz ohydna i z tego powodu nie wiedziałam, jak ją ugryźć. Skonsultowałam się z historykami i powiedziano mi, że muszę na to spojrzeć z perspektywy rozczarowania pozytywistów mniejszością żydowską. Pozytywiści chcieli przyjąć Żydów na tony polskie, ale pod warunkiem, że wyrzekną się oni swoich tradycji i wierzeń. Żydzi woleli bratać się z innymi państwami, w których mogli liczyć na godniejsze życie. Praktycznie nikt się nie zdecydował na taki rodzaj asymilacji, co pozytywiści odebrali jako afront. Dla nich to była klęska i w ten sposób zaczęli się radykalizować. Być może Konopnicka myślała w taki sposób. Prus i Sienkiewicz także mieli w sobie załamki antysemityzmu. To siedziało w nich już od małego.

„Dezorientacje” to pozycja nie tylko o Konopnickiej, ale i o jej czasach. Trzy rzeczy z przełomu XIX i XX w. wydały mi się emblematyczne.

– Jakież?

zmieniliśmy się od XIX w., choćby w kontekście hejtu, aczkolwiek wtedy tego słowa nie używano. Tylko zamiast Facebooka mieliśmy prasę – nie było mowy o zasięgach i klikalności. Na tamten moment liczyła się sprzedaż gazet. Dziś mamy inne dekoracje, ale zachowanie tych ludzi to przeniesienie 1:1 tego, czego można było doświadczyć prawie 200 lat temu. Nie potrafiał powiedzieć, skąd w nas tyle zawiści wobec drugiej osoby. Kiedy na wschodzie mamy wojnę, a Ukraina z dnia na dzień słabnie, w sieci skupiamy się na takich naprawdę błahych rzeczach. Jako naród od wieków stoimy w miejscu i nic z tego nie wynika.

Dziś byłaby pewnie lewaczką i działaczką feministyczną, która organizuje marsze. Nie zostałaby polityczką, choćby ją proszono.

Druga sprawa: problemy finansowe pisarki. Nawet jeśli miała silną pozycję, i tak nieraz żyła w biedzie. Płacono mało lub z opóźnieniem, koszty życia szły w górę, a stawki nie. Konopnicka była symbolem jeszcze długo przed śmiercią, ale nie zawsze przekładało się to na godne życie. Zaczęła żyć na dobrym poziomie, dopiero gdy otrzymała stypendium od samego Henryka Sienkiewicza. Dziś mówi się, że dziennikarstwo i pisanie są w kryzysie, a tu można odnieść wrażenie, że w tym impasie są prawie od 200 lat!

– W 2025 r. stypendia wciąż ratują wielu pisarzy, autorzy tekstów nadal zaś walczą o każdą publikację. Konopnicka przeżywała to samo, a dla mnie to był szok, że osoba za życia uznawana za wieszczkę przez wiele lat egzystowała w okropnej nędzy. Co do stypendium – miała je tylko przez dwa lata, więc to nie było żadną gwarancją spokoju. Do tego pojawiały się problemy z wydawcami i redaktorami: zmieniano teksty czy oszukiwano na stawki i zaliczki. Większość współczesnych dziennikarzy (i osób piszących) nadal zmaga się z tego typu trudnościami.

Trzecia rzecz: interesujący wydał mi się listowny sposób komunikacji i model kontynuowania znajomości w XIX w. Konopnicka „przyjaźniła się” z Elżą Orzeszkową, choć spotykały się naprawdę rzadko i głównie ze sobą korespondowały. Z dzisiejszej perspektywy trudno to nazwać głęboką relacją. Ten model kontaktu jest jak ówczesna wersja Messengera. Chyba że wiadomości na Messengerze to tak naprawdę internetowe listy. Tyle się mówi teraz o braku bliskości wśród ludzi. Ale czy wtedy było inaczej?

– To jeszcze jeden przykład, że era Konopnickiej nie różniła się aż tak bardzo od naszej. Dla mnie one miały taką znajomość internetową. (śmiech) Dziś ludzie mają predylekcję

do nostalgicznego wspomniania dawnych czasów, chociaż te nie zawsze na to zasługują.

W ostatnim rozdziale „Dezorientacji” próbowała pani, odnosząc wrażenie, uratować Konopnicką od nieuchronnej śmierci, która wisiała w powietrzu od lat. W pierwszym akapicie cytuje pani notatki Dulębianki: „Pobiegłam do asystenta. Zastrzyknął eter. Serce jeszcze dygotało... i po wszystkim (wpół do 5 rano)”. Niby suche fakty, a jednak poruszają, prawda?

– Bardzo.

► **Później chronologia zaczyna się cofać, ukazując zdarzenia poprzedzające jej śmierć w sanatorium Kisielki. „Pierwszą noc we lwowskim hotelu George Maria przesypia w małym, niewygodnym fotelu. Nie jest w stanie wspiąć się na wysokie łóżko, nawet z pomocą Dulębianki. Wracają duszności”, pisze pani, zamykając biografię. W ostatnim zdaniu książki Konopnicka wciąż żyje. Jeszcze nie umarła.**

– Dokładnie taki był mój zamiar i cieszę się, że udało się panu to odczytać. Ten zabieg powstał głównie dlatego, że sama Dulębianka pisała swój notes wstecz. Jeżeli moja książka jest po to, aby przywrócić Konopnicką do żywych, uśmiercenie jej na końcu byłoby niefortunnym, wręcz niepotrzebnym pożegnaniem. A ja nie chciałam, żeby czytelnik – tak jak widz w filmie – spoglądał na pojawiający się napis „The End”.

Na ile Magdalena Grzebałkowska czuła, że zbliżyła się do zrozumienia Konopnickiej?

– Znalazłam się dosyć blisko, ale nie do końca. Jeśli nie mamy szansy

poznać kogoś osobiście, to taka postać nadal będzie dla nas tajemnicą. Na tyle, na ile byłam w stanie, stanęłam tuż obok niej. I czuję, że mogłam ją zrozumieć w bardzo wielu rzeczach. Tyle że wciąż zostało sporo aspektów, których już nigdy nie odkryjemy. Powiem tak: Konopnicka wydała mi się fajna, bo ludzka.

Osoba za życia uznawana za wieszczkę przez wiele lat egzystowała w okropnej nędzy.

Wiele materiałów źródłowych przepadło, więc w biografii nieraz „wyobraża sobie” pani, co Konopnicka mogła napisać lub myśleć. Jak zareagowałyby na współczesny świat?

– Nadal byłaby pozytywistką i raczej mówiłaby to, co współcześni intelektualiści. Byłaby lewaczką i działaczką feministyczną, która organizuje marsze i przez megafon wykrzykuje ważne dla niej hasła. Jestem też pewna, że nie zostałaby polityczką, choćby ją proszono. Gdyby

Konopnicka obudziła się w styczniu 2025 r., powiedziałaaby: „Boże, jak nic się nie zmieniło. Kościół do dziś rozdaje karty (a przynajmniej tak mu się wydaje), kobiety wciąż nie mają prawa do aborcji, a ludzie do teraz żyją w rozbiciu materialnym”. Do tego myślę, że spodobałaby się jej poezja Szymborskiej.

A co powiedziałaaby pani Konopnickiej, gdyby miała szansę ją dzisiaj spotkać?

– Zapytałabym ją: Mario, dokąd ty tak gnałaś? Przed czym tak uciekałaś? Proste wytłumaczenie jest takie, że po Europie uciekała przed Heleną, a od męża uciekła (zostawiła go), ale po latach już się go nie bała. Jednak później nie musiała tego robić. Mario, czasami zastanawiam się, jaki wewnętrzny ogień cię trawił, że całe życie byłaś w biegu.

Jan Tracz

NAGRODA BEYLIN PO RAZ TRZECI



Laureatka nagrody Ewa Kielak-Ciemniewska i Tomasz Miłkowski.



zbiegła się z noworocznym spotkaniem członków oddziału, gromadząc także grono współpracowników warszawskiego pisma.

Trudno o lepszy wybór laureatki, komentowano, przypominając, że nagroda została ustanowiona z myślą

o wyróżnianiu dziennikarzy szczególnie związanych z Warszawą. Gratulacje Ewie Kielak-Ciemniewskiej złożyli m.in. prezes Izby Wydawców Marek Frąckowiak, prezes ZG SDRP Jerzy Domański, Ryszard Bańkowicz w imieniu ZAiKS, przedstawiciele marszałka Mazowsza i prezydenta m.st. Warszawy oraz były prezydent stolicy Marcin Świąćicki.

Jerzy Domański, składając najlepsze życzenia w nowym roku, przypomniał, że czekają nas wybory nie tylko prezydenckie, ale także w stowarzyszeniu. Było sympatycznie i nie bez emocji – wygłaszający laudację na cześć laureatki Tomasz Miłkowski zapomniał o bukietach pąsowych róż, o które na szczęście wyróżniona upomniała się już podczas nieoficjalnej części spotkania.

(red)

Już trzeci raz z rzędu Oddział Warszawski Stowarzyszenia Dziennikarzy Rzeczypospolitej Polskiej przyznał Nagrodę im. Karoliny Beylin. Wyróżnienie powędrowało tym razem do Ewy Kielak-Ciemniewskiej, wydawczyni i redaktorki naczelnej miesięcznika „Stolica”, który przywróciła do życia niemal 20 lat temu i od tej pory niestrudzenie prowadzi. Uroczystość nie przypadkiem

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Zaprzysiężenie za nami, Donald Trump ku utraپieniu świata został ponownie prezydentem USA. W tempie huraganu Katrina podpisuje kolejne dekrety, akty i rozporządzenia, wycinając w pień decyzje poprzedniej ekipy. Pióro tnie jak samurajski miecz: porozumienie paryskie (klimat), przyznawanie obywatelstwa dzieciom, które urodziły się w USA, ale ich rodzice nie mają prawa pobytu, wycofanie się z członkostwa w Światowej Organizacji Zdrowia (i jej współfinansowania). Trump cofnął też poświadczenia bezpieczeństwa wysokim rangą urzędnikom z listy swoich – jak ich postrzega – wrogów. Obejmuje ona byłego dyrektora wywiadu narodowego Jamesa Clappera, byłego dyrektora CIA i sekretarza obrony Leona Panettę, a także własnego byłego doradcę ds. bezpieczeństwa narodowego Johna Boltona.

Równocześnie ogłosił stan wyjątkowy w energetyce i na granicy z Meksykiem, zlikwidował CBP One – aplikację

kapitalistycznych chciwców. Głodnych władzy, ale głównie po to, by zwielokrotnić własne majątki, usuwając w tym celu przeszkody, neutralizując konkurencję polityczną, gospodarczą i kulturową, np. Chin. Czyli jedno niestety nie wyklucza drugiego.

W przededniu drugiej inauguracji Donald Trump uruchomił własną walutę wirtualną, idealnie nazwaną \$Trump – jej akcje rzecz jasna już podskoczyły. Gdzie indziej podpompuje się publicznymi pieniędzmi rakiety Muska na Marsa. Tu rodzi się nadzieja, że pewnego dnia Musk zabierze Trumpa na pokład takiej rakiety, a potem będzie jak z podwodną wyprawą łodzi „Titan”, która zatonała z kilkoma miliardermi na pokładzie w pobliżu wraku „Titanica”. To oczywiście nie rozwiąże problemów, bo Trump nie jest żadnym wypadkiem przy pracy, jest emanacją amerykańskiej politycznej buty, wszechwładzy i bezkarności od dekad. Nie wiemy do końca, ile mechanizmów państwa i porządku

Trump, czyli państwo prywatnym biznesikiem

graniczną z czasów Bidena, która umożliwiła legalny wjazd prawie milionowi migrantów. Pierwszego dnia ułaskawił uczestników zamieszek, którzy 6 stycznia 2021 r. szturmowali Kapitol, podpisał dekret nakazujący znacznie bardziej agresywne stosowanie kary śmierci, kartele narkotykowe ogłosił organizacjami terrorystycznymi, nie wykluczając w związku z tym interwencji zbrojnej na terenie Meksyku, zapowiedział zmianę nazwy Zatoki Meksykańskiej na Amerykańską, choć tak to się nie odbywa.

Z imperatorskim impetem obwieścił tym samym rozpoczęcie „złotego wieku Ameryki”. Poprzedni złoty wiek zapoczątkowało zakończenie II wojny światowej, kiedy USA rozkręciły maszynę przemysłu zbrojeniowego na gigantyczną skalę. Co prawda, dostarczały podczas wojny sprzęt i broń aliantom, lecz choć Amerykanie walczyli i ginęli także na froncie zachodnim, to daninę krwi składali głównie żołnierze Armii Czerwonej i jej sojusznicy (Polacy z armii Berlinga). Tym razem nie mamy zakończenia wojny światowej, raczej wyglądamy jej za oknem, bo agresja polityczna samych Stanów (nawet bez Trumpa, a co dopiero z nim) jest przepotężną, niebezpieczną energią. USA są dzisiaj raczej schodzącym ze sceny, czy też zdezonizowanym, hegemonem. Hegemoni mają jednak to do siebie, że – po pierwsze – nie przyjmują tego do wiadomości, po drugie – nie potrafią się z tym pogodzić, a po trzecie – nie ma takiej ceny, której by nie zapłacili za utrzymanie swojej pozycji.

W czym upatruję nadziei? W tym, że w przypadku zarówno Trumpa, jak i jego miliarderów przydupasów, od Muska i Zuckerberga poczynając, zwycięży ich natura

światowego uda się tej ekipie rozmontować, gdyż na szczęście żaden jej przedstawiciel nie zna się na instytucjach i regułach publicznego funkcjonowania. Niebagatelnym problemem pozostaje to, że przemysł militarny i sam impuls wojenny jest wpisany w metodologię uprawiania polityki przez USA. Tutaj rzadko kiedy Stany Zjednoczone same się zatrzymywały, a jeśli ktoś będzie chciał je zastopować (kto?), niczego dobrego to nie wróży.

Na zaprzysiężeniu Trumpa widzieliśmy na własne oczy prawdziwy rząd światowy, któremu władza wymyka się z rąk, jeśli miliarderom w ogóle jeszcze coś może się wymknąć. Ten narcystyczny kolektyw wróży planecie i nam wszystkim jak najgorzej. Nastaje czas srogi, awanturniczy, pachnie pożogą.

A cóż z Europą? Jest nas wszak tylko 500 mln i płacimy za mało na NATO. Czy po połknięciu Kanału Panamskiego i chrapce na Grenlandię będzie musiało dojść do zimnej wojny między USA i Europą? Może to nie jest najgorszy scenariusz, w który wpędza nas banda miliarderów?

Ale czy stanie się to z premierem Tuskiem, który z wprawą godną lepszej sprawy i frazy gardłował w Parlamencie Europejskim: „Podnieście wysoko głowy, Europa była, jest i będzie wielką”, nawiązując do hasła Viktora Orbána „Uczynimy Europę znowu wielką”? Hasła Trumpa i Orbána mają ponieść Europę na tę nieuchronną konfrontację? A to zdanie Tuska: „W polityce ktoś bezsilny jest żalosny, jest godny pogardy” – z jakiej tradycji darwinizmu politycznego się wzięło? To już nie jest przykre, to zaczyna być przerażające. ■

NA EKRANACH



„Better Man:
Niesamowity
Robbie Williams”,
reż. Michael
Gracey, prod. USA,
już w kinach

Małpie sztuczki

No więc nie przestyszeliście się państwo – w tej biografii Robbiego Williamsa gra... małpa. Dosłownie, nie ma w tym żadnej metafory. Pomysł tyleż nowatorski i oryginalny, co nie do końca trafiony. Z jednej strony, Michael Gracey zabiera odważny głos w dyskusji na temat rasy. Reżyser twierdzi, że nie liczy się, kto gra bohatera, tylko

on sam. No i niby ma rację, bo po jakimś czasie faktycznie zapomina się, że oglądamy to śpiewającą, to cierpiącą, to wciągającą koks (tak, to biografia bez cenzury!) małpę. Z drugiej strony, za każdym razem, kiedy człowiek sobie o tym przypomni, czar przedsięwzięcia pryska. Rodzi się dystans, który utrudnia sympatyzowanie z bohaterem. Jednego „Better Manowi” odmówić jednak nie można: jest kapitalnie nakręcony. To, co

wyprowadza tu kamera, która chociażby wypada przez okno i zatrzymując się tuż nad asfalem, zaczyna kręcić tańczących przechodniów, przyprawia o zawrót głowy. Takich oszałamiających momentów nie brakuje, bo twórcy postarali się, by niemal każdy kawałek „Williamsa” ilustrowały spektakularne choreografie. Dla nich warto zobaczyć ten film.

Artur Zaborski

KURTyna W GÓRĘ

Wszystko, wszędzie, naraz

Luk Perceval wystawia na scenie Starego Teatru „Seks, hajs i głód”, czyli kronikę dziejów Rougon-Macquartów. Dość swobodny kolaż postaci i wątków zaczerpnięty z powieściowego cyklu Emila Zoli, choć chwilami intrygujący, ostatecznie nie spełnia pokładanych w nim nadziei. Głównie za sprawą zbytniej kondensacji wątków, prowadzącej do dramaturgicznego chaosu. Choć nie brakuje w tym myślowym i stylistycznym bałaganie brawurowych kreacji aktorskich.

Podzielony na trzy części spektakl jest próbą uchwycenia całości doświadczenia ludzkiego. W każdej toczą się równoległe wątki bohaterów z różnych szczebli drabiny społecznej, doświadczających tych samych sił i popędów. W pierwszej części Perceval, zestawiając losy biednej praczki Gerwazy – bohaterki „W matni” (w tej roli znakomita Ewa Kaim) – z historią



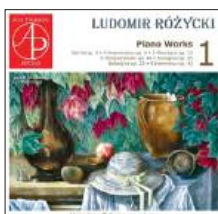
uczucia łączącego Doktora Pascala (Krzysztof Zawadzki) i Klotyldę, ukazuje niszczycielskie skutki miłości i seksualności poddanych rygorom konwencji społecznych. W drugiej, zdecydowanie najlepszej części, życie paryskiej gwiazdy Nany, córki Gerwazy, spleta się z życiem Saccarda, wirtuoza spekulacji – pieniądza, ta siła napędowa kapitalistycznej rzeczywistości, pozornie pozwala obojgu wymyślić siebie na nowo. I właśnie w opowieści o rozpaczliwie pragnącej wyrwać się z nizin społecznych Nanie – sugestywnie odegranej przez duet Nowosadko-Kaim – ostatecznie powtarzającej drogę swojej matki, udaje się Percevalowi ukazać ponurą prawdę o społecznie determinowanej dziedziczności losów (przed wszystkim kobiecych).

Trzecia część przedstawienia, inspirowana „Bestią ludzką” i „Germinelem”, choć traktuje o buncie, gniewie i zbrodni, jest w gruncie rzeczy letnia.

Michał Centkowski

„Seks, hajs i głód, kronika rodzinna według Emila Zoli”,
scenariusz Luk Perceval, tłumaczenie Sławka Lisiecka,
Teatr Stary w Krakowie, premiera 18 stycznia 2025

ZASŁUCHAJ SIĘ



Valentina Seferinova
Ludomir Różycki. Piano Works
Acte Préalable

Ludomir Różycki zapisał się w historii polskiej muzyki jako autor opery „Casanova” oraz baletu „Pan Twardowski”.

Kompozycje te skrzępią się pięknymi melodiami i tanecznymi rytmami. Fortepianowe opracowania popularnych hitów wzięła na warsztat znakomita bułgarska pianistka Valentina Seferinova. Można powiedzieć, że głównymi melodiami są na tej płycie walce, co da się wykorzystać na niejednej romantycznej prywatce.

Bronisław Turmowicz

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Trump show

Kibice piłkarscy, ci radykalni, czyli kibole, to od wielu lat ulubieńcy PiS. Mają swoje pielgrzymki na Jasną Górę – rycerze jasnogórscy z kastetem na pięści i k... na ustach. W finale takiej pielgrzymki w jednej z przykościelnych sal odbyło się spotkanie z Karolem Nawrockim. Zgromadzeni, ustrojeni w klubowe szaliki, poczęli skandować ochrypłymi głosami: „Raz sierpem, raz młotem czerwoną hołotę”. Bardzo to się spodobało obywatelskiemu kandydatowi na prezydenta. Mówił: „Bardzo cenię kibicowski i stadionowy zmysł do tego, aby podejmować wiele tematów w sposób bardzo autonomiczny”. Rzeczywiście, kibole mają niezwykły zmysł do podejmowania wielu społecznych tematów w sposób autonomiczny. Wystarczy posłuchać, co autonomicznie wykrzykują na stadionach, zobaczyć, co wypisują na transparentach i z jaką nienawiścią rzucają się sobie do gardeł.

Przed laty lubiłem cytować fragmenty z autobiograficznej książki „Jak ryba w wodzie” peruwiańskiego pisarza, polityka i noblisty Maria Vargasa Llosy. Dawno temu spotkałem go w Polsce, opowiadał mi o tej publikacji. Był wtedy pokaleczony po przegranej w walce o prezydenturę z Albertem Fujimorim. Mówił o nim okropne rzeczy, co przyjmowałem z pewną rezerwą – naiwnie nie mieściło mi się w głowie, że Japończyk, który jakimś cudem zostaje prezydentem Peru, może być łajdakiem. Jest w książce kilka znakomych i głęboko przeżytych, osobistych diagnoz. Są dzisiaj w Polsce aktualne, więc w skrócie zacytuję: „Dokonałem deprimującego odkrycia. (...) Rzeczywista polityka polega prawie wyłącznie na manewrach, intrygach, konspirowaniu, na układach, paranojach, zdradach, wyrachowaniu, niemałym cynizmie i wszelkiego rodzaju żonglerce. (...) Wielu polityków rozpoczyna swą działalność z pobudek altruistycznych – chcąc zmienić społeczeństwo, osiągnąć sprawiedliwość, pobudzić rozwój, wprowadzić zasady moralności do życia publicznego. W pospolitej i trywialnej praktyce, jaką jest codzienne uprawianie polityki, piękne cele znikają, zamieniają się w zwyczajne frazesy”.

Przykrych kompromisów doświadcza teraz Donald Tusk i jego ekipa. To dramat polityka, kiedy nawet wbrew sumieniu musi tak grać, by wygrać. Nawet kosztem przyzwoitości i prawdy. Porażka pograży przecież zasady wierności i uczciwości. Oto kilka z wielu przykładów: atakowano PiS za mur graniczny, a teraz się go podwyższa i zbroi, intruzów traktując surowo; edukacja zdrowotna w szkołach – tylko dobrowolna. Nieustępliwa ministra edukacji Barbara Nowacka ustępuje w tej kwestii,

bo... polityka. Podobno grozi nam seksualizacja dzieci. Jak rozumiem, seksualizację dzieci może prowadzić tylko Kościół. W ciemnych zakamarkach plebanii i na kościelnych wycieczkach. No i w końcu nieszczęsna rzeź wołyńska. To fatalny czas, by w tym grzebać i szantażować Ukrainę. Znajduję na Facebooku świetny wpis Katarzyny Surmiak-Domańskiej: „Jako potomkini ofiar wołyńsko-galicyskiej czystki etnicznej chcę powiedzieć, że nie czekam na żadne ekshumacje. Pomysł, żeby w kraju ogarniętym wojną rozgrzebywać ziemię po to, żeby szukać kości sprzed 80 lat, podczas gdy wciąż trzeba ją rozgrzebywać, żeby nadążyć z chowaniem świeżych, uważam za przerażający. A stawianie takiego ultimatum ludziom przypartym do muru za niegodne”.

Inauguracja prezydentury Trumpa. Kiedy czytał z promptera, to się kupa trzymało. Chociaż straszna to była kupa, wszystko ociekało populizmem, nacjonalizmem i narcyzmem. Po głównej uroczystości spotkanie dla swoich – Trump nie czyta już, tylko monologuje. Bređenje wariata. Były putinowski polityk Borys Bondarew na pytanie, jak Putin może patrzeć na Donalda Trumpa,

Przykrych kompromisów doświadcza teraz Tusk i jego ekipa. To dramat polityka, kiedy nawet wbrew sumieniu musi tak grać, by wygrać.

odpowiada: „Myślę, że podobnie jak starzy bolszewicy patrzyli na Hitlera. Słowo, które przychodzi mi tutaj na myśl, to lodołamacz. Czyli ktoś, kto dokona rewolucji, zburzy porządek świata. Trump może być dla Putina użyteczny jako siewca chaosu, który złamie i tak kruchą jedność Zachodu w sprawie Ukrainy, bezpieczeństwa w Europie i relacji z Rosją”.

To, co pokazuje Trump, jest esencją populizmu. Intrygujące, jak mocno pokrywa się to z pisowską nienawiścią do elit, głębokim deficytem społecznej empatii, brakiem zainteresowania światem, egotyzmem narodowym i fałszywą cnotliwością. Niewiarą w zmiany klimatyczne oraz w skuteczność szczepionek. Trump jako przywódca ludu amerykańskiego, lud jako esencja narodu. I teza, że Ameryka upadła moralnie i ekonomicznie, dopiero rządzą Trumpa pozwolą jej się odrodzić i stać wielką.

Mój przyjaciel z Waszyngtonu, który swego czasu pracował dla Głosu Ameryki, pisze mi, że nie oglądał Trump show. I że wybiera emigrację wewnętrzną. ■



Wojciech Szczęsny podczas próby obrony gola strzelonego przez Kyliana Mbappé w finałowym meczu o Superpuchar Hiszpanii między Realem a Barceloną. 12 stycznia 2025 r.

WARIACKI STYCZEŃ WOJCIECHA SZCZĘSNEGO

Wojciech Kuczek

Wybitni bramkarze bywają niesfor- ni, mają wielki potencjał, ale równie duży jest ich niepoczytał. Wojciech Szczęsny wrócił do gry i w kilka dni zdążył już tak narozrabiać, że nawet najbardziej wyrozumiali fani jego talentu tracą cierpliwość. Całą jesień wyczekiwaliśmy na jego debiut w barwach Barcelony, ale Iñaki Peña ani myślał dawać powód do zmiany obsady bramki. Od kiedy Polak pojawił się na treningach Blaugrany, młody Hiszpan z meczu na mecz zaczął rosnąć, aż urosł do rozmiaru pewniaka w pierwszym składzie, znakomicie czującego się z wysoko ustawioną linią obrony Katalończyków, bezbłędnego także na linii i kolekcjonującego efektowne parady ratunkowe.

Szczęsny już chyba pogodził się z tym, że do czasu wyzdrowienia Marca-André ter Stegena pozostanie tylko mentorem Peñi, wspierającym go

doświadczeniem, ale sezon przesiedzi na ławce w roli luksusowego rezerwowego. Być może szansę dostanie w jakimś meczu mniejszej rangi lub wtedy, gdy i tak wszystko już będzie pozamiatane – podobnie jak to miało miejsce w przypadku Jerzego Dudka kończącego karierę w Realu Madryt.

Tymczasem Hansi Flick musiał przegrać jakiś tajny zakład albo spisał sobie postanowienia noworoczne na sylwestrowym gazie, bo decyzja o wprowadzeniu Szczęsnego do pierwszego składu z początkiem stycznia była ze wszech miar zaskakująca i sportowo nieuzasadniona. Jeśli masz młodego bramkarza, który wytrzymuje presję, jest w formie, a drużyna czuje się z nim bezpiecznie, najgorsze, co możesz zrobić, to podciąć mu skrzydła i odesłać na ławkę.

Powód był błahy, natury dyscyplinarnej (Peña spóźnił się trochę na odprawę przedmeczową) i po prawdzie dość pretekstowy, bo z czasem okazało się, że kara nie kończy się na

jednym meczu. Oto więc Szczęsny zaczął grać i w pierwszych dwóch meczach robił to na tyle szczęśliwie, że można było wierzyć, iż właśnie rozpoczyna kolejny piękny rozdział swojej kariery. Po tym, co wydarzyło się w meczach z Realem i Benficą, można jednak przyjąć, że to nie rozdział, ale dość frywolne postawienie czy wręcz parodystyczny przypis do księgi sukcesów najbardziej utytułowanego bramkarza w historii polskiej piłki.

O wyjeździe na mecz Pucharu Króla z czwartoligowym Barbastro nie ma co wspominać, w bramce mógł stać masażysta, a Barcelona i tak wygrałaby do zera. W meczu z Athletic Bilbao Szczęsny musiał już parę razy interweniować. Wesole jest życie emeryta, wesole też jego styl bronienia. Od kiedy pamiętam, Szczęsny stres zabijał nonszalancją – i tak wydarzyło się w półfinale Supercupu Hiszpanii. Z Bilbao wybronił, co się dało, czego się nie dało, to wpuścił, a i tak zachował czyste konto dzięki

VAR-om, parę razy wyszedł brawurowo poza pole karne, ale biedy sobie nie napytał (raz było blisko, lecz błąd błyskawicznie naprawił). Najbardziej soczysty strzał przeciwników bezczelnie wyłapał, choć dziewięciu na dzieśnięciu bramkarzy raczej sparowałoby to uderzenie. Piłkę nogami rozgrywał wedle zaleceń, po ziemi do obrońców, choć skusił się na co najmniej dwie celne lągi na Robercika. Zagrał na tyle dobrze, że w pełni zasłużył na prezent w postaci występu w pierwszym tegorocznym El Clásico.

Saudyjscy szejkwowie sowicie zapłacili w tym roku za możliwość organizacji superpucharów Włoch i Hiszpanii, tworząc miniturnieje z udziałem czterech ekip – zarówno finałowe Derby Mediolanu, jak i Gran Derbi były widowiskami pasjonującymi, choć ten drugi mecz niemal wyłącznie za sprawą jednej ekipy.

Barcelona zdemolowała Real już w pierwszej połowie, Katalończycy schodzili na przerwę, prowadząc 4:1 i zastanawiali się, czy zdołają wyśrubować rekordowy wynik w historii starć tytanów. Ale po przerwie to właśnie Wojciech Szczęsny podał Realowi pomocną dłoń, a ściślej stopę, którą podciął poza polem karnym wychodzącego na czystą pozycję Mbappé. Bezdyskusyjna czerwona kartka, zaraz potem błyskawiczna strata gola i madrycka drużyna złapała drugi oddech. Na niewiele jej się zdał, Barca więcej strzelić sobie nie dała i sama jeszcze dołożyła gola.

Kilka dni później miało się okazać, że aby z wyniku 2:4 wyciągnąć zwycięstwo 5:4, trzeba być Barceloną... Tymczasem feralna interwencja Szczęsnego została przykryta końcowym sukcesem, wszystko uwieńczył happy end, nasz bramkarz dołożył do swojego CV kolejny puchar i udział w najbardziej prestiżowym ze starć klubowych. Tylko znawcy tematu zauważyli, że niefrasobliwy wybieg Szczęsnego mógł być zwiastunem powrotu starych demonów.

Był bowiem Szczęsny w swojej karierze doktorem Jekylllem, genialnym obrońcą jedenastek, fantastycznym specjalistą od wygrywania pojedynków sam na sam i niesamowitych parad na linii, ale też zdarzało mu się zmieniać w pana Hyde'a, zwłaszcza

gdy sobie urządzał wycieczki poza linię pola karnego.

Pamiętamy inauguracyjny mecz na Euro 2012, kiedy po pierwszej połowie wygrywaliśmy z Grecją, mieliśmy przewagę liczebną i domino waliśmy na boisku, aż do chwili, gdy Szczęsny fatalnie minął się z piłką, źle skomunikował z obrońcami i sprokrował stratę gola. Potem było jeszcze gorzej – skasował napastnika rywali, wyleciał z boiska i zamiast dumać o rozmiarach zwycięstwa, marzyliśmy, by utrzymać punkt. Na mundialu 2018 koszmarny błąd w komunikacji z obroną kosztował nas utratę gola i w efekcie przegraną z Senegalem.

O ile faul na Mbappé można było przypisać rozluźnieniu wynikiem i poczuciu niejakiej bezkarności, o tyle to, co nawyprowiało w miniony wtorek w Lizbonie, przejdzie do historii jako najkoszmarniejsza interwencja bramkarska nie tylko w karierze Polaka, ale bodaj w dziejach występów Barcelony w Champions League.

Decyzja o wprowadzeniu Szczęsnego do pierwszego składu była ze wszech miar zaskakująca i sportowo nieuzasadniona.

Szczęsny kompletnie bez sensu wybiegł poza pole karne, staranował swojego obrońcę i pozwolił napastnikowi rywali trafić do pustej bramki – tylko furze szczęścia zawdzięcza to, że skończyło się na stracie gola, a nie na dwóch poważnych kontuzjach. Kilka minut później znowu okazał się „elektryczny” i niepotrzebnie sprokrował rzut karny. Benfica prowadziła 3:1, a gdyby na miejscu Szczęsnego był niedoświadczony młokos, w przerwie poprosiłby trenera o zmianę.

Druga połowa starcia Benfiki z Barceloną uczyniła ten mecz najbardziej wariackim pojedynkiem XXI w. Najpierw golkipier Portugalczyków postanowił wziąć czynny udział w bramkarskim kabarecie i wybił piłkę prosto na głowę Rafinha, a kiedy wydawało się, że dzięki temu kuriozalnemu trafieniu Barca złapie kontakt, Ronald Araujo wpakował samobója. Tak to jest, jak tracisz zaufanie do swojego bramkarza: Urugwajczyk wolał wybić piłkę, niż stworzyć szansę Szczęsnemu do kolejnej pomyłki.

Zrobiło się 4:2 i na cztery minuty przed upływem regulaminowego czasu nikomu nie przyszłoby do głowy, że Benfica może stracić zwycięstwo, a tym bardziej przegrać. Ale Barca wrzuciła piąty bieg. Najpierw poderwał ją Eric García, potem Lewandowski po raz drugi wykorzystał jedenastkę, a gdy w doliczonym czasie na bramkę Barcy szarżował samotnie Ángel Di María, Szczęsny wreszcie przypomniał sobie, że oprócz popełniania beznadziejnych błędów umie też w sytuacjach beznadziejnych bronić.

W ostatniej akcji meczu znowu zakotłowało się wokół Polaka, ale Katalończycy wyłuskali piłkę i po błyskawicznym kontrataku Rafinha zwieńczył dzieło. Szalone 5:4 i okazało się, że cokolwiek Szczęsny by nawyprowiał, Barca z nim w składzie zawsze wygrywa.

Są świetni bramkarze, którzy mają pecha, i wybitni, którzy jadą na fukcie nawet, gdy się na boisku wygłupiają.

Szczęsny jedzie na rollercoasterze – w jednym meczu przechodzi od najgorszych kiksów po kluczowe interwencje. Na linii wciąż jest świetny, ale jego wyjścia poza pole karne są cokolwiek niepojętne, a brak porozumienia z obrońcami dojmujący. Polak gra jak na przepustce z wariatkowa, jest kompletnie nieobliczalny i nie mam przekonania, czy Flick zechce jeszcze podjąć ryzyko, wystawiając go w poważnych meczach.

Nazwisko zobowiązuje, ale to szczęście kiedyś może się skończyć. Kibice w Ameryce Łacińskiej kochali swoich bramkarskich świrów, gwiazdy lat 90., którym bardziej niż o wynik chodziło o show (José Luis Chilavert był stałym wykonawcą rzutów wolnych, René Higuita bronił „skorpionem”, a Jorge Campos uwielbiał dryblować), ale współczesna europejska piłka jest zbyt okrzesa, aby tolerować taką błazenadę. Choć Szczęsny wznosi się na wyżyny niefrasobliwości, horrory z jego udziałem wciąż mają happy endy. ■

Maciej Ostrowski

W gdańskich stoczniach i fabrykach rozbrzmiewa kilkadziesiąt języków, podobnie jak w turystycznych zaułkach Starego Miasta. Stolica Pomorza ze swoim chłonnym rynkiem pracy skupia jak w soczewce wszystkie problemy polskiej polityki migracyjnej. W warunkach ostrego kryzysu mieszkaniowego i niepewności zatrudnienia liberalne hasła o równości szans i tolerancji szybko mogą zostać zastąpione polowaniem



Cudzoziemiec w Polsce – na końcu łańcucha pokarmowego

Praca imigranta w dynamicznie rozwijającym się kraju jest towarem pierwszej potrzeby. Ale on sam to tylko żywa maszyna lub intruz

na czarownice. Niechęć i uprzedzenia sprzedają się jak gofry na plaży.

Chów klatkowy

W 50-metrowym, trzypokojowym mieszkaniu na gdańskich Siedlcach gnieździ się ośmiu Ukraińców. Wojna za wschodnią granicą jeszcze bardziej zaostrzyła kryzys mieszkaniowy, więc takie warunki to i tak wyjątkowy luksus. Miejsca, w których lokatorzy śpią na zmiany na piętrowych łózkach, ograniczając czas spędzony w wynajętym mieszkaniu do kilku godzin niespokojnego snu, w aglomeracji gdańskiej nie należą do wyjątku. W myśl przepisów Kodeksu karnego z września 2017 r. na jednego osadzonego w polskim więzieniu powinno przypadać 3 m kw. powierzchni mieszkalnej. Więźniów i pracowników łączy więc konieczność ograniczania ekspresji ciała do minimum. Dnie spędzane w dusznych pomieszczeniach są jak krople spadające na czoło podczas chińskiej tortury wodnej.

Zagęszczeniu w wynajętych mieszkaniach i hotelach robotniczych towarzyszy całkowity brak ochrony przed nadużyciami na prywatnym rynku wynajmu. W gdańskim Nowym Porcie młodą Białorusinkę, która uciekła do Polski przed reżimem Łukaszenki, czekało starcie z realiami dzikiego rynku. Jej rzeczy osobiste zostały wyrzucone na ulicę, a kaucję przejęli nieuczciwi właściciele. W wyniku zastraszenia przez osiłek wynajętych przez właścicielkę lokalu dziewczyna dostała ataku padaczki. Cała sytuacja przypomniła jej pobicie przez białoruską milicję. Aktywiści lokatorscy donoszą o wielu tego typu sprawach z całego kraju.

– Do Komitetu Obrony Praw Lokatorów co kilka dni napływają zgłoszenia od przebywających w Polsce Ukraińców, Czechenów, Pakistańczyków czy obywateli Arabii Saudyjskiej. Zgłaszający zazwyczaj nie mogą liczyć na równe traktowanie ich spraw przez policję. Mundurowi z cudzoziemcami obchodzą się zdecydowanie gorzej niż z Polakami – a przy tym

nie zaobserwowałam, by nasi rodacy też mogli liczyć na profesjonalizm i zrozumienie funkcjonariuszy. Policjanci, gdy tylko słyszą obcy akcent, okazują całkowite lekceważenie. Pogarda wyczuwalna jest nawet wówczas, gdy zgłaszający płynnie mówi po polsku – stwierdza Zenobia Żaczek z Komitetu Obrony Praw Lokatorów.

Kontakt cudzoziemca z polskimi służbami porządkowymi jest jeszcze bardziej dramatyczny, jeśli sprawa dotyczy nielegalnego pobytu w pułostanie. Jeżeli w opuszczonym budynku chroni się polska rodzina, policjanci zazwyczaj przemykają oko. Znajdujące się w takiej samej sytuacji np. rodziny czeczeńskie są błyskawicznie wysyłane do ośrodka Straży Granicznej i traktowane jak przestępcy.

Do biura Komitetu Obrony Praw Lokatorów równie często trafiają sprawy Ukrainek i Białorusinek. Właściciele, którzy znaleźli bardziej dochodowych lokatorów, wyrzucają je na bruk z dnia na dzień. Policji nie obchodzi los ofiar brutalnego



Pracownicy szkoły językowej SpeakPolish i hostelu domagają się wypłaty zaległych wynagrodzeń. Szkoła miała placówki w Gdańsku, Krakowie, Warszawie i Katowicach.

mechanizmu rynkowego. Funkcjonariusze z reguły nie chcą przyjmować tego typu doniesień ani nawet rozmawiać z pokrzywdzonymi.

Dziki Wschód i cywilizowany Zachód?

Tymczasem nie ma w Polsce takiego miejsca, w którym nie słychać o ukraińskich dzieciach przyjmowanych do przedszkoli bez kolejki kosztem polskich maluchów czy o dobrze płatnych etatach z pełnym ubezpieczeniem społecznym, czekających na pracowników zza wschodniej granicy.

– Ukraińcy i wiele innych grup pracowników cudzoziemskich są zatrudniani na czarno. „Pracodawcy” nierzadko okradają ich z pensji, a oni w efekcie stają się niewypłacalni, co skutkuje natychmiastowym wyrzuceniem z mieszkania. Nie wiedzą, do kogo się zwrócić – w sytuacji nadużyć pozbawieni są sieci wsparcia. Są także ofiarami propagandy, z którą zetknęli się jeszcze w ojczyźnie. Mówiono im, że Polska jako członek Unii Europejskiej i państwo cywilizowane przestrzega zasad humanitaryzmu i praworządności. Roszczeniowość Ukraińców może zatem brać się z ich wiary w propagandę uprawianą przez państwo polskie – ocenia aktywistka lokatorska.

Prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski zadeklarował chęć niesienia pomocy uchodźcom wojennym. Miały powstawać dla nich mieszkania. – Wszystkie uchwały i publiczne

oświadczenia nie były warte nawet papieru, na którym je spisano. Warszawski dokument umożliwiający uchodźcom i repatriantom pozyskiwanie lokali przewiduje zbudowanie kilku mieszkań rocznie. Tymczasem grupa potrzebujących liczy około miliona – wytyka Zenobia Żaczek.

Efekty takich propagandowych zagrań? Z jednej strony, w deklaracje przedstawicieli władz wierzą uchodźcy, którzy zaczynają się domagać obiecanych im mieszkań, miejsc pracy i usług publicznych. Z drugiej, polscy lokatorzy i pracownicy, pozbawieni pomocy państwa i samorządów, wierzą, że obcokrajowcy taką pomoc otrzymali. Wsparcia zaś nie dostają ani Polacy, ani uchodźcy. W ustawie dotyczącej uchodźców wojennych (to znaczy osób emigrujących do Polski w 2022 r.) postanowieniami Odstawy o ochronie praw lokatorów nie objęto migrantów.

– Tym samym wobec Ukraińców i Białorusinów nie ma obowiązku składania pozwu o eksmisję komorniczą i przyznawania lokalu socjalnego w myśl zapisów polskiego prawa. W praktyce są traktowani jak lokatorzy wynajmujący mieszkania na podstawie umowy o najmie okazjonalnym. A tych można z zajmowanego lokalu w każdej chwili wyrzucić pod most, nawet w środku zimy. Formalna ochrona praw lokatorów jest iluzją. Od czasów pandemii rozpanoszyła się praktyka dzikich eksmisji. Właściciele rzadko kiedy zadają sobie trud złożenia pozwu. Firmy, jak wiodząca się z Pruszcza Gdańskiego

Grupa eXmitter, ograniczają się do wystawiania za drzwi rzeczy należących do niewygodnych lokatorów – relacjonuje aktywistka.

Pandemia połączyła więc Polaków i obcokrajowców – zrównała prawa obu grup do zera.

Biznes w państwie z kartonu

Sprawa oszustwa, którego firma SpeakPolish dopuściła się wobec własnych pracowników oraz setek cudzoziemców ubiegających się o polską wizę, dowodzi, że zglobalizowany rynek pracy wyposażył nieuczciwych przedsiębiorców w narzędzia do popełniania nadużyć, wobec których polskie państwo pozostaje bezsilne.

Karolina Malik, właścicielka sieci szkół językowych SpeakPolish oraz hostelu, przebywała w restauracji Ostro, jednej z najdroższych w centrum Gdańska, gdy do lokalu weszli przedstawiciele pracowników, składając w imieniu dwudziestki zatrudnionych w gdańskim oddziale szkoły językowej i hostelu pozew zbiorowy z żądaniem uregulowania zaległych pensji. Właścicielka firmy stwierdziła, że nie jest nikomu nic dłużna.

– Nasza była pracodawczyni próbowała wybrnąć z sytuacji, nonszalancko wręczając mnie oraz towarzyszącej mi lektorce zaległe wypłaty na miejscu, w gotówce. Wymachiwała nam przed nosem grubą kopertą pełną banknotów. Nie wzięliśmy pieniędzy, ponieważ do restauracji Ostro przyszliśmy w imieniu całego ▶

► zespołu – opowiadał pracownik szkoły językowej.

Niektórzy poszkodowani walczą o wypłatę pensji jeszcze z jesieni zeszłego roku. Łączna suma zaległych wynagrodzeń wynosi obecnie ponad 20 tys. zł. Szkoła miała placówki w Gdańsku, Krakowie, Warszawie i Katowicach.

Nasze prawo wymaga od cudzoziemców ubiegających się o legalną pracę w Polsce zaliczenia kursu języka polskiego. Głównymi klientami szkoły byli obcokrajowcy pragnący uzyskać wizę na podstawie wykupionego kursu. Wpłacający czesne znajdowali się poza granicami naszego państwa, a wiza miała być ich przepustką do legalnej pracy. Właścicielka miała zwracać pieniądze, jeśli cudzoziemcy nie dostaną

Jak potwierdza poszkodowany personel szkoły, przedsiębiorczyni nadal prowadzi rekrutację, aktywnie promując się na Facebooku. Firma przyciąga atrakcyjnymi promocjami, widnieje w rejestrze przedsiębiorców i spełnia wszystkie wymogi prawne oraz statutowe – oprócz wykonywania rzeczywistych usług edukacyjnych. Opłata semestralna wynosi 2650 zł, roczna – 3650 zł. Władze szkoły chwalać się, że godzina nauki kosztuje mniej niż 10 zł.

Mimo wielokrotnego zgłaszania sprawy PIP zdaniem poszkodowanych nie przyczyniła się znacząco do poprawy ich sytuacji. – Niestety, nie możemy złożyć żadnego wniosku w imieniu osób znajdujących się za granicą. Powinny je składać osoby poszkodowane, co jest niemożliwe

bardziej opłacalne niż rozwiązywanie rzeczywistych problemów. W rozmowach z polskimi lokatorami podkreślam, że obcokrajowcy są w takiej samej sytuacji jak Polacy lub gorszej. Czasem w odpowiedzi słyszę dobitne: „No to dobrze, że w końcu się za nich wzięli” – tłumaczy Zenobia Żaczek.

Z kolei według przedstawiciela stowarzyszenia Czerwoni wspierającego byłych pracowników Karoliny Malik wykreowana wokół pracy cudzoziemców narracja jest wyrazem interesu polskich drobnych przedsiębiorców, na których poparciu zależy właśnie skrajnej prawicy. W ten sposób wina za kryzys społeczny spada na tych, którzy są ostatnim ogniwem w łańcuchu.

Jednak obcokrajowcy coraz częściej pojawiają się na dyżurach Komitetu Obrony Praw Lokatorów. – Nie brakuje osób z Białorusi, które chcą pomagać. Znają nas głównie Polacy z naszej i innych dzielnic. Ale za pośrednictwem sieci znajomych i „marketingu szeptanego” bariera etniczna powoli zaczyna zanikać. Informacje docierają do hermetycznego kręgu obcokrajowców – deklaruje działaczka komitetu.

Dotychczasowe przepisy i możliwości egzekwowania prawa są niewystarczające wobec potrzeb zglobalizowanego społeczeństwa, którym się staliśmy. – W przypadku polskich pracowników dochodzenie praw trwa już ponad pół roku. Brakuje odgórnych instrumentów mogących wykluczyć z prowadzenia działalności biznesowej pracodawcę, wobec którego toczy się postępowanie sądowe. PIP nie ma żadnych środków sprawczych, które mogłyby spowodować odzyskanie wypłaty na rzecz pracownika. Jej działania ograniczają się do upominania i karania niewielkimi mandatami za łamanie praw pracowniczych – podsumowują pracownicy SpeakPolish.

Polskie państwo wzięło sobie do serca złotą radę byłego prezydenta Bronisława Komorowskiego, że ludzie powinni „zmienić pracę i wziąć kredyt”, a osoby prywatne i organizacje non profit muszą wykonywać obowiązki niedziałających instytucji państwowych.

Maciej Ostrowski

W obliczu rosnącego bezrobocia i cięć usług publicznych mit uprzywilejowanego obcokrajowca będzie silną kartą w nadchodzących wyborach prezydenckich.

wizy. Jednak jej uzyskanie na podstawie dokumentów wydanych przez placówkę Karoliny Malik było marzeniem ściętej głowy – szkoła SpeakPolish nie miała akredytacji i żadna ambasada RP nie mogła zezwolić na pobyt jej kursanta na terytorium naszego kraju.

„Tak, kradnę, właśnie się pan dowiedział, no i co pan zrobi”, oznajmia z rozbijającą szczerością świadkowi skorumpowany polityk z memu rozpowszechnianego w mediach społecznościowych. Biznesplan przyjęty przez Karolinę Malik to świadoma kombinacja polegająca na wykorzystaniu luk prawnych, niskiej pozycji cudzoziemca i opieszałości PIP. Przy nieustannych cięciach budżetowych i redukcji personelu sprawcy przestępstw przejmują się jej urzędnikami mniej niż wścibską sąsiadką podglądającą zza firanki.

Kwoty uzyskane dzięki „elastycznemu” podejściu do praw pracowniczych i bezkarnemu oszustwu właścicielka SpeakPolish postanowiła zainwestować w nieruchomości w Krakowie. O swoich planach powiadomiła internautów w mediach społecznościowych.

z powodu nieotrzymania przez nie dokumentów wjazdowych. O ile osoby z Ukrainy dzięki pokrewieństwu językowemu mogłyby coś w polskiej prokuraturze zdziałać, o tyle dla pozostałych droga ta jest zamknięta. Nie znamy dalszych losów naszych studentów i nie mamy prawa kontaktować się z nimi – wyjaśniają lektorzy.

Wśród oszukanych są przybysze z bardzo odległych miejsc: Ameryki Łacińskiej, Bliskiego Wschodu, USA czy Afryki. Wszystkich łączy zagubienie w meandrach polskiego systemu prawnego i nieznajomość języka. Opłacenie kompetentnego prawnika to koszt ok. 10 tys. zł. Większość oszukanych studentów nie spotka się z oszustami na sali sądowej, by odzyskać sumę rzędu 3 tys. zł.

„Swój” i „obcy”

W obliczu rosnącego bezrobocia i cięć usług publicznych w nadchodzących wyborach prezydenckich mit uprzywilejowanego obcokrajowca będzie silną kartą. – Ten fałszywy obraz doskonale odpowiada na realne frustracje i resentymenty w sercach elektoratu. Eksploatowanie nienawiści jest



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Baba od przyry

Starzy ludzie pamiętają czasy szkolne nawet wtedy, kiedy wszystko inne wypadło im już z pamięci. Zdarza się, że osoby z demencją lub chorobą Alzheimera zapominają imion własnych dzieci i współmałżonków, ale wciąż pamiętają nazwisko dawnej nauczycielki biologii.

Święte słowa. Wita nimi wakacyjnie ospatą młodzież w nowym roku szkolnym niejaka Inge Lohmark, najbardziej zgorzkniała belferka wszech czasów, bohaterka powieści „Szyja żyrafy” autorstwa Judith Schalansky. Przed dwoma laty Ha!art wydał „Spis paru strat” (również w przekładzie Kamila Idzikowskiego), rewelacyjny tom esejoopowiadań o naszych wymarłych gatunkach, językach i miejscach. Teraz drukuje, jak dotąd jedyną, powieść greifswaldzkiej autorki. Schalansky projektuje i ilustruje książki sama – jej „Atlas wysp odległych” nagrodzono jako najpiękniejszą publikację roku.

Także „Szyja żyrafy” wyróżnia się mnogością rycin i upodabnia do szkolnego podręcznika biologii, który jest jednym z kluczowych rekwizytów w tej historii kilku dni z życia pani od przyrody w upadającym gimnazjum w północno-wschodnich Niemczech. Na każdej stronie oprócz tytułu rozdziału widnieją naukowe określenia zagadnień przyrodniczych, które deterministycznie odnoszą się do bieżącej treści książki. A jest nią agresywny monolog wewnętrzny pani Inge, przyglądającej się swoim dorastającym podopiecznym w najlepszym razie z entomologicznym chłodem, najczęściej jednak z gorącą pogardą, którą musi w sobie dławić, aby nie stracić roboty i nie zostać pozwaną jako przemocowczyni (przypominam, że to mój ulubiony feminatyw).

Wymijmy z szuflad pamięci najbardziej mizantropijne postacie z próz Thomasa Bernharda i Elfriede Jelinek, niemieckojęzycznych „mistrzów jadu”, doprawmy nieco Schopenhauerem i ulepmy z tego czynną nauczycielkę biologii. Z jej strumienia świadomości pijemy na własną odpowiedzialność – poziom toksyn jest bowiem alarmowy. Inge udziela swojemu stadku lekcji nie tyle o przyrodzie, ile o jej bezlitosności, o okrucieństwie natury rzeczy. Buzujące hormony spragnionej miłości młodzieży i modę

na kolczyki w przegrodzie nosowej gasi np. jednym krótkim wykładem o prokreacji rogacizny. Buhaj na kiju przypiętym do kolczyka w nozdrzach jest wiedziony ku innemu samcowi – „prowokatorowi” (osobnikowi uległemu, który daje sobie wskoczyć na puklerz) lub wręcz ku sztucznemu zadowi krowiemu na kótkach. Podniecone mu bykowi wszystko jedno, gdzie wpakuje swoje przyrodzenie, po kilku chwilach ejakuluje do sztucznej pochwy. Bycza sperma jest rozrzedzana i zamrażana, jeden wytrysk wystarcza na setkę sztucznych zapłodnień. Krowy są inseminowane ręcznie, bo wskakujący im na grzbiet byk mógłby je z nadmierem nadwerżyć. W przyrodzie nie ma związków romantycznych.

Jesteście częścią przyrody. Miłość to chwilowe otumienienie pułapkami feromonowymi. Liczą się mechanizmy przetrwania, drapieżnictwo i konkurencja. A słucha tego z pierwszej ławki taki np. „złękniiony syn pastora, którego dzieciństwo przebiegało wśród drewnianych aniołów, płam z wosku i lekcji fletu” – będzie miał oczy jeszcze bardziej podbite od pokątnych modlitw. „Szyja żyrafy” to książka dla miłośników nieczutej narracji, napisana mistrzowską frazą i z psychologiczną wnikliwością. Można ją też czytać w wymiarze historyczno-społecznym – Inge jest belferką starej daty, co oznacza, że wychowała się w państwie policyjnym, reprezentuje kompleksy i resentymenty Ossich – tych, którzy niekoniecznie poczuli się beneficjentami zjednoczenia.

Napisana przed kilkunastu laty powieść Schalansky staje się prerażliwie aktualna także w kontekście obecnych przemian na niemieckiej scenie politycznej i popularności AfD. Nieufność, wrogość, schadenfreude to główne składniki tygla uczuć bohaterki, która – choć zatawardziła ewolucjonistka (jak przystało na pracownicę gimnazjum im. Karola Darwina) – miewa szczególne, mizantropijne wątpliwości co do antropogenezy: a co, jeśli to małpa pochodzi od człowieka?

W pierwszych dniach po zaprzysiężeniu Trumpa, kiedy pół świata wciąż zadaje sobie pytanie, co mają w głowie ludzie, którzy go wybrali, warto zajrzeć w głąb zatrutego umysłu. „Szyja żyrafy” daje tę szansę. ■

**A co, jeśli to małpa
pochodzi od człowieka?**



DOŁĄCZ DO NASZEJ SPOŁECZNOŚCI

Znajdź PRZEGLĄD na Facebooku, Instagramie, X, YouTube i LinkedIn



W stolicy mody palenie niemodne

W Mediolanie nie można już palić na ulicy,
chyba że 10 m od innych osób.

Naruszającym przepisy grożą kary od 40 do 240 euro



Od 1 stycznia 2025 r. we wszystkich miejscach publicznych Mediolanu, nawet na ulicy, obowiązuje zakaz palenia.

Tomasz Skowronek

Od 1 stycznia 2025 r. we wszystkich miejscach publicznych Mediolanu, nawet na ulicy, obowiązuje zakaz palenia. Nowy przepis ma na celu poprawę jakości powietrza i ochronę zdrowia mieszkańców. Pomysł budzi jednak sporo kontrowersji.

„Palaczu, wyjdź! I cofnij się o kolejne 10 m!” – to komunikat informujący, jak muszą się zachowywać palacze w Mediolanie. Z tarasów i barów w mieście, także w dzielnicy Navigli, gdzie kwitnie życie nocne, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zniknęły popielniczki. W ich miejsce pojawiły się tabliczki

antypapierosowe. Mają przypominać, że w stolicy mody palenie już nie jest modne.

Lekcja nowego stylu życia

Od 1975 r. zakaz palenia obowiązuje we włoskich szpitalach i transporcie, a od 2005 r. we wszystkich zamkniętych miejscach publicznych. W stolicy Lombardii od 2021 r. dotyczy on też placów zabaw, parków, obiektów sportowych i przystanków komunikacji miejskiej. Nowością jest to, że obecne rozporządzenie objęło również tarasy, bary, restauracje i wszystkie otwarte przestrzenie publiczne, w tym ulice. W miejscach tych nie można już palić, chyba że

odsuniesz się o 10 m od innych osób. Naruszającym przepisy grożą kary w wysokości od 40 do 240 euro.

„Wprowadzamy nawyk niepalenia w pobliżu ludzi. Nie pali się tam, gdzie można wyrządzić krzywdę innym”, skomentowała zakaz palenia na zewnątrz, który obejmuje np. stołiki ustawione przed barami, zastępczyni burmistrza Mediolanu Anna Scavuzzo. „Ten zakaz jest wskazówką, jaki nawyk należy sobie wyrobić. Uważam, że w ten sposób najlepiej chronimy zdrowie. Palenie jest złe”, zauważyła wiceburmistrzynie.

Mediolan, znany z długotrwałego związku z modą i stylem, jest pierwszym miastem we Włoszech, które wprowadziło tak daleko idące



Od 1975 r. nie wolno palić we włoskich szpitalach ani w transporcie, a od 2005 r. we wszystkich zamkniętych miejscach publicznych.

ograniczenia dotyczące palenia na zewnątrz. Zakaz nie obejmuje jedynie waporyzatorów i papierosów elektronicznych.

Jak podaje włoski dziennik „Il Sole 24 Ore”, po wprowadzeniu nowego przepisu władze miasta nie nałożyły jeszcze na nikogo kary pieniężnej – wolą raczej edukować obywateli na temat nowego stylu życia. Z praktycznego punktu widzenia jednak sprawdzanie, czy nie doszło do jakichkolwiek naruszeń zakazu, było dotychczas niewykonalne, ze względu zarówno na tłumy turystów, jak i na mniejszą liczbę policjantów na ulicach.

Z otoczenia rady miejskiej, na której czele stoi burmistrz Giuseppe Sala, dochodzą głosy, że „łatwiej i szybciej jest zachęcić kogoś do zgaszenia papierosa, niż nałożyć na niego karę”. Poza tym celem zakazu nie jest zarabianie pieniędzy, chodzi o „wypracowanie nowego stylu życia”. Włodarze metropolii, choć oficjalnie tego nie mówią, uważają, że kar lepiej nie nakładać.

Wyzwanie rzucone modzie

Władze rzucają tym samym wyzwanie zastanym normom kulturowym i potencjalnie wyznaczają nowy standard życia w mieście. Palenie od dziesięcioleci jest głęboko powiązane z kulturą mody Mediolanu. Bywa stylowym dodatkiem na wybiegach i w modzie ulicznej.

Zwolennicy nowych zasad twierdzą, że takie zakazy nie tylko chronią

osoby niepalące przed biernym paleniem, ale także przyczyniają się do zmniejszenia ogólnego wskaźnika palenia. Krytycy natomiast wskazują, że przepisy naruszają wolności osobiste i nakładają nieuzasadnione obciążenia na palaczy. „To absurdalne prawo – mówi w wywiadzie udzielonym „Corriere della Sera” Vittorio Feltri, dyrektor konserwatywnego dziennika „Il Giornale”. – Cofamy się

„Palaczu, wyjdź! I cofnij się o kolejne 10 m!” – to komunikat informujący, jak muszą zachowywać się palacze w Mediolanie.

do czasów prohibicji, podobnej do tej w Stanach Zjednoczonych – okresu, który wszyscy zawsze uważali za niedorzeczny”.

Część planu ochrony klimatu

Niezależnie od oceny zakazu faktem jest, że nowa polityka władarzy miasta odzwierciedla globalny trend, który ma na celu priorytetowe traktowanie zdrowia publicznego. Zakaz podkreśla również wagę kwestii środowiskowych w planowaniu i zarządzaniu miastem.

Nowe obostrzenia są częścią miejskiego projektu, dzięki któremu do 2050 r. planowane jest zmniejszenie emisji dwutlenku węgla o połowę. W Mediolanie jakość powietrza to dotkliwy problem – Regionalna Agencja Ochrony Środowiska (ARPA) w Lombardii ustaliła, że palenie papierosów w sporym stopniu nasila panujący

w tym mieście smog – odpowiada za 7% emisji pyłów PM10.

Powietrze nad metropolią jest jednym z najbardziej zanieczyszczonych w Europie. Stolica mody leży w sercu przemysłowej Niziny Padańskiej i zmagają się z wysokimi poziomami emisji generowanymi przez nadmierny ruch drogowy. W 2024 r. szwajcarska firma IQAir sporządzająca światowy ranking miast najbardziej dotkniętych zanieczyszczeniem powietrza umieściła Mediolan na trzecim miejscu podium. Nie bez powodu zatem wprowadzono ów zakaz przed mającymi się odbyć w Mediolanie i Cortinie d'Ampezzo zimowymi igrzyskami w 2026 r.

Inne miasta mogą brać przykład

Niewykluczone, że za przykładem Mediolanu pójdą m.in. Rzym, Neapol, Florencja, Bolonia czy Turyn. W tym ostatnim wprowadzono już podobny przepis, choć nieco łagodniejszy – nie wolno tam palić, o ile inne osoby przebywają w odległości mniejszej niż 5 m. Na razie

jednak w stolicy Piemontu także nikt nie dostał mandatu za jego nieprzestrzeganie. W Alghero na Sardynii wprowadzono zakaz palenia na plażach i w odległości 20 m od brzegów jezior. We Florencji obowiązuje zakaz palenia w miejscach zabaw dla dzieci.

Według danych Narodowego Instytutu Statystycznego (ISTAT) z 2023 r. papierosy pali ok. 19% Włochów, mniej niż średnia w Unii Europejskiej wynosząca 24%. Paczka papierosów kosztuje we Włoszech średnio ok. 6 euro i należy do najtańszych w Europie Zachodniej, gdzie częściej spotyka się ceny rzędu 10 euro. Włoski resort zdrowia podaje, że palenie jest przyczyną 93 tys. zgonów rocznie. Światowa Organizacja Zdrowia ostrzega zaś, że palenie jest przyczyną ok. 85% wszystkich przypadków raka płuc, najgroźniejszego nowotworu na świecie. ■

BUNT KOMÓREK



Wojnę z rakiem należy uznać za część nieustannej walki o dłuższe i zdrowsze życie

Richard J. Jones
i T. Michael McCormick

Czy nowotworowi można zapobiegać? **I tak, i nie...**

Nowotworom, jako szerokiej klasie chorób, nie da się zapobiec. Od czasu do czasu wszyscy prawdopodobnie zastanawiamy się nad tym, co możemy zrobić, by zmniejszyć ryzyko zachorowania na raka. Uspokoję was: chociaż wiele badań laboratoryjnych sugeruje, że stres może powodować zmiany, które wpływają na rozwój nowotworu, nie ma dowodów klinicznych na to, że naprawdę powoduje raka. Nie ma również dowodów na to, że jakakolwiek kombinacja działań lub zaniechań stanowi panaceum zapobiegające wszystkim rodzajom nowotworów. Jeśli będziemy żyć wystarczająco długo, prawdopodobnie wystąpi u nas jakaś forma raka. Niemniej jednak nie ma wątpliwości, że w przypadku wielu z nich, takich jak rak płuca i szyjki macicy, pewne działania znacznie zmniejszą ryzyko zachorowania.

Najpopularniejsze podejścia do zmniejszenia ryzyka zachorowania na raka skupiają się na następujących zachowaniach:

- Nie pal tytoniu.
- Odżywiaj się zdrowo.
- Utrzymuj prawidłową wagę i aktywność fizyczną.
- Usuń azbest i radon z budynków.
- Chron się przed słońcem i promieniowaniem ultrafioletowym (nie korzystaj z solarium).
- Wcześniej wykrywaj stany przedrakowe (wykonuj badania cytologiczne i kolonoskopię).
- Zaszczep się, aby zapobiec infekcjom, które mogą prowadzić do raka (takim jak wirus brodawczaka ludzkiego, czyli HPV, i wirusowe zapalenie wątroby, czyli WZW).

Życie ze zdiagnozowanym nowotworem może być dłuższe, niżby się mogło wydawać

Dowiedziałem się, co naprawdę oznacza diagnoza raka, kiedy u mojej matki wykryto nowotwór płuca. Mimo że była nałogową palaczką od wielu dekad, diagnoza w wieku 80 lat okazała się dla niej wstrząsem. Jej rak

płuca był nieuleczalny, a ona wraz z całą naszą rodziną obawiała się najgorszego. Niemniej jednak przeżyła pięć całkiem normalnych lat od diagnozy, grając dużo w golfa i spędzając wiele radosnych chwil z rodziną i przyjaciółmi aż do samego końca.

Wskaźniki przeżycia różnią się w zależności od rodzaju nowotworu i stadium choroby w momencie diagnozy. W ramach Programu Nadzoru, Epidemiologii i Wyników Końcowych (SEER) Narodowego Instytutu Raka od 1975 r. zebrano i udostępniono mnóstwo danych na temat trendów w zachorowalności na nowotwory w Stanach Zjednoczonych.

Niektórzy ludzie żyją z rakiem jeszcze bardzo długo. Wyniki dla wszystkich rodzajów nowotworów prezentują wskaźniki przeżycia wynoszące ok. 70% po pięciu latach i 50% po 30 latach. Kobiety, u których zdiagnozowano raka piersi, mają wskaźnik przeżycia ok. 90% po pięciu latach i 85% po 10 latach. Liczby te od 40 lat stale się poprawiają. (W Polsce pięcioletnia przeżywalność pacjentek z rakiem piersi wynosi ok. 78%, co jest wynikiem niższym w porównaniu z wieloma

krajami Europy Zachodniej, gdzie wynosi ponad 85%. Dziesięcioletnia przeżywalność wynosi średnio 65-70% – przyp. tłum.).

Mimo że ogólne trendy dotyczące przeżycia z rakiem dają nadzieję na długie życie z tą chorobą, każda osoba doświadcza nowotworu w wyjątkowy sposób. Nie da się udzielić konkretnej odpowiedzi na pytanie: Jak długo będę żyć? Statystyki nie mają charakteru normatywnego, a ogólne prawdopodobieństwa nie pozwalają przewidzieć poszczególnych wyników. Nie można założyć uzyskania orła lub reszki dla pojedynczego rzutu monetą na podstawie 50% prawdopodobieństwa wypadnięcia orła w wielu rzutach. Długość życia, nawet w przypadku jednego rodzaju nowotworu, może się różnić. Niektórzy ludzie umierają w ciągu pierwszego roku, podczas gdy inni z tym samym rakiem nadal żyją po 30 latach.

Fakt, że coraz więcej osób chorych na raka żyje dłużej, zmienia wszystko. Ponieważ rak coraz częściej nie jest już nieuchronnym wyrokiem śmierci i wезwaniem do uporządkowania swojego życia, nasza uwaga skupia się na zrównoważeniu opcji leczenia, minimalizowaniu objawów oraz zachowaniu zdrowia i aktywności.

Postęp w metodach leczenia w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat umożliwił poprawę jakości życia zarówno w trakcie leczenia, jak i po jego zakończeniu. Ogólnie rzecz biorąc, terapie:

- są bardziej ukierunkowane, powodując mniejsze uszkodzenia zdrowych komórek;
- są lepiej kontrolowane, wywołując mniej uciążliwych skutków ubocznych;
- wykorzystują naturalne mechanizmy obronne organizmu i mobilizują go do walki;
- utrzymują ludzi w lepszym zdrowiu, skupiając się na odpowiedniej diecie, aktywności fizycznej, odpoczynku itp.

Dzięki postępowi w leczeniu coraz większą liczbę nowotworów uważa się obecnie za uleczalne. Na przykład większość pacjentów z agresywnymi chłoniakami może teraz spodziewać

się wyleczenia. Pomimo tych obiecujących danych, termin „wyleczenie” staje się coraz mniej istotny w odniesieniu do wielu rodzajów raka. W przeszłości przeżycie pięciu lat bez nawrotu raka było uważane za wyleczenie; teraz jednak wiemy, że wiele nowotworów może pozostawać w stanie uśpionym przez lata, a nawet dziesięciolecia. Chociaż przeżycie pięciu lat od diagnozy jest z pewnością bardzo istotnym etapem, wyeliminowanie nawrotów nowotworów zagrażających życiu – prawdziwa definicja „wyleczenia” – jest najbardziej oczekiwaną sytuacją, nawet u pacjentów w wieku 60 i 70 lat, którzy w przeciwnym razie mogliby spodziewać się dalszego życia przez kolejne dwie lub trzy dekady.

Zaszczep się, aby zapobiec infekcjom, które mogą prowadzić do raka, takim jak wirus brodawczaka ludzkiego, czyli HPV, i wirusowe zapalenie wątroby – WZW.

Obecnie wiemy, że wiele nowotworów rozwija się powoli, czyli indolentnie, i stosunkowo dobrze zachowuje się przez dziesięciolecia. Te nowotwory indolentne można porównać z nadciśnieniem, które, choć nieuleczalne, nie stanowi wyroku śmierci, jeśli jest odpowiednio monitorowane i leczone.

Czy wygrywamy wojnę z rakiem? **Znów – i tak, i nie...**

„Wojna z rakiem” od dziesięcioleci była hasłem mobilizującym społeczeństwa do zbierania funduszy, finansowania grantów i prowadzenia badań mających na celu walkę z nowotworami. Wielu uważa Narodową Ustawę o Raku, podpisaną przez prezydenta Richarda Nixona w 1971 r., za początek wojny z tą chorobą. Ten akt prawny wspierał zaangażowanie Stanów Zjednoczonych w walkę z rakiem, który w 1970 r. był drugą najczęstszą przyczyną zgonów w kraju. Ustawa wzmocniła Narodowy Instytut Raka (NCI, National Cancer Institute), założony w 1937 r. przez prezydenta

Franklina Roosevelta, przekazując w ręce jego dyrektora uprawnienia do planowania i rozwijania Narodowego Programu Walki z Rakiem, obejmującego NCI, inne instytuty badawcze oraz różne programy federalne i lokalne. Utworzyła również ośrodki onkologiczne pod patronatem NCI.

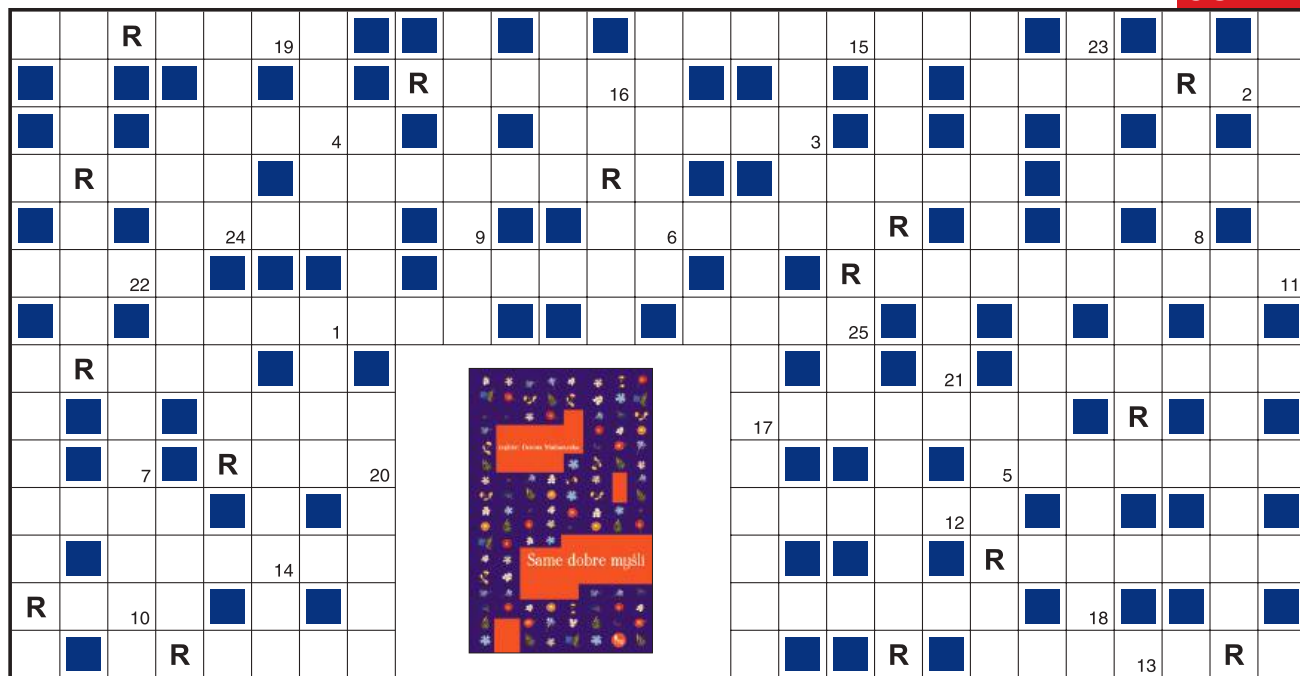
Jako kampania wojna z rakiem okazała się skuteczna. Zmobilizowano fundusze i zasoby, poczyniono postępy i zwyciężono w wielu bitwach. Choć można śmiało powiedzieć, że wygrywamy batalię, trafniejsze jest stwierdzenie, że wojny z rakiem tak naprawdę nie da się wygrać. Jest on nieuniknionym skutkiem naturalnych procesów zachodzących w naszym organizmie.

Wojnę z rakiem należy uznać za część nieustannej walki o dłuższe i zdrowsze życie.

Dzisiaj ta walka jest prawdopodobnie jeszcze większym priorytetem niż w 1971 r. Badania prowadzone przez ostatnie kilka dekad zdecydowanie poprawiły nasze zrozumienie raka. Zidentyfikowaliśmy markery genetyczne lub mutacje leżące u podstaw większości nowotworów, zdobywając kluczowe informacje na temat jego biologii oraz lepsze zrozumienie poszczególnych nowotworów i ich rokowań. Co najważniejsze, nasza nowa wiedza na temat mutacji genetycznych powodujących tę chorobę zapewnia cele dla nowych terapii, które przygotowują grunt pod znaczną poprawę wyników leczenia. Określenie tych mutacji pomaga również w diagnozowaniu, a być może nawet we wczesnym wykrywaniu wielu nowotworów za pomocą prostych badań krwi.

Fragment książki Richarda J. Jonesa i T. Michaela McCormicka *Bunt komórek. O faktach, mitach i zagadkach raka*, przeł. Tomasz Lanczewski, Helion, Gliwice 2025





1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadanych wyrazów.
Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery R ujawniono.
Litery z pól ponumerowanych od 1 do 25 utworzą końcowe hasło.

- jedno z imion Dawidowskiego z Szarych Szeregów
- sojusznik, sprzymierzeniec
- bywa skutkiem urazu głowy
- wkład w kapitał spółki
- projektant mody Giorgio
- indyjski kapłan z uprzywilejowanej kasty

- ...atlaski – drzewo z sosnowatych
- frygijka, uszanka lub niewidka
- część, element
- ropne zapalenie torebki włosa
- Tele... z Ireną Dziedzic
- rozchodzą się w nim fale radiowe
- futerał na okulary

- kiks w muzyce
- styl muzyki chrześcijańskiej od pieśni Afroamerykanów
- broni, antyków lub z bazaru
- wprowadza rozwiązania wcześniej niestosowane
- pozaziemska – ufoludek
- łódź indiańska
- ręczne narzędzie do kruszenia skał
- imię pisarza, który był w związku z Szymborską
- główna – sztab, dowództwo
- film z nim, z dubbingiem lub z napisami
- zło, diabeł
- sytuacja lub działanie ryzykowne i niepewne
- ukochana Janosika
- zabawka talizman
- szerokie kręgi społeczeństwa

- gdzie wilgoć, porastają skały, dachy
- gęste, krótkie włoski np. na owocach
- grzybień lub grząsel
- czubek pantofla
- burzyciel mitu, stroju, pomnika
- szara lub czarna z brzoźowatych
- grecka litera na żaglu
- pisarskie w dokumentach wymagają sprostowania
- pracuje z kamerą
- zakładany przez ramię pas do noszenia szabli
- miasto z Orlen Areną
- karabinowy, armatni lub balistyczny
- uderzyć kogoś po nim to narazić na wydatki
- ...Świętego Mikołaja – anomalia giełdowa
- nowa wersja już istniejącego filmu
- potrawa północnej kuchni włoskiej

- przenoszenie w inną sferę lub wpływanie
- daleko od Krymu
- „...rodu Forsyte’ów”
- zażądała głowy Jana Chrzyciela
- jedna z wielu części składowych
- ślubna zdjęciowa
- o człowieku biegłym w czymś
- między płytkami, cegłami wypełnione zaprawą
- stojak pod aparat fotograficzny
- kto go wyczyścił, zjadł całą porcję
- podkrecać je to przyspieszać
- wygolone kółko na głowie mnicha
- droga, gościniec
- buziaki na końcu listu
- uprzęż na końskim łbie
- kwitnąca wczesną jesienią krzewinka
- komplet na stół
- Abba, ekipa lub szkół

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1206”. Do rozlosowania książki „Same dobre myśli” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASLO.KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 2 lutego 2025 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1203” z nr. 2: Zapytać zawsze można.
Nagrody otrzymują: Zofia Grzelak z Karczewa, Stefan Szymski z Rymanowa, Janina Żbikowska z Gorzowa Wielkopolskiego.

Było skromnie

Było skromnie, wręcz kameralnie. No i można było odnieść wrażenie, że to uroczystość mocno improwizowana. Otwarcie ambasady w Berlinie świętowała niewielka grupa zaproszonych, toteż każdy, kto pamiętał choćby otwarcie ambasady przy Unii Europejskiej – i tej pierwszej, i tej w budynku kupionym od dyrekcji poczty belgijskiej, może się czuć zawiedziony.

W Berlinie nie było premiera, najwyższy rangą był Radosław Sikorski, minister spraw zagranicznych. Niemcy reprezentował Thomas Bagger, wiceminister spraw zagranicznych. Tak, tak, ten sam Thomas Bagger, który w latach 2022-2023 był ambasadorem Niemiec w Polsce i prosto z Warszawy wskoczył na fotel ministerialny. I niech ktoś powie, że Niemcy nie przysyłają do nas swoich najlepszych dyplomatów.

Bagger miał ciekawe wystąpienie, krótkie i treściwe. „Polska wróciła do serca Berlina. Herzlich willkommen!”, zaczął, zaraz dodając, że z przejęciem prezydencji wróciła również do serca Europy. Mówił też, że na te powroty niecierpliwie w Europie czekano, że jedność europejska poddawana jest próbie i że życzy sobie, by ambasada pomogła rozwinąć tak potrzebny wspólny język między Polakami i Niemcami.

A teraz dwa zdania o improwizacji. Najpierw usadzono zaproszonych gości na krzesłach, potem wszedł minister. A potem wyszedł. Żeby wciągnąć na maszt flagi Polski i Unii Europejskiej, później zaś – żeby odsłonić tablicę upamiętniającą ów dzień. Że minister Sikorski ambasadę otworzył, budynek zaprojektowała pracownia JEMS, a wykonawcą był Strabag. Minister wciągał flagę, ściągał szarfę z tablicy, co zajęło sporo czasu, a goście w innym pomieszczeniu czekali.

I zaraz wszystkim przypominały się otwarcia polskich ambasad w Brukseli, tych unijnych. To były wielkie imprezy, z tłumami gości. Z ministrami, ambasadarami itp. Zarówno w roku 1998, jak i w maju 2011 r.

Wydarzenia z roku 1998 mało kto już pamięta, więc tylko anegdotycznie przypomnijmy, że wszystkich gości fascynowała wielka praca Franciszka Starowieyskiego „Divina Polonia rapta per Europa profana”. To było uderzenie po oczach. A dla smakoszy niuansów zabawne było porównanie ministra spraw zagranicznych Bronisława Geremka i ministra ds. Unii Europejskiej Ryszarda Czarneckiego (tak, tak). Wokół Geremka kłębił się tłum najważniejszych unijnych urzędników, Czarnecki stał w kącie sam, z dwójką asystentów. Wokół niego była pustka.

A otwarcie drugiej ambasady? Maj 2011 r., premierem był Donald Tusk. I to on otwierał ambasadę w obecności przewodniczącego Parlamentu Europejskiego Jerzego Buzka, przewodniczącego Rady Europejskiej Hermana Van Rompuy i przewodniczącego Komisji Europejskiej José Manuela Barrosa. Wydarzenie to upamiętniono tablicą, którą powieszono w holu.

I cóż... Po paru latach, gdy PiS przejęło władzę, piśmowski ambasador Andrzej Sadoś osobiście tę tablicę zdemontował, odkręcił ją śrubokrętem. Potem tłumaczył, że to na czas remontu, a wszystkim się wydawało, że na czas przyjazdu Mateusza Morawieckiego, który do Brukseli zawiątał dzień później. Potem tablica zawiśła, ale została przysłonięta przenośną ścianką.

I teraz pytanie, jak długo przetrwa tablica z Sikorskim.

Attaché

Madison Keys wygrała w półfinale z Iga Świątek. Nasza reprezentantka odpadła z Australian Open. Melbourne, 23 stycznia 2025 r.





press

ANDRZEJ SKWORZ,
REDAKTOR NACZELNY

Trzej główni nadawcy telewizyjni w Polsce mają kłopoty z powodu swoich właścicieli. TVP za przyczyną pазernych polityków, Polsatem wstrząsają konwulsje spowodowane emocjami i chorobą Zygmunta Solorza, a TVN stoi na krawędzi przepaści, gdyż amerykański właściciel potrzebuje kapitału. Pieniądze – jak zawsze – są w tle każdej z tych spraw. Po złotych latach reklamowych profitów telewizja naziemna powoli, ale nieubłaganie gaśnie. Smok internetu przegryzał tętnice wszystkim pozostałym mediom, a na deser zostawił sobie telewizję. (...) A widzowie oglądać przestają. Mają złudne wrażenie, że gdy zawyją syreny alarmowe, odpalą YouTube czy Netflix i z nich się dowiedzą, gdzie jest najbliższy schron. A potem, pozbawieni dostępu do internetu i z bezużytecznymi komórkami, zaczną pewnie szukać starego radia czy telewizora w pawlaczach.

DUŻYFORMAT

PROF. LECH NIJAKOWSKI,
WYDZIAŁ SOCJOLOGII UW

Czytałem niedawno książkę „Uwierz w Plan. Skąd się wziął QAnon i jak namieszał w Ameryce” autorstwa Willa Sommera, która opowiada o tym, w co wierzą ludzie popierający Trumpa, skupieni w ruchu QAnon. A jest to niesamowite, bo, jak się okazuje, oni wierzą np. w to, że prominentni członkowie Partii Demokratycznej oraz celebryci wokół tej partii skupieni, w specjalnych podziemnych tunelach uwięzili dzieci po to, by pić ich krew, co pomaga im być długowiecznymi. Wierzą też, że niektóre trzęsienia ziemi to tak naprawdę echa wybuchów, które następują w wyniku tego, że marynarka wojenna Stanów Zjednoczonych wysadza w powietrze tunele, uwalniając owe dzieci. Że Trump to mesjasz, który przyszedł po to, by w ogóle wszystko zmienić... Jak to czytałem, a wierzy w to naprawdę sporo osób, nie mogłem uwierzyć, a w zasadzie zrozumieć, jak ktoś może uważać tego typu bzdury za prawdziwe. I to do tego stopnia, że jest w stanie o to walczyć...

STYL

RENATA DANCEWICZ,
AKTORKA

Nie będę kandydować do Sejmu, ale czuję się częścią tego wszystkiego. I nie chcę, żeby ktoś decydował za mnie. Lubię debatować, kłóć się często. Znajomi nie chcą ze mną rozmawiać o polityce, mówią, że się podpalam i podnoszę głos. Mam lewicowe poglądy, jestem socjalistką. Zawsze miałam swoje zdanie i nienawidziłam konwenansów, byłam wyczulona na nierówności, niesprawiedliwość i postawę wyższościową. Z Kościołem rozeszłam się w wieku 11 lat, chociaż byłam zżyta z moją bardzo religijną babcią.

PANI

GRZEGORZ MAŁECKI,
AKTOR

W mojej teatralnej bańce przez lata toczyły się rozpalające spory. Na każdym bankiecie, melanzu, prywatce około północy znajdował się śmiełek, który ni stąd, ni zowąd oznajmiał, że Warlikowski jest lepszy od Jarzyny. No i zaczynało się piekło. Bo natychmiast ktoś mu odparowywał, że jest odwrotnie. Ludzi trzeba było rozdzielać siłą. I kiedy czasami nawet wydawało się, że pojawiła się szansa na rozejm, zawsze ktoś wyjechał z opinią, że najlepszy to i tak jest Krystian Lupa. Nawet nie potrafię zliczyć, ile przyjaciół i związków przez to się rozleciało.

UWAGA, BYK!

Poprawa byków w tekstach krzyżówek to duże wyzwanie dla korektorów. Oto objaśnienia przed korektą, z błędnym słowem. Popraw błąd, a następnie odgadnij hasło.



□ □ □ □ □ □ C

* brak pity

□ □ R □ □ □

* mała... krótki pal

□ □ □ □ □ □ G □ □

* tęsknota za kranem

ROZWIĄZANIA: NIEMOC, STRATA, NOSTALGIA



Aby język giętki...

PROF. RAFAŁ CHWEDORUK O NAIWNOŚCI

Nigdy sojusz Polski ze Stanami Zjednoczonymi nie będzie równoprawny, bo możliwości są zupełnie inne.

PROF. ANDRZEJ A. KOŹMIŃSKI O PRZYSZŁOŚCI

W pewnym momencie prekariat wymusi na elitach, żeby się bardziej dzieliły.

RAFAŁ PIKUŁA O KRZYSZTOFIE STANOWSKIM

W szerokiej perspektywie szkodzi debacie publicznej, bo klaun może bawić, dawać oddech, ale to wciąż klaun.

WITOLD BEREŚ O ADAMIE MICHNIKU

Jest dziś dziennikarzem wycofanym, który ma niewielki wpływ na to, co się dzieje w „Gazecie Wyborczej”.

KRZYSZTOF VARGA

O POLSCE W FILMACH BAREI

Dziadostwo i cwaniactwo, jakośbędzimy i niedasizm, kolesiostwo i przekupstwo – oto Polska prawdziwa.

STANISŁAWA CELIŃSKA

O KRZYSZTOFIE WARLIKOWSKIM

Poruszył moją kobiecość. Odmłodził w myśleniu o sobie. Wymagał mocnego grania. Uświadomił mi moją siłę.

JAN FRYCZ O AKTORSTWIE

W tym zawodzie sukcesy są mniej ważne. Istotną rolę odgrywają kłęski. To, co nie wyszło.

ALEKSANDRA KONIECZNA

O ŻYCIU ARTYSTÓW

Trzeba być śmiałością i osiłością, żeby je unieść.



ADRES REDAKCJI

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przegląd@tygodnikprzegląd.pl

tygodnikprzegląd.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzegląd.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Agata Gogolkiewicz a.gogolkiewicz@tygodnikprzegląd.pl
Marzena Michalek m.michalek@tygodnikprzegląd.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek,
Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski,
Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini,
Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Rafał Pikula, Maciej Polkowski,
Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk,

Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumilowicz,
Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak,
Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska,
Artur Zaborski, Beata Znamierowska-Soczawa

Stali felietoniści: Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun,
Wojciech Kuczek, Bronisław Łagowski,
Andrzej Romanowski, Andrzej Szahej, Jan Widacki,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burzelka, Anna Rosiak,
Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoreporterzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyszner
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzegląd.pl
Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzegląd.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzegląd.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzegląd.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzegląd.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie” bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy. Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszaków, ul. Pułtowska 120

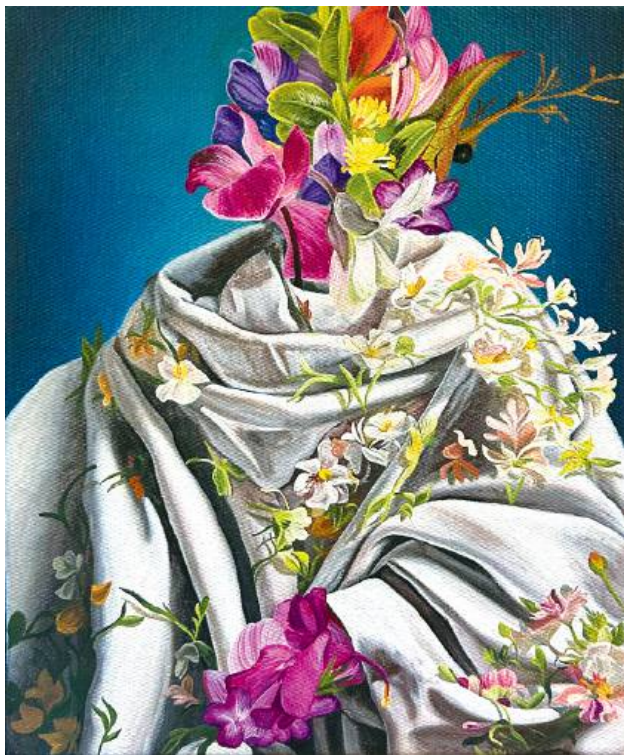
WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WKBKPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





Filip



Piotr

Natalia Rybka **Fiołki nie są miłością**

Natalia Rybka (ur. w 1988 r.) to utalentowana absolwentka ASP w Katowicach, gdzie zdobyła dyplom z wyróżnieniem w pracowni prof. Andrzeja Tobisa oraz prof. Antoniego Kowalskiego na kierunku malarstwo. Jej wystawa to przestrzeń, w której padają pytania o istotę człowieczeństwa, a prace są dialogiem między przeszłością a teraźniejszością. Artystka nawiązuje do klasyków malarstwa, takich jak Caravaggio czy Siemiradzki, reinterpretując ich dzieła, by opowiedzieć o współczesnych problemach.

Sięga po symbolikę roślin, która pozwala złagodzić ciężar trudnych tematów, takich jak wykluczenie społeczne, przedmiotowe traktowanie kobiet czy cierpienie wynikające z izolacji.

**Mazowieckie Centrum Sztuki Współczesnej Elektrownia
Radom, ul. Kopernika 1
do 9 marca**



Czas pomiędzy



Anatomia nieobecności

DKMS

POKONAJMY NOWOTWORY KRWI

dkms.pl/1-5procent



Ludwik, 6 lat

Niech jak najszybciej wróci na plac zabaw

Co 40 minut w Polsce ktoś słyszy słowa: „To nowotwór krwi”. W Fundacji DKMS wiemy, że ta diagnoza to nie koniec. To etap, przez który trzeba przejść i jak najszybciej wrócić do normalności. W tym celu wyposażamy szpitale, pomagamy znaleźć Dawcę szpiku, zapewniamy opiekę psychoonkologa. Robimy wszystko, by Pacjenci chorzy na nowotwory krwi mogli odzyskać swoje dawne życie.

Rozlicz online

» Przekaż 1,5% Fundacji DKMS
KRS 0000 318 602





MFF
JEROZOLIMA



MFF
**KARLOWE
WARY**



FESTIVAL DE CANNES
NAGRODA MŁODYCH
UN CERTAIN REGARD



MFF
BUSAN
(KOREA PŁD)



MFF
VALLADOLID
NAGRODA
PUBLICZNOŚCI



NIECH TO DIABLI!

**PRZESMACZNA OPowieŚĆ
O DOJRZEWANIU...
NIE TYLKO BOHATERÓW,
ALE I FRANCUSKIEGO SERA!**

REŻYSERIA LOUISE COURVOISIER



W KINACH OD 31 STYCZNIA 2025

